PISMA
ALBERTA WILCZYŃSKIEGO.

ZBIOROWE
WYDAWNICTWO PISM
Alberta Wilczyńskiego

AUTORA „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA."

TOM DZIEWIĘTNASTY.

GALERYA DYLETANTÓW.

ŚWIETNE INTERESA.—TURYSTA Z GILOWA.

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi „Biesiady Literackiej"
i „Tygodnika Mód i Powieści."

1887.

GALERYA DYLETANTÓW.

ŚWIETNE INTERESA.

Turysta z Gilowa.

SZKICE

Alberta Wilczyńskiego

AUTORA „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA.”

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi „Biesiady Literackiej”
i „Tygodnika Mód i Powieści.”

1887.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 29 Іюля 1886 года.

Druk Emila Skiwskiego. Warszawa, Chmielna № 1530 (26 nowy).

ŚWIETNE INTERESA.

I.

Kto z nas w swojém życiu nie spotkał człowieka, robiącego świetne interesa! Tego rodzaju meteory społeczne zanadto wysoko szybują ponad głowami pospolitego tłumu, żeby ich nie można dostrzedz, lub przynajmniéj o nich nie słyszéć. Idziesz naprzykład ulicą w większém mieście, a tu naraz trąca cię znajomy:

— Patrz, patrz, to Szafrankiewicz!

— Co to za Szafrankiewicz?

— Zlituj się, nie wiesz! A toż całe miasto mówi o tym szczęśliwym człowieku!

— Wygrał na loteryi, czy co?

— I wygrał i ożenił się bogato i czego się dotknie, to mu się jak Midasowi w złoto zamienia. Nie daléj jak przed tygodniem zrobił znowu interes świetny na kupnie Wydrzyńca. Na drugi dzień odprzedał ten majątek hrabiemu X i wziął sześćdziesiąt tysięcy odstępnego.

Słysząc takie cudowne rzeczy, pomimo woli bierze chęć przypatrzenia się owemu wybrykowi losu choćby dlatego, żeby mieć pojęcie, jak téż wyglądają ludzie,

robiący świetne interesa. I rzeczywiście, buńczuczna mina tego jegomości, jego zuchwałe ruchy, bezceremonialne zachowanie się w obec kilku kobiét, którym towarzyszy, są tak uderzające, że ktoby nie wiedział nawet, co on za jeden, pomyśli sobie, że to musi być coś oryginalnego.

Pan Szafrankiewicz jest przekonany, że wciąż występuje na scenie, a całém obejściem daje poznać, że wie i czuje, jako jest przedmiotem powszechnéj uwagi. Nawet zazdrośne spojrzenia i uśmiech ironii, któremi częstują go ludzie żółciowego temperamentu—sprawiają mu pewną przyjemność. Mając za sobą powodzenie, ma również poczucie własnéj wartości i siły; idzie więc wśród tłumów z taką samą swobodą, jak dobry pływak rozpycha falę wody, po któréj płynie.

Ile razy zdarzy się zobaczyć podobnego szczęśliwca, pomimowoli musi sobie człowiek westchnąć, dlaczego to na niego ten los nie padł. Zazdrościć, nie zazdroszczę, ale że przykro się robi na sercu—tego nie mogę zaprzeczyć. Ot, jednego nawet znałem bardzo blizko, siedzieliśmy bowiem przez kilka lat na jednéj ławce szkolnéj; tuż obok siebie. Daję słowo, nieraz uczyłem się gruszki trząść na jego czuprynie, częstowałem studenckiemi boksami, ani przypuszczając, że z tego potulnego Szafranka (takeśmy go w szkołach nazywali) wyrośnie kiedyś meteor, robiący świetne interesa. Co prawda, było to dobre i uczynne chłopczysko: nie bronił nigdy maczać pióra w swoim kałamarzu, podpowiadał wybornie łacinę, grał nawet w maryasza pod ławką w czasie historyi, a jak przyszło napisać zadanie szkolne, to Bóg wie co obiecywał, aby mu tylko dopomódz. Pamiętam raz, za rozwiązanie przykładu z reguły łań-

cuchowéj pożyczył mi na dwa tygodnie swój cybulasty zegarek, z którym paradowałem w domu wujenki, gdzie mnie na święta zaproszono.

Szafrankiewicz już nie miał ojca, tylko matkę utrzymującą się z bardzo szczupłéj emerytury, coś dwustu złotych polskich na rok. Pamiętam i tę panią, kobiétę niezmiernie żywą, gadatliwą i uprzejmą, wiecznie zajętą cudzemi interesami, a szczególniéj panów i pań lepszego towarzystwa. Z dobrém sercem, wylana i usłużna dla swoich protektorów, była na każde ich zawołanie. Zachoruje kto w domu, posyła się zaraz po Szafransię, a ona siedzi po całych nocach i pielęgnuje słabego jak siostra miłosierdzia. Wyjeżdża ktoś na dłuższy czas—pani Szafrankiewiczowa obejmuje zarząd domu i opiekę nad dziećmi. Potrzeba o coś się wystarać, wyszukać służącą, dostać formę na suknię lub okrycie, pomódz szyć przed jakim balem—Szafransia zjawia się i powiada: „Dobrze łaskawa pani prezesowo, idę, lecę, zrobię.” A mówi to z taką serdeczną ochotą, z taką dobroduszną gotowością, że trudno nie lubić takiéj życzliwéj osoby i nie cenić jéj usłużności. Dopomagano więc biednéj wdowie, jak kto mógł i czém mógł, dość, że egzystowała i Alfredek się uczył i ubierał lepiéj nawet od innych, mających zamożnych rodziców.

Skutkiem ciągłego ocierania się w lepszém towarzystwie, Alfredek miał już powierzchowność paniczyka, co właśnie koledzy poczytywali mu za grzech śmiertelny. Studenci, jak wiadomo, lubią pozować na burszów i demokratów, lubią strój zaniedbany, szorstkość w obejściu, więc potrafią odczuć każdą chętkę odróżniania się, prześladując takich z całą młodzieńczą zapalczywością. Alfredek zawsze przychodził do szkoły z włosami

starannie uczesanemi i wypomadowanemi, więc téż nie było dnia, żeby mu pod jakimbądź pozorem nie rozczochrano owéj fryzury. Szafranek się bronił i awantury wyprawiał, ale to nic nie pomogło, bo zawsze wyglądał z temi włosami jak straszydło.

Skończyliśmy gimnazyum; ja z pierwszą nagrodą, a on ledwie że przelazł piecem—i potém każdy w swoją stronę. Mnie się zdawało, że za parę lat powinienem zostać co najmniéj ministrem, a Szafranek olśniony moją nagrodą powiada:

— Mama chce, żebym poszedł na aplikanta do trybunału i z czasem jak nieboszczyk ojciec został archiwistą... Mama mówi, że to jest bardzo dobre miejsce, bo co pięć lat dwieście złotych dodatku.

Wzruszyłem ramionami, litując się nad taką skromnością żądań Alfreda, jednak pożegnaliśmy się jako serdeczni przyjaciele.

W sześć czy siedm lat potém, jestem ja w Warszawie, a odszukawszy kilku z dawniejszych kolegów, idziemy na śniadanie. Gawęda idzie o tém i o owém, jak zwykle między przyjaciołmi, którzy się kilka lat nie widzieli, aż tu jeden z nich powiada:

— Kto zrobił karyerę, to Szafranek!... Pamiętasz, ten wylizany zawsze Alfredek...

— Cóż, został już archiwistą? Przypominam sobie, że było to jedyne jego marzenie.

— Ale gdzież tam! Ożenił się z jakąś kupcówną, i wziął sto pięćdziesiąt tysięcy posagu!

— Powiedzcież mi jak się to stało?—mówię zaciekawiony.—Toż to taki niemowa...

Aplikował w sądzie i jednocześnie pisał w kancelaryi jednego mecenasa. Tam poznał matkę swéj

przyszłéj, wdowę po kupcu, któréj sprawy prowadził mecenas. Otóż tak jakoś umiał się koło nich zakręcić, że przed dwoma miesiącami ożenił się i basta... Teraz mieszka sobie jako hrabia, zajmuje sześć pokoi na Krakowskiém-przedmieściu, i słyszę robi świetne interesa... Anibyś go poznał, taki się zrobił rezolutny, imponujący...

Rozpytawszy się kolegów o mieszkanie Szafrankiewicza, idę ja tego samego dnia do niego. W przedpokoju siedzi lokaj w kamaszach, daję słowo, w piaskowéj liberyi z opiętemi łydkami i powiada mi:

— Proszę pana o nazwisko.

— Idźże precz, ja ci się pytam, czy pan jest w domu?

— Jest—mówi, zastępując drzwi swoją lokajską osobą — ale zajęty i nie kazał nikogo wpuszczczać bez meldowania.

Chciałem się już wrócić — jednak ciekawość przemogła. Daję więc bilet i czekam już trochę zły.

Za chwilę wypada mój kolega cały rozpromieniony i chwyta oburącz z taką siłą, że ledwie mnie nie udusi...

— Cóż u kaduka znaczy ten drab w kamaszach i to meldowanie?—mruczę, idąc prowadzony pod rękę przez wielki salon jadalny do gabinetu.

— Musiałem to zrobić—tłumaczy się nieco zakłopotany—bo tak mię różni ludzie nachodzą, że niepodobna się opędzić... Ach, nie uwierzysz, co ja mam interesów!

— Słyszałem—przerywam—los ci poszczęścił przez ożenienie...

— Ech, drobnostka, taki posag. Ja potém już zrobiłem parę interesów dosyć korzystnych... Wczoraj na-

przykład kupiłem majątek na Podlasiu, siedmdziesiąt włók, ale to mówię ci majątek całą gębą...

W gabinecie zastaliśmy kilka osób. Jakiś maleńki jegomość z młodą różową twarzą lecz całkiem siwy, siedzi przy biurku i coś ołówkiem notuje. Gruby żyd na pół cywilizowany z karkiem potężnym i czerwonym jakby u wołu, rozpiera się na kanapie i dmucha ustami, jakby mu tam w piersiach miechy pracowały. Dwóch innych także żydów, jeden w kurteczce popielatéj i w takichże krótkich majteczkach, drugi w chałacie jeszcze, cienki, chudy, o żółtéj cerze z rozstrzępioną brodą— stoją przy drzwiach oparci na laskach, widocznie to są faktorowie.

Alfred przedstawił mię owemu różowemu jegomości z siwemi włosami, ale nie dosłyszałem nazwiska. Zdaje się, był to sprzedający ów majątek nazywał się Dychawica, bo to nazwisko ciągle się powtarzało w rozmowie. Przeprosiwszy mię, że musi jeszcze kilka minut pomówić z tymi panami, wyprowadził do sąsiedniego salonu, gdzie zająwszy miejsce na fotelu, zacząłem przerzucać leżące na stoliku albumy. Z pochwyconego toku rozmowy domyśliłem się, że tym panom chodziło jeszcze o kupno zostającego w Dychawicy inwentarza, bo ciągle targowano się o krowy, konie, owce i inne ruchomości. Zauważyłem jednak, iż Alfredek trzymał się twardo w cenie, którą ofiarował, bo często żydek w popielatéj kurteczce odciągał go na bok, właśnie ku drzwiom otwartym salonu, w którym siedziałem, i z całą giestykulacyą swoich dziesięciu chudych i brudnych palców, migając przed oczami Alfredka, przekładał, że nie powinien być tak upartym.

— Co jaśnie pan dał zadatku, te głupie trzy ty-

siące rublów!—mówi żyd, robiąc z postawy znak zapytania. — Ja jaśnie panu powiadam, co on w godzinę odda podwójny zadatek, na moję uczciwość, bo ja mogę mu nastręczyć kupca, który da zaraz dwadzieścia tysięcy więcéj za Dychawicę...

— To mu daj!—odpowiada z uśmiechem Szafrankiewicz.

— Jakto? jaśnie pan myśli, co Winower jest taki żyd łapserdak! Jaśnie pan się myli. Winower jest żyd honorowy i komu ja służę, to służę uczciwie... Co jaśnie panu o tę krowę idzie dla mamki... Niech on wybierze... Mamka to zawsze jest taka sługa, co ona panicza karmi... to państwo dla niéj zawsze rarytne... Niech jaśnie pan nie będzie taki kozioł, ja jaśnie panu każę dać te krowę... Albo te bryczke, co on nią chce wyjechać... Jak to można żeby on na cudzym wózku z swoich dóbr wyjeżdżał... To niepięknie... Wszystkie sąsiady powiedzieliby, że nowy dziedzic nie jest szlachcic...

— Nie wiem jak tam skończyli z tą krową i bryczką, ale sprzeczali się jeszcze dość długo, a ja przez ten czas miałem sposobność przypatrzenia się lepiéj mojemu szczęśliwcowi. Zmężniał, urosł i zmienił się nie do poznania. Więcéj niż średniego wzrostu, barczysty, z widoczną tendencyą do tycia, pan Alfred ma twarz dużą, pulchną, o śniadéj cerze, na któréj para dużych nieco wypukłych oczu zdaje się biegać tu i tam jak czółenko tkackie w rękach mistrza. Włosy ma ostrzyżone krótko, wąsiki czarne z węgierska zakręcone, a tu i owdzie sterczące szczotką kępki włosów każą się domyślać, że mój Alfredek znajduje się w stadyum zapuszczenia obywatelskiéj brody. Patrząc na jego żywe

ruchy, częste ogryzanie paznogci i tę dziarskość właściwą wytresowanym podoficerom, nie mogłem pojąć, jak to wszystko wyrobiło się u owego nieruchomego i leniwie spoglądającego niegdyś Szafranka... Ha, widocznie powodzenie sprowadza taką metamorfozę.

— Otóż tak jestem od rana do ciemnéj nocy!— woła, wpadając do salonu i rzucając się na fotel p. Szafrankiewicz!—Palże mój drogi... doskonałe cygara, sam sprowadziłem z Hamburga... A może papierosa... prawdziwe tureckie, z Odesy, jak honor kocham...

— Więc idzie ci dobrze?

— Aż się boję potwierdzić, żebym w złą godzinę nie wymówił... Samo szczęście pakuje mi się drzwiami i oknami... Dychawica to pański majątek, pałac, park, oranżerye, historye, pomniki—las, mąka, łąka, ryby, grzyby...

— No, ale sam nie myślisz gospodarować?

— I owszem, przenoszę się za parę tygodni. Patrz, już brodę zapuszczam i ubranie sobie sprawiłem gospodarskie... kurtka z wielbłądziego sukna... co, dobra?— mówi, podając mi fałd owéj do spróbowania.

— Ależ ty nigdy nie byłeś na wsi, nie masz wyobrażenia...

— Paradny jesteś koleżko! — odpowiada, uderzając mię krotochwilnie po ramieniu... Wam szlachcie to się zdaje, że tylko wy się rodzicie gospodarzami... Wielka mądrość to wasze gospodarstwo, na którém zna się każdy chłop prosty... Zorać, zasiać, zebrać... wielka sztuka...

Chciałem zaprzeczyć, ale nie pozwolił mi przyjść do słowa.

— Wiem, wiem, co chcesz powiedzieć: nauka, chemia, skład ziemi, hodowla inwentarza... meteorologia...

— Tak, tak... i...

— Otóż wszystko tu mam i wiem i umiem—przerywa, chwytając kilka książek ze stołu, które składa przedemną. Śmiejesz się... no zobaczysz... Niby to ja nie znam szlachty naszéj! Albo ona co czyta, co wie, a do tego jeszcze głowy szalenie konserwatywne. Jak człowiek ma odrobinę tu a pełno tu—dodaje, pokazując na czoło i kieszeń — to całą umiejętność gospodarską posiada. Ja już od dwóch tygodni wertuję, czytam, robię notatki i kombinuję... Patrz, to są próbki mojéj ziemi z Dychawicy—mówi, stawiając przedemną kilka szklanek napełnionych wodą, na spodzie których czernieją osady ziemne.—Tu masz cały skład jak na dłoni, ile piasku, ile gliny, a ile pruchnicy... Prawda, że stosunek téj ostatniéj bardzo pomyślny... A tu masz margiel... hm, hm, jaki margiel... będzie z niego cement, ja ci powiadam... będzie. Robiłem próby!... I w téj flaszeczce, zgadnij co?

— Woda—mówię, patrząc na czysty kolor płynu.

— Woda? ja wiem że woda, ale proszę cię, powąchaj...

Wącham—nic nie czuję.

— Lepiéj powąchaj i pomyśl, co ci ten zapach przypomina...

— Jakby siarkę czy coś...

— Aha, czy coś... Otóż to coś jest żelazo... Koperwas czuć, prawda, sprobuj!

Sprobowałem, rzeczywiście woda ma pewien smak cierpki, przypominający atrament.

— Woda mineralna... ale proszę cię, cicho, sza, bo dopiero spisaliśmy punkta przedugodne i gotów się

Szuberski zrzucić... A trzeba ci wiedzieć, że to jest fines obywatel i myśli, że mnie orznął... a tymczasem ja jemu pokażę...

Napomknąłem coś o sobie i chciałem się wywnętrzyć, jak mi się powodzi, lecz on ani słyszy tego, tylko wciąż swoje:

— Głupiec, zostawił mi sto tysięcy na wypłatę w sposób amortyzacyjny na lat trzydzieści...

— A będziesz miał fundusze na nakłady?—odzywam się nieśmiało, bo jakkolwiek nie znam się na gospodarstwie, jednak ciągle odbijały mi się o uszy te nakłady...

Uśmiechnął się trochę ironicznie, litując się nad moją dobrodusznością:

— Pieniędzy ile chcę, mogę mieć na zawołanie. Ale ja cudzych nie potrzebuję, bo dwie trzecie szacunku zostaje przy gruncie. Widziałeś tego grubego żyda w gabinecie?

— Widziałem, tego co ciężko oddycha...

— Niech on oddycha jak chce, ale to Krezus siedlecki. On także jest wierzycielem Dychawicy, i chciałby zostawić dalej swoją sumę, ale ja nie głupi, *baares Geld* mości panie.

Rozmawialiśmy jeszcze w ten sposób całe pół godziny, to jest właściwie on mówił, zmuszając mię co parę sekund do potakiwania, gdy rozwijał świetne plany względem owéj Dychawicy. Potém recytował o innych korzystnych propozycyach, a wszystkie coraz bardziéj świetne i kapitalne.

— Ot, dziś rano kupiłem na współkę dwadzieścia tysięcy sztuk dębów na wywóz do Francyi...

— A obejrzałeś te dęby? — przerywam, jako tro-

chę w téj sprawie kompetentny, zajmując bowiem posadę w leśnictwie rządowém, miałem pretensyę, że się znam trochę na drzewie.

— Zlituj się, któżby się w takie drobnostki wdawał!... Przysłali mi próbkę, posłałem do Paryża, odpisali, ile można wziąć za metr kubiczny, a potém rachunek, fracht, tego, obrobienie, ścięcie, piłowanie i wypadło, że będziemy mieli zysku dwa ruble na sztuce.

Podziw mój nad szczęściem kolegi coraz bardziéj rosł, więc nie zdając sobie sprawy dlaczego, jednak czułem w głębi duszy pewien żal do losu, jak to jednym szydła golą, a mnie i brzytwy nie chcą.

Na dworze już mrok zapadał, w salonie zrobiło się ciemno, a mój Alfredek rozwodzi się i wywnętrza nie tyle przedemną ile przed sobą samym—nie zważa bowiem na moje skromne uwagi, jakie od czasu do czasu wtrącę do rozmowy.

— Co, już chcesz iść?—zapytuje, widząc, że podnoszę się z kanapy i szukam oczami kapelusza.—Ale proszę cię nie spiesz się, co ci tak pilnego! Jeszcze ci wiele rzeczy nie powiedziałem... No usiądź, proszę cię, tak dawno się nie widzieliśmy... Pozwól niech się nacieszę tobą... Każę podać herbatę... co, dobrze? Napijemy się, a mam pyszny gatunek, wprost z Kiachty...

— Możebyś mnie zaprezentował żonie?—odzywam się, ciekawy poznać tę uszczęśliwioną przez Alfreda osobę.

Dostrzegłem, że ta propozycya trochę go zakłopotała.

— Jak chcesz, to dobrze, i owszem... Ale ja z kobiétami nie lubię rozmawiać, one tylko drobnostkami zajęte...

Zawołał na służącego, coś mu szepnął, przyniesiono lampę, ale od téj chwili stracił już na rezonie. Dano znać, że do herbaty nakryto, więc biorąc mię pod rękę, prosi do jadalnego pokoju.

— Widzisz, moja żona — szepcze, nachylając się ku mnie — nie jest tak bardzo, tak trochę to z mieszczan... No, ale kocha mnie szalenie, uczciwości kobiéta... Ja dla niéj jestem wyrocznią... Bogiem...

— Szczęśliwy z ciebie człowiek...

— No tak, nie mogę narzekać... Jednak ja myślę, że ona się wyrobi i ośmieli, jak wejdzie w porządne towarzystwa. Dotąd nie bardzo miałem czas nią się zajmować... Matka także poczciwina sobie, trochę naiwna i taka skąpa mówię ci, że aż piszczy... Ale szanuje mnie ogromnie i zupełnie ufa...

Jadalny pokój jest obszerny, pomimo to tak zapchany kosztownemi meblami, że trudno przejść do stołu. Kolosalnéj wielkości dębowy kredens ciągnie się przez całą ścianę, na wierzchu ma ustawione popiersia gipsowe. Na środku stół owalny, koło niego dwanaście krzeseł w stylu gotyckim z tak wysokiém i spiczasto zakończoném oparciem, że znalazłszy się między niemi zdawało mi się, że jestem na dachu kolońskiéj katedry a koło mnie piętrzą się szczyty smukłych wieżyczek. Nad stołem wisi wielka baniasta i błyszcząca lampa, rzucająca dość przyćmione światło na całą zastawę do kolacyi.

— Mój przyjaciel i kolega szkolny pan N., obywatel z Radomskiego—odzywa się Alfred, zatrzymując przy stole...

Czy z powodu ciemności, czy téż małego wzrostu obu dam znajdujących się w pokoju, nie mogłem ich do-

strzedz, dopiero gdy się coś ruszyło przed oczami, spostrzegłem dwie podobniuteńkie głowy, umieszczone pod dwoma wieżyczkami krzeseł gotyckich. Albo stół był za wysoki dla nich, albo one nie dorosły do niego, dość, że tylko widziałem same głowy.

Dostrzegłem, że Alfredek bacznie obserwował, jakie téż na mnie zrobią wrażenie jego damy, więc uzbrojony w powagę udałem, że ta karłowatość pań wcale mnie nie zadziwia.

Matka i córka są nadzwyczaj podobne do siebie i wzrostem i wyrazem twarzy. Widziałem dużo kobiét, ale te wydały mi się najmniéj ładne. Czoła szerokie, oczy okrągłe i dziwnie świecące, nosy cienkie, spuszczające się haczykowato, a jeżeli jest jaka różnica między starszą a młodszą, to chyba ta, że cera pani Alfredowéj nieco świeższa od cery matki i że głowa matki ma czepek podwiązany pod brodą, a córka ubranko aksamitne. Nawet kolor sukien mają jednakowo szary i równą ilość świecideł złotych, jak się zdaje umyślnie i naprędce włożonych, bo jeden kolczyk pani Alfredowéj siedzi w uchu jeszcze nie zapięty.

Umieszczono mię obok pani Alfredowéj, i ta zaraz rozpoczęła ze mną urzędową rozmowę.

— Pan dawno mieszka na wsi?

— Od czasu wyjścia ze szkół.

— Musi pan być szczęśliwy. Prawda że na wsi jest bardzo przyjemne życie. Swoboda zupełna... I my się wyprowadzamy na wieś, Fredzio kupił majątek...

— Mówił mi, że bardzo nawet korzystnie.

— Tylko tak brzydko się nazywa, Dychawica, dodaje matka.—Dotąd jeszcze nie mogę temu wierzyć, iż mamy mieszkać w Dychawicy...

— Powiedziałem mameczce—dodaje Alfred, podkręcając lampę, żeby się jaśniéj paliła—że postaram się o zmianę téj nazwy.

— Mój Fredziu, zrób to... Mama tak się martwi... Prawda panie, że na wsi są bardzo przyjemne sąsiedztwa i bez żadnéj subiekcyi. Ma się swój powóz i konie, tyle kurcząt, śmietany i owoców. U nas jest oranżerya nawet, prawda Fredziu, że jest i to drugie jakże się nazywa, trop... tryp... czy trap...

— Treibhaus...—odpowiada mąż.

— Aha treibhaus, gdzie ananasy się rodzą... i cytryny można miéć swoje, tylko podobno kwaśne...

— Mój Fredziu czego tak podkręcasz lampę—odzywa się mama—mnie blask ten razi.

— Kiedy ciemno w pokoju...

— Dosyć światła... bardzo dosyć...

— Ja też cieszę się jak dziecko z tego wyprowadzenia na wieś—mówi daléj Alfredowa—Fredzio zostanie obywatelem... Dlaczego Fredeczku nie poczęstujesz pana cygarem?... Może pan palić, ja jestem przyzwyczajona.

A widząc, że mąż jakoś kręci się zakłopotany i wciąż zagląda do sąsiedniego pokoju, zapewne żeby dawano kolacyę, zrywa się sama z krzesła, biegnie do stojącéj w kącie szafeczki, przynosi paczkę z cygarami, częstuje, zapala zapałkę i mimo energicznego oporu z méj strony, przytyka mi do cygara.

— Anielciu kochanie... Piotr by panu podał, ty nie umiész.

— Otóż umiém, prawda panie, że umiém—odpowiada na to z uśmiechem.—I chociaż nie jestem obywatelką, potrafię być gościnną... Fredziu, to Radomskie

gdzie pan mieszka, niedaleko od Dychawicy? Musimy się zapoznać bliżéj z pańską rodziną.

— O daleko—odpowiadam—pewnie mil dwadzieścia kilka...

— No, ale w zimie sanną mógłby pan przyjechać... bardzobym sobie życzyła...

— Wdzięczny pani jestem —odzywam się z ukłonem—ale ja w zimie najwięcéj mam zajęcia.

— Cóż tam panowie na wsi mogą mieć za zajęcia, jeżeli ma się służbę, ekonoma, rządcę, to oni wyręczą...

— Ja proszę pani, niemam się kim wyręczyć. W zimie odbywa się cięcie lasu, muszę sam pilnować, bo za to płacą, a nadleśny często rewiduje.

— Więc pan tylko lasem gospodaruje?

— Tak pani i to nie swoim, tylko rządowym.

— Jakto? pan nie jesteś obywatelem?

— Jestem w służbie rządowéj jako leśniczy...

— A ja myślałam, że pan... Fredziu, zdaje mi się takeś prezentował...

— Więc już nie gospodarujecie?— pyta zdziwiony Alfred. — Wiedziałem, że rodzice twoi mieszkali na wsi; pamiętasz, jakie to ze świąt przywoziłeś wyborne placki z serem?

— Było to, ale ojciec już dawno zwinął gospodarstwo... Dzierżawa się nie opłacała, i teraz mieszkają rodzice razem zemną...

Widziałem, że ta wiadomość bardzo złe wrażenie zrobiła na pani Alfredowéj, bo zaraz umilkła, spojrzawszy znacząco na matkę krzątającą się koło stołu. Zato przysunął się do mnie Alfred i dopiero teraz przypomniał sobie, że wypada i mię zapytać, jak mi się powodzi?

— Cóż może być za powodzenie w służbie leśnéj! Zostałem w przeszłym roku leśniczym, mam tysiąc dwieście złotych pensyi, mieszkanie opał i piętnaście morgów gruntu...

— Zdaje mi się, Fredziu — wtrąca pani zupełnie już innym tonem — że nasz leśniczy w Dychawicy bierze coś tyle, czy nawet więcéj...

— Nasz co innego, a pan Stanisław co innego...

— Myślałam, że to jedno... Ja nigdy w życiu nie chciałabym mieszkać w lesie... i jeszcze służyć. Fredzio nie służył nikomu, a tylko był *arferystą*, to jak jedna pani powiedziała mi to słowo, myślałam, że się spalę ze wstydu...

— Aferzystą—poprawia ją małżonek.

— Wszystko jedno—mówi daléj—czy arfista, czy tam aferzysta, to pamiętasz, spłakałam się i koniecznie prosiłam, żebyś jaki majątek kupił... Obywatel to przynajmniéj jakieś stanowisko.

Tymczasem ów facet w kamaszach i białych bawełnianych rękawiczkach przyniósł półmisek, a starsza pani zabrała się do jego mustrowania. Szanowny Paweł czy Piotr w kamaszach, widocznie nie bardzo był obznajmiony ze służbą, bo pani co minutę ciągnęła go za rękaw i popychała, z któréj strony ma podawać półmisek. Na czoło jego kroplisty pot występował; i znać było, że wiele go kosztowała ta służba. Nawiasem powiem, że polędwica czarna była jak węgiel, matka zaś pani Szafrankiewiczowéj tak mało musi mieć zaufania do wstrzemięźliwości Piotra, że krok w krok chodzi za nim i za półmiskiem do kredensu. Toż samo jest z cukiernicą i arakiem przy nalewaniu herbaty, dlatego bę-

dąc zajęta kontrolą lokaja, nad którym ciągle coś pomrukuje, wcale nie wtrąca się do naszéj rozmowy.

A i ta rozmowa nie idzie nam gładko; pani Alfredowa zmieniła ton uprzejmy i odzywa się już ledwo półsłówkami, gdy przeciwnie pan Alfred, widocznie żenowany chłodném obejściem żony, stara się grzecznością jéj złe usposobienie dla mnie wynagrodzić.

— Widzisz Anielko—odzywa się do niéj—Stanisław był najpierwszym uczniem w szkołach, a ja choć miałem zdolności, to zwyczajnie trochę się zaniedbywałem...

— Słyszałam to nieraz, że szkolne geniusze późniéj często zawodzą...

— Ma pani racyę — wtrącam i ja. — Na świecie lepszy łut szczęścia, jak mówi przysłowie—niż funt rozumu...

— No, przyznasz—rzecze Alfred—że mówi przez ciebie uprzedzenie, bo przecie i do interesów trzeba mieć rozum. Tylko uważasz, zdolności ludzkie w praktycznéni życiu zwykle biorą dwojaki kierunek. Jedni znakomici są w teoryi i tych bym przeznaczał na profesorów, drudzy znowu zdolności swoje stosują do celów praktycznych...

— Wszystkie teorye — mówię ja — dobre są jako teorye, bo naprzykład zróbże co w mojém położeniu! Nie mając majątku, lecz przeciwnie obowiązki względem rodziny, musiałem brać zajęcie, które było na brzegu, a jak człowiek raz zagalopuje się w pewnym kierunku, to trudno się cofać i szukać nowéj drogi... Okoliczności częstokroć ścierają nietylko zdolności, ale nawet geniusze...

— Nie uwierzysz Stasiu, jak mię zasmuca twoje położenie...

— Nie kłopocz się, mnie jest z tém dobrze, mało potrzebuję.

— Ale mój drogi, za 1200 złotych rocznie żyć gdzieś tam w lesie, to nędza... Czekaj, my tu wymyślimy coś dla ciebie... Anielko, proszę cię, ażeby go tak ożenić gdzie, hę?... Masz tyle krewnych i znajomych, co? Doskonale... A wiesz co—zawoła klasnąwszy w ręce—Frania!... Wybornie, musimy go ożenić z Franią...

Pani spojrzała uważnie w moją stronę, jakby chciała ocenić, czy mogę być odpowiednim dla owéj Frani, on zaś uszczęśliwiony ze swego projektu zaczyna mi w bardzo ożywiony sposób rozpowiadać, jaki to rodzice Frani posiadają majątek, co wart ich browar piwny, co warte są kamienice, ile jest dzieci i t. p.

— Prawda Anielko — mówi, zwracając się pieszczotliwie do żony—ty jak zechcesz, to pokierujesz tak sprawą, że będziemy mieli Stasia w naszéj rodzinie. Wierz mi, on wart jest tego, serce złote i z dobréj szlacheckiéj rodziny... A wtedy, mój szanowny kolego, puszczamy w trąbę urząd za tysiąc dwieście złotych i razem będziemy robili interesa.

Pani widocznie pochlebiało oddawanie mię pod jéj opiekę, bo zaraz wystąpiła z radami, gdzie i jak wypadałoby poznać się z panną Franciszką, co ona lubi a czego nie lubi, i pod jakim pozorem mógłbym jutro złożyć wizytę jéj rodzicom.

Niestety niepodobna mi było korzystać z takiéj życzliwości pani Anieli, bo jutro pociągiem rannym musiałem wracać do domu, zatém rzecz całą musieliśmy odłożyć do czasu kiedy państwo Alfredowie, urządziw-

szy się w Dychawicy, zaproszą Franię do siebie, a mnie dadzą znać, żebym przyjechał poznać się, zakochać i naturalnie ożenić. W pogadance przyjacielskiéj takie rzeczy nadzwyczaj łatwo się urządzają.

Po wyjściu z domu państwa Alfredów przyznaję, że ta propozycya jego nieco mię zajęła. Powodzenie kolegi i to jeszcze takiego, któregośmy uważali za hetkę pętelkę, podrażniło moją miłość własną. Jakto, myślę sobie, jemu się udało, a jabym nie potrafił? On dzisiaj pan całą gębą, ma stanowisko między ludźmi, a ja razem z sosnami w lesie mam butwiéć, klepiąc biedę do śmierci? Przyznaję, że w téj chwili czułem się podrażnionym do tego stopnia, że osoba panny Franciszki nawet na myśl mi nie przyszła. Ha, byle nie straszydło jakie, to przecież damy sobie radę—wyidealizowana miłość książkowa jest niedorzecznością w życiu praktyczném. Lecz kiedym przyszedł do hotelu i położywszy się do łóżka, puściłem wodze rozmyślaniom, owa karyera ożenienia zaczęła mię opuszczać, a poczucie osobistéj godności brało górę. Śmiałem się ze swoich pragnień i paplaniny Alfreda, pozującego na człowieka z wielkiego świata, którego puszczanie tego rodzaju frazesów i obietnic nic a nic nie kosztuje. Obiecanka cacanka, a głupiemu radość. Kto tam na seryo chce się kłopotać sprawami drugich, kiedy jemu jest dobrze. Ot, puszcza się dym w oczy, aby uchodzić za protektora!...

I rzeczywiście tak było ze mną. Przeszedł jeden rok i drugi, a Alfred, chociaż tak uroczyście zanotował sobie mój adres w pugilaresie, nie napisał ani słowa, więc i cała ta historya wywietrzała mi z głowy. Aż tu jednego dnia na wiosnę, dostaje krótkie wezwanie od niego:

„Kochany Stasiu, przyjeżdżaj do Dychawicy, oczekuję cię z upragnieniem... Nie myśl, że zapomniałem o naszym projekcie — właśnie teraz mam dla ciebie coś, o czém dowiesz się, jak przyjedziesz, a przytem chciałbym zasięgnąć rady twéj w pewnym interesie lasowym i liczę na ciebie jak na Zawiszę..."

Wahałem się długo, czy jechać czy nie jechać, bo to dwadzieścia kilka mil opętanéj drogi i koszta podróży dość znaczne jak na moje fundusze, lecz poczciwa matka, któréj kiedyś o tych projektach Alfreda wspominałem, powiada:

— Jedź, mój drogi synu, jedź! Kto wie co komu przeznaczone, a szczęście niezwykło dwa razy w życiu pukać do chaty...

Chociaż tedy z niechęcią, jednak puściłem się w tę daleką podróż, a co zobaczyłem i dowiedziałem się o świetnych interesach Alfreda, wiernie opowiem czytelnikom.

II.

Mania kupowania dużych majątków z małemi funduszami była u nas dawniéj tak powszechną, że w téj okolicy, gdzie leży Dychawica Alfreda, nie było wsi ani folwarku, któryby dłużéj jak pięć lat w jedném ręku pozostawał. Luzowali się właściciele jak żołnierze na arenie, każdy forsował się z początku, lecz spostrzegłszy, że to nie na jego siły, szukał takiego samego fryca żeby się pozbyć obywatelstwa. Z rozpaczy nie przebierano w środkach, więc zamieniano się na inne majątki lub kamienice w Warszawie, a gdy już bardzo przycisnęła bieda, parcelowano między drobną szlachtę, mieszczan i włościan. Naturalnie, że po takich operacyach rzadko który wychodził z całemi połami, ale zato nabywał tyle szacownych wiadomości z gospodarstwa wiejskiego, o których zapewne do grobowéj deski nie zapomni.

Kto kiedy w życiu kupował majątek ziemski, to przyzna, że niema na świecie więcéj grzecznych i gościnnych ludzi, jak są niemi sprzedający. Kupujący, a jeszcze dobrze rekomendowany przez faktorów, jest

niezmiernie szacowną osobistością; panie znajdują go miłym, panowie rozumnym i wytrawnym, a tak bywają skłonni do wszelkich ustępstw, że w dwóch słowach mogą z ceny spuszczać tysiące pomijając wszelkie drobnostki, jak to się dziać powinno między porządnymi i uczciwymi ludźmi.

Jota w jotę odbyła się taż sama historya z Dychawicą, jedną z tych chudych szkap, z których już dosyć śmiałków z nadwerężonemi bokami pospadało. Zajmowała coś siedemdziesiąt włók rozciągniętych na znacznéj przestrzeni w figurze mającéj na mapie różne esy floresy, niby zatoki, półwyspy i międzymorza i do tego stopnia imponującéj obszarem, że dwanaście czy piętnaście wsi innych z nią graniczyło. Po piaszczystych i kamienistych wzgórkach widniały przeświecające laski z resztkami karłowatych sosen oszczędzonych siekierą żydowską. Dolinami ciągnęły się moczary zarośnięte już olszyną—tu większy łan dworski, tu kawał pól włościańskich, a między to wszystko wciska się klinem obca posiadłość. Po polach narzucanych kamieniami jakby na placu, gdzie ludzi kamienowano, ciągną się wązkie płaty tarniny, przy których sterczą większe gromady tak zwanych kamienic. Tu polna grusza rozsiadła się na miedzy, tam zabłąkała kępka brzeziny z dawnego lasu, a sama rola odznacza się taką wegetacyą, że wśród białego na niéj żyta nie potrafi się schować zwykły legawiec, tropiący skowronków...

Poprzedni właściciele Dychawicy, ten sam jegomość z różową twarzą a białemi włosy, którego wówczas w gabinecie Alfreda spotkałem, przed ubraniem w nią mojego kolegi, prawdziwie ledwie dyszał w owym majątku...

Pan Anastazy, kiedyś przedsiębiorca krycia dachów w Warszawie—dopiero przed pięciu laty zamienił z panem Zabskim kamienicę przy ulicy Żelaznéj na te dobra. Powiadają przyjaciele Zabskiego, że kamienica była mniéj wartą od Dychawicy, naturalnie biorąc obie po potrąceniu długów—ale pan Anastazy przysięgał się na wszystkie świętości, na Reginkę i pragnienie zbawienia wiecznego, że jak on miał kamienicę, to był panem, a jak licho i owa Reginka skusiły go żeby przyszedł na wieś, to jest prawdziwym obywatelem, bo bez wielu rzeczy musi się obywać. Rozmowy takie, ma się rozumiéć, prowadziły się tylko w gronie rodziny i blizkich przyjaciół, bo przed kupcem Dychawica bywała zawsze złotém jabłkiem.

Otóż już ze trzy lata pan Anastazy kręcił się na gwałt, żeby się jako pozbyć tego złotego jabłka. Rozesłał opisy po wszystkich kantorach, jakie tylko istniały w Królestwie, dawał ogłoszenia nawet do zagranicznych gazet, próbował zamieniać się znowu na kamienicę, nawet na jakąś willę w Wrocławiu, którą mu pewien spekulant po wyczytaniu inseratu proponował—lecz wszystkie te starania pozostały bez skutku. Każdego roku w nadziei, że teraz już sprzeda—obsiewał pola jak dla kupca, to jest pośladami, a ci kupcy zjeżdżali się do Dychawicy, niby do jakiego cudownego miejsca, oglądali, kręcili nosem, zjadali doskonałe obiadki, zajeżdżali konie, któremi przez grzeczność trzeba ich było odsyłać do kolei, a w rezultacie — jakiś bilecik z usprawiedliwieniem i rejterada od kupna. Również co roku na wiosnę malowało się na niebiesko ściany pałacu (dwór w Dychawicy miał nazwę pałacu), bieliło kamienie, któremi obłożony był w pewnych od-

stępach owalny gazon na dziedzińcu, lepiło się i bieliło ściany stajni cugowéj, rozpinano dzikie wino po ganku— aby ta Dychawica dla fryców miejskich jakoś animująco wyglądała. Przyjeżdżający jednak najprzód brali się do oglądania pól i lasów, łąk i pastwiska, a na owe sztachetki i malowidła nie zwracali uwagi.

— Żeby choć spojrzał na moją pracę — mówił z rozpaczą pan Anastazy po wyjeździe pretendenta.— I to mi jest szlachta, która nie ma żadnego poczucia, co piękne... i to są ludzie i filary nasze.

Pod jesień trzeciego roku już z panem Anastazym było bardzo krucho; trzy raty Towarzystwa niezapłacone, licytacya wisi na karku; o podatki co drugi dzień zjeżdża wójt z pisarzem, opisują meble, powozy, inwentarze i krestencyę. Arendarz miejscowy jak zły duch siedział przy młócce w stodole i brał zboże z pod cepów. Abramko, Herszko, Szloma i kilku jeszcze innych z miasteczka realizowali swoje należytości za mięso, cukier i inne potrzeby brane ze sklepów, pierwotnym sposobem zamiany za żyto, owies, i inne zboże, które już swoim kosztem młócili—słowem, była to rozpacz finansowa.

Najbliżsi sąsiedzi, znający bardzo dobrze to położenie pana Anastazego, wydziwić się nie mogli, zkąd mu dotąd starczy na zwykłe utrzymanie domu i sute przyjmowanie gości. Kiedy żydzi w sąsiedniém miasteczku nie chcieli dawać na kredyt już soli, a konie fornalskie padały już z głodu, panie z Dychawicy paradowały czwórką wypasionych gniadoszów do kościoła, a gdy się pokazał wędrujący kramarz z towarami, brały od niego sprawunków za kilkadziesiąt złotych. Otóż pod względem dostawania pieniędzy na takie rzeczy pan Anastazy był mistrzem i tak umiał obałamucić

prostaczków, mających jakiś grosz w kalecie, tak umiał wymyślić jakiś interes na ruinach, że doprawdy warto było, aby go powołano na ministra finansów tureckich. To sprzedał młynek niby to z wieczystym maleńkim czynszem i chapnął parę setek, to znalazł amatora na propinacyę, która dopiero za rok lub dwa będzie do wzięcia, to sprzedał chłopu ogród lub kawał pustki i od niego coś wydobył. Jak wiadomo, prości ludzie są bardzo niedowierzający, i otwarta propozycya ich przeraża, lecz kto im potrafi zaimponować i da się niejako zmusić do zawarcia jakiéj umowy—ten ich trzyma na swojéj wędce. Dlatego téż pan Anastazy nie lubił długo z nimi dysputować: „chcesz, nie chcesz i idź z Panem Bogiem"—i to skutkowało. A dopomagał mu w tém dzielnie po za sceną pachciarz Jankiel, który na podobieństwo owych psów wytresowanych do szukania trufli, wybornie wietrzył, gdzie kto ma grosz jaki. Nie potrzebuję wreszcie objaśniać, że tego rodzaju interesa odbywały się zawsze w tajemnicy, nie przez wzgląd na pana Anastazego, lecz dla spokoju samych interesantów i aby uniknąć ludzkiéj zazdrości.

Na wiosnę tego roku, w którym się opowiadanie nasze zaczyna, wypadło panu Anastazemu pojechać do Warszawy. Trapiła go mocno zaległość rat asekuracyjnych od ubezpieczenia; z któremi nie można było żartować.

— Jedź, jedź—mówiła żona—bo niechby się czego Boże broń spaliło...

— Ech...—odpowiedział na to z desperacką miną, oglądając się dokoła—możeby lepiéj żeby się spaliło... przynajmniéj jestem ubezpieczony.

— No, ale trzeba raty zapłacić...

— To też pilnuję się i regestra porządnie prowadzę, a jak ma przyjść nieszczęście, to niech przyjdzie.

Otóż, trzeba takiego szczęścia dla niego (i bankruci bowiem miewają szczęście), że właśnie jadąc do Warszawy, poznał się w drodze z naszym znajomym, panem Alfredem Szafrankiewiczem. A było to już po ożenieniu się jego z panną Anielą, właśnie w epoce rozkwitu świetnych interesów i powziętéj decyzyi na kupno dóbr ziemskich. Pan Anastazy mimo blacharskiego pochodzenia swego przyswoił sobie tę dobrodusznie jowialną powierzchowność szlachcica wiejskiego z żyłką do gadulstwa. — Alfred również lubi się szastać i chwalić ze swoich spekulacyj, więc bardzo prędko i łatwo zawiązała się między nimi pogawędka.

— Pan dobrodziéj zkąd?

— A pan dobrodziéj zkąd?

— Jadę z majątku swego do Warszawy.

— A ja właśnie oglądałem majątek ziemski do kupna...

— Teraz w zimie?—pyta Anastazy, przypatrując się lepiéj towarzyszowi.

— Dla mnie wszystko jedno, zima czy lato, bo ja się panie dobrodzieju na tém znam. Ale ten, który oglądałem, wcale mi się nie podobał. Dom mieszkalny to jakaś słomą pokryta chałupa, pozycya równa, że oko nie ma na czém spocząć, ogród zaniedbany. Doprawdy nie rozumiem, jak ludzie mający pretensyę do czegoś lepszego, mogą żyć i prosperować w podobnych razach... Panie łaskawy, nie samym chlebem człowiek żyje...

W oczach pana Anastazego pokazał się szczególniejszy błysk, poruszył się na ławce, jakby mu nowa myśl przyszła do głowy, a zobaczywszy iż pan Alfred

wyjmuje papierosy z kieszeni, czemprędzéj dostaje zapałkę, pociera ją o rękaw i sam przytyka mu do owego papierosa. Uprzejmość taka podobała się kandydatowi na obywatela, więc prezentuje się panu Anastazemu, a ten nawzajem powiada mu, kto jest i zkąd. Zaczynają rozmawiać już śmieléj; pan Anastazy więcéj słucha niż mówi, Alfred znowu, wpadłszy na tor swoich interesów i stosunków, rozwija przed nim całą ich świetność i wielkie sukcesa. Obywatel słucha, uśmiecha się, potakuje, a od czasu do czasu zachwyca się rozumem młodego spekulanta.

— A pan dobrodziéj duży chce kupić majątek?

— To dla mnie wszystko jedno, duży czy nawet wielki za dwakroć, pół miliona, aby tylko coś porządnego i niedaleko od kolei. Bo choć na stałe osiedlić się na wsi, jednak nie myślę porzucać innych interesów, ani zakopywać się tam gdzieś na pustyni. Kupuję majątek, żeby mieć stałe *locum* i pozycyę, ale ze światem cywilizowanym zrywać nie chcę.

— Bo właśnie widzi pan dobrodziéj — odzywa się p. Anastazy — może i ja bym miał do sprzedania majątek. Leży on o małą milkę od stacyi, i jak mogłem wymiarkować intencye pana dobrodzieja, kto wie czy nie byłby jak raz dla niego.

— Przepraszam, a jak się nazywa?

— Nie bardzo dźwięcznie, bo Dychawica Wielka, ale daj Boże każdemu mieć taką dychawicę... Złote jabłko, panie dobrodzieju!

— Czekajno pan, coś, coś o téj Dychawicy czy słyszałem, czy téż dawał mi jakiś faktor opis, lub czytałem coś w gazetach...

— Ech to z pewnością nie o mojéj—rzecze Anastazy, uśmiechając się obojętnie.—Dychawic panie jest kilka w kraju. Jest w Lubelskiém Dychawica mokra, jest sucha, jest podobno i ciężka, ale moja jest wielka i o niéj nie mógł pan czytać, bo ja panie dobrodzieju nie wdaję się z faktorami i dotąd żadnych kroków o sprzedaż nie robiłem... Jest to majątek całą gębą pański: siedmdziesiąt kilka włók, dwa folwarki, gorzelnia, browar, lasy, łąki, stawy, młyn, kamień do budowy i na drogi, i żeby go wzięły młode ręce zasobne, to znalazłoby się i wapno, i cement i wody mineralne a nawet co więcéj.

— A dom?

— Pałac panie dobrodzieju: szesnaście pokoi, salony, kaplica, a piwnice starodawne takie, że bryczka w cztery konie zawróci!

— Ogród jest?

— Park a nie ogród. Oranżerya, stawy dwa w tym ogrodzie, wyspa, mosty, historye, choć to mości dobrodzieju nie tak utrzymane jak być powinno, bo to ja stary dawnéj daty człowiek nie do tego...

— I dlaczegoż pan dobrodziéj chce się pozbyć tak pięknego majątku.

— Dlaczego? —mówi gorzko się uśmiechając pan Anastazy—dzieci panie dobrodzieju, obowiązki. Córka idzie za mąż i zięć patrzy, żeby co dać, syn również by się ożenił i poszedł na swoje—także trzebaby dać... Oj ciężko to, ciężko rozstawać się z tą ziemią, w któréj pot krwawy człowiek zakopał, ale cóż robić! Dlatego ociągam się już ze trzy lata, a może, a może, jakoś się ułoży, lecz serce boli patrzéć, jak dzieci się marnują.

— Kto wie, możeby mi się i spodobał—odzywa się

na to, udając obojętnego pan Alfred — i żeby pan dobrodziéj dał mi opis...

— Te opisy to na licha się zdały. Ot, niech pan dobrodziéj przyjedzie kiedy sam, obejrzy, to będzie najlepiéj... A i moja żona się ucieszy, jak pozna tak miłego i rozumnego człowieka, bo Reginka jest bardzo wykształcona osoba... nawet pisze czasami do gazet... ale to sza... Dwie godziny jazdy koleją, pół godziny końmi, to jakby spacer...

— A te wody mineralne, to jakie?

— Ech, kto tam wie—odpowiada śmiejąc się Anastazy.—Jest źródło na łące za dworem, z którego bydło ani chce powąchać wody... Reginka powiada, że to jest mineralne.

— A smak?

— Przyznam się, panu dobrodziejowi, nie próbowałem...

— Jakże tak można?

— My na wsi na takie rzeczy nie zwracamy uwagi. Powiadają, że woda jest słonawa, że ją czuć atramentem.

— A zapach?

— O, brzydki! Kiedy się tamtędy idzie trzeba szybko mijać. Tak coś... coś... No ale co tam o takich rzeczach gadać—poprostu odor...

— Otóż to, że panowie na wsi wyrzekacie na biedę a wszystko, coby mogło was podreperować, lekceważycie—mówi z pewną ironią zamyślony Alfred...

— Albo to takie rzeczy możnaby mieć na wsi, gdyby człowiek lepiéj się znał! Dwa lata temu nająłem jakiegoś Prusaka do kopania studni. On dawniéj pra-

cował w kopalniach węgla kamiennego na Szlązku—to on powiada: proszę jaśnie pana tu akurat taka jest ziemia jak koło Mysłowic, gdzie węgiel się znajduje. Pokazywał mi różne gródki i piaskowe kamyki... Kopać proszę jaśnie pana *durch*, a będzie niezawodnie węgiel.

— No i cóż pan?

— Zaśmiałem się i jak pokazała się woda, kazałem ocembrować i jest studnia...

Z zamyślonéj twarzy Alfreda znać było, że go wszystko zajmuje i że w głowie jego już rosną jakieś plany na świetne interesa. Nie pytał daléj o Dychawicę, lecz gdy wysiadali z wagonu w Warszawie, poprosił o adres pana Anastazego, przebąkując, że jak mu interesa pozwolą, to może go na wsi odwiedzi.

— Napisze pan dobrodziéj na dwa dni wprzód, że tego i tego dnia przyjedzie, a ja wyszlę na stacyę koniki. Bardzo nam będzie przyjemnie, choćby nie dla interesu...

Pożegnali się uprzejmie i każdy z nich, zaledwie stanął ten w hotelu, a ten w domu, natychmiast posłał po swego faktora.

— Słuchaj Winower — mówi Alfred, kładąc rękę na ramieniu małego szaro i kuso ubranego żydka — idź mi natychmiast do hotelu i dowiédz się, co to za jeden niejaki pan Anastazy... On mieszka na wsi, która się nazywa Dychawica...

— Dychawica? — mówi żyd, robiąc właściwy faktorom grymas.—Dychawica, to chuda kobyła.

— Mój kochany, ja cię nie pytam, jaka jest Dychawica, tylko kto jest pan Anastazy, rozumiész! Jak stoi w interesach, z kim ma stosunki. Nie lubię żadnych uwag.

— Pan chce kupić Dychawicę?

— Ale mój kochany, co tobie do tego, co ja chcę zrobić. Idź i dowiédz się, co każę... Tylko wracaj prędko, żebym jutro rano o wszystkiem już wiedział...

Pan Anastazy prawie tak samo położył rękę na ramieniu Herszka, długiego i chudego żyda jak tyka chmielowa, którego czarne w pożółkłéj i pomarańczowéj twarzy zagłębione oczy biegały wciąż jak u ostrowidza.

— Mój kochanku, idźno mi zaraz na miasto i dowiédz się, co to za jeden ten pan Alfred, który chce kupić majątek ziemski... Mieszka tam a tam, niedawno się ożenił bogato, robi różne interesa, sprowadza kamienie na bruki...

— A jak on wygląda?

— Wysoki, tęgi, wąsik czarny, na twarzy smagły...

— Ny, to ja znam, ale to jest myszygen... Ho, ho, on słyszy jak trawa rośnie...

— Panie dobrodzieju, ty nie pytaj, a zrób co chcę...

— Może wielmożny pan da co na dorożkę... To jest kawał drogi... Wielmożny pan kiedy odjeżdżał, obiecał...

Pan Anastazy chociaż z niechęcią wydobył portmonetkę i coś tam długo szukał drobnych, nareszcie wcisnąwszy mu parę złotych do ręki, ostrzega:

— Tylko uważasz, ostrożnie, zdaleka, żeby nikt nie wiedział, kto, po co i na co...

Obaj faktorzy wybiegli do swoich panów prawie jednocześnie, a idąc naprzeciw siebie, naturalnie musieli się spotkać. Długi Hersz był pilniejszy i właśnie roz-

pytywał stróża kamienicy, gdzie państwo Alfredowie mieszkają, gdy w popielatéj kurtce Winower schodził ze schodów. Żydzi mają szczególniejszy węch, gdy idzie o interes; ledwie więc jeden usłyszał nazwisko Alfreda, przystanął, popatrzył na drugiego, Herszko nawzajem popatrzył na Winowera i choć nie znali się przedtém, zaraz do siebie mru mru, szwar szwar... wysunęli się w głąb bramy, daléjże szwargotać, pomimo, że przechodzący trącali ich, nie mogąc wyminąć.

O czém oni radzili, trudno nam wiedzieć — dosyć, że każdy z nich zamiast pójść tam, gdzie powinien, poszedł z drugim na ulicę, z ulicy do ogródka, gdzie jest piwiarnia. Tu kazali sobie podać po szklance, zapalili papierosy i siedząc tak z godzinę, szeptali, kłócili się, gestykulując każdy na swój sposób...

Pan Anastazy przez ten czas już miał parę wizyt. Inny hotelowy faktor sprowadził mu jakiegoś majstra, który miał chęć założyć garbarnię w Dychawicy, a na tę garbarnię szanowny dziedzic gotów był sprzedać jedną ze swych karczem stojących po nad stawem tuż około młyna. Wyliczając przybyłemu tysiączne dogodności, jakie znajdzie na miejscu, między innemi łatwość nabycia kory z dębu i obfitość wody, oświadczył chęć wzięcia udziału w interesie, dać kilkanaście morgów gruntu dla fabrykanta, żądając małéj rzeczy, to jest kilkuset rubli za budynki...

W trakcie tego pojawili się obaj faktorzy i Herszko, dawszy znak panu Anastazemu, wyprowadził go na korytarz.

— To jest faktor tego pana Alfred—mówi, pokazując na Winowera.

— A nie mówiłem ci, żeby cicho...—ofuknie stary.

— No, jest cicho...

Przystąpił na to Winower, i gdy zaczęli szeptać dłużéj, pan Anastazy poprosiwszy owego amatora na garbarnię, żeby przyszedł późniéj, wprowadził obydwóch do pokoju.

— Interes może być — mówi Winower, zapalając cygaro, którem go poczęstował pan Anastazy—tylko co ja będę miał z tego?

— Zwyczajny procent dwa...

— Za dwa niech kto inny robi. Ja panu powiem: da pan pięć, to interes będzie... Targowali się jeszcze, pan Anastazy skrobał się kilka razy po głowie, gdy Herszko w natarczywy sposób dawał mu znaki, żeby się zgodził. Wreszcie stanęło na tém, co Winower żądał, i napisano potrzebny cyrograf.

Po téj operacyi szanowny właściciel Dychawicy zaczął opowiadać faktorowi szczegóły o tym majątku, ile jest czego, jakie stosunki miejscowe, co można jeszcze zrobić dla poprawy...

— Tysiące fur szlamu leży nad stawem nietkniętych od wieków.

— Niech oni sobie leżą — przerywa żydek z miną lekceważącą.—Jak ja jemu każę coby kupił, to on kupi. A jaka cena?

Pan Anastazy dawniéj byłby szczęśliwy, gdyby mu kto dał sześć tysięcy za włókę, teraz, mając Winowera za sobą, podniósł do ośmiu.

Żyd wydobył książeczkę notatkową, coś szybko w niéj ołówkiem pisał, kombinował, i składając napowrót do kieszeni, powiada:

— On tyle nie da!

— Bój się Boga. Dychawica warta... W sąsiedztwie niedawno sprzedali Brzozowicę po dziesięć tysięcy...

— Nu nie da, bo on tyle nie ma... On da gotówki sto dwadzieścia tysięcy.

— Zostawię resztę na hypotece...

— Nie, to dużo...

— Na długi termin...

— Nie, nie—mówi żyd, potrząsając głową.—On by może dał, ale matka jego żony nie pozwoli.

— To zostawię na amortyzacyę jak Towarzystwo kredytowe...

— Tak, to może, ale pan spuści co...

— Naturalnie, że spuszczę... Otóż jak tylko zejdą przymrozki, przyjeżdżajcie.

— Na co mają schodzić! Lepiéj niech one będą, bo piasków nie ma... My przyjedziemy zaraz w drugim tygodniu. Niech tylko będzie w pałacu porządek i te ranżerye...

Skrzywił się trochę pan Anastazy przy wzmiance o oranżeryi.

— Bo to widzisz ta oranżerya niby jest, ale trochę...

— Ranżerye musi być!—zawoła żyd stanowczo.

— Niema okien...

— Nu, to kazać zrobić.

— Niema tego, jak się nazywa, kwiatów, co zostało, żona poprzenosiła do pokojów...

— Kwiaty muszą być, a jak niema, przenieść i kupić nowe...

— Zabiłeś mi klina dalibóg!... — mówi, spoglądając znacząco na Herszka — bo to kosztuje, a jak nic z tego...

— Jakto nic, kiedy ja mówię, że interes jest! Żona pewno z nim pojedzie, a ona chce ranżerye...

Omawiali jeszcze dość długo różne sprawy Dychawicy, a Winower dawał wyczerpującą informacyę, jak ich przyjąć, o czém z nimi mówić, co im dawać jeść, a pan Anastazy nie mogąc już spamiętać wszystkiego, notował ołówkiem, gdy zachwycony rozumem nowego wspólnika Herszko ciągle cmokał ustami, rozkosznie kręcił głową i przebierał nogami. Ukończywszy konferencyę z panem Anastazym, Winower poszedł do Alfreda, przybrawszy bardzo zasmuconą minę.

— No i cóż? — pyta niecierpliwie, gdy faktor wszedł do gabinetu. Matka pani Alfredowéj i sama pani siedziały rozpromienione, jak się zdaje pod wrażeniem opowiadania Alfreda o cudach Dychawicy.

— Jest wszystko, ale...

— Więc mów, cóż taką masz krzywą minę?...

— Bo ja myślę, co z tego nic nie będzie...

— Winower zawsze odradza interesa, których sam nie stręczy—odzywa się z pretensyą Aniela.

— Dajże pokój, niech mówi.

— Pan Anastazy jest to obywatel, który zrobił pieniądze na dachu...

— Zwaryowałeś—rzecze śmiejąc się pan Alfred—któż pieniądze robi na dachu.

— Et!—wtrąca staruszka, wstając z krzesła i machając ręką. — Ja ci zawsze mówiłam, że Winower jest za głupi na takie rzeczy... On dobry jak idzie o spra-

wunki dla obywatela, o wyszukanie pisarza lub ekonoma...

— Mówże daléj...

— Zrobił majątek na dachu, co jest *Festung* w Modlinie i kupił za to Dychawicę — mówi daléj spokojnie Winower.

— Więc to nie szlachcic?

— Ja nie wiem, czy on szlachcic, tylko jego żona jest jakaś mała hrabina... a ta Dychawica była jéj brata. Pan Anastazy to nie ma takiéj głowy mądréj i na gospodarstwie się nie zna.

— Ja téż zaraz pomyślałem, że tam bieda umysłowa—wtrąca Alfred.—Ma naprzykład wody mineralne, ma węgiel kamienny, i o tém mówi jakby o Ameryce... No, ale chce sprzedać?

— Onby sprzedał, bo ten zięć, co z jego córką się żeni, chce trzydzieści tysięcy, ale pani Anastazy jego namawia, żeby nie sprzedawał, ale pożyczył pieniędzy.

— Kto mu dziś na dobra pożyczy — odzywa się z powagą pani.

— A ty wiesz, gdzie szuka pożyczki?—pyta zakłopotany trochę Alfred.

— Wiem. Był u tego adwokata co się nazywa Adamski... był u Imerwara...

— I cóż?

— Ale i ja byłem u nich—mówi z powagą Winower—i ja nie kazałem jemu pożyczać...

— Wybornie—zawoła Alfred.—No widzisz Anielciu, że Winowor nie taki głupi, jak się wydaje...

— Pani Anastazowa możeby i zgodziła się sprzedać, ale jéj żal pałacu i ranżeryi. Ona przepada za

kwiatami... Ogród tam jest jak u księżniczki... Tam w ten ogród jest *Insel* z wodą na około, na którém pływa taka wielka gęś zagraniczne jak w Łazienki.

Pani Alfredowéj tylko oczy zaświeciły się z radości, i wstając, zbliżyła się z uśmiechem do faktora.

— No, no, Winowerku, postaraj się, żebyśmy tę Dychawicę kupili, a nie będziesz żałował...

— Jabym tylko radził panu robić interes zaraz, bo jak on dostanie pieniądze, to nie sprzeda...

— Oczywiście, pojadę zaraz—powtarza Alfred.— A nie wiész kiedy on wraca do domu?

— Nie wiem. Możeby się pan z nim tu jeszcze rozmówił w hotelu.

— A to na co! Ze szlachtą trzeba ostrożnie, ja ich znam; zarazby myślał, że ja chcę gwałtem i pokazywałby fanaberye. Ci obywatele wiejscy to wszyscy są niezmiernie przebiegli.

— A jakby on tu sam przyszedł?

— Tak co innego; niech on się mię prosi, a nie ja jego...

— Gdzieżby on ci przyszedł — odzywa się Aniela — to są ludzie dumni.

— Dlaczego niema przyjść—mówi żyd—ja jemu powiem, co pan mu pożyczy te trzydzieści tysięcy.

— Broń Boże, ani myślę!

— Ny, co to szkodzi obiecywać...

— Chyba tak. Więc idź i próbuj...

Próba się udała, i pan Anastazy z pokorą i wielce zakłopotaną miną znalazł się na herbacie u państwa Alfredów. Musiałbym zamiast opowiadania napisać tu choćby jeden akt komedyi pod tytułem: *Trafiła kosa na*

kamień, żeby dać czytelnikom jakie takie wyobrażenie o doskonałości gry tego rodzaju dyplomatów, przekonanych o swojéj wyższości jednego nad drugim. Pan Anastazy udawał hreczkosieja, który Bogu duszę winien, i plótł niestworzone rzeczy o swojém dyletanckiém gospodarstwie na wsi. Alfred przeciwnie, żartując sobie z jego naiwności, wyciągał coraz bardziéj na słówka, z których widoczném było, że pan Anastazy bardzo małą rolę odgrywa w domu, i w jakich z tego powodu zostaje tarapatach. Wstrzymując się od śmiechu gospodarz tylko od czasu do czasu ruszał ramionami i dawał tajemne znaki kobiétom, jaki to paradny egzemplarz obywatela mają przed sobą... Ze swéj strony obie panie sadziły się na oznaki grzeczności i uprzejmości dla Anastazego, tak dalece, że stara matka zajęta gościem zapomniała o kontrolowaniu Piotra, a ten znowu korzystając ze swobody poprostu rabował śmiało i za wszystkie czasy cukiernicę i karafkę z arakiem.

Anastazy, trzymając się jednéj metody, mówił bardzo mało o saméj Dychawicy, mimo, że kobiéty zarzucały go ciągle pytaniami o ten pałac, o gondolę na stawie, o położenie dworu, ilości pokoi, okien, drzwi i t. p. Udając dobrodusznie naiwnego, Anastazy nie potrafił narysować planu rozkładu apartamentów, czego się domagała pani Aniela, a na wszystko tylko odpowiadał:

— Jeżeli państwo dobrodziejstwo zechcą nam zrobić ten zaszczyt, to proszę przyjechać choćby na parę tygodni... Ja mam tak zakłopotaną głowę, że dalibóg nie pamiętam nawet, jak to wszystko wygląda.

Po jego odejściu, nikt już w domu pana Alfreda nie wierzył, że Dychawica może być nie ich; rozmawia-

no więc o wszelkich szczegółach przyszłego urządzenia się na wsi, dysponowano pokojami, ustawiano meble, zadecydowano kupić bilard, a nawet sprzeczano się, komu w sąsiedztwie odda się pierwszą wizytę — albowiem Anastazy o tém sąsiedztwie dał im wyczerpujące sprawozdanie.

III.

W dwa tygodnie po zabraniu znajomości z panem Anastazym, jechali Alfredowie do Dychawicy. Byliby pojechali prędzéj, lecz Winower codzień wynajdywał różne przeszkody, aby dać czas sprzedającemu poczynić odpowiednie przygotowania.

Dzień był pogodny, choć mały przymrozek pościnał piaski na drodze wiodącéj do Dychawicy, a że czwórka gniadoszów pomykał żwawo, więc aspiranci na dziedziców rozkoszowali się taką przejażdżką. Pani Aniela, rozsiadłszy się wygodnie w powozie, pieściła się myślą, jak to zaimponuje sąsiadkom wspaniałą aksamitną suknią z koronkami, którą już dla pierwszych wizyt zamówiła. Przymrużywszy oczy, co podług niéj należy do dobrego tonu, układała w myśli cały szereg frazesów, któremi powita panią Anastazową, zaś mąż, otoczony gęstemi kłębami dymu z papierosa, roił o sławie postępowego gospodarza w Dychawicy, o zyskanem poszanowaniu współobywateli, o godnościach z wyboru, któremi go wdzięczni rodacy zaszczycą, albowiem bądź co bądź, pokaże téj zapleśniałéj szlachcie, jakim powinien być

obywatel ziemski. Wszystko, co kiedyś wyczytał w dziennikach i powieściach o powołaniu ziemianina, o jego obowiązkach względem kraju, sąsiadów i tego biednego ludu włościańskiego—stanęło mu teraz przed oczami.

— Zobaczą co to są ludzie nowi—myślał, przypatrując się lichym chatom rozrzuconym kupkami wśród piasków.—Okropność, jak tu wszystko zaniedbane! Ani jednego drzewa przy drodze, kiedy zagranicą najpiękniejszych owoców dostarczają drzewa sadzone przy gościńcach publicznych... A jaki to lud ponury, zbiedzony, niechlujny!... Boże drogi, niewielka różnica od zwierząt... No, mam nadzieję, że to będzie inaczéj u mnie; ja rozbudzę na nowo ich dusze, zaszczepię poczucie godności człowieczéj... Ja będę dla nich trąbą archanioła, która ich podniesie z grobu!

Wtém stuk na progu bramy, przez którą wjeżdżało się na dziedziniec pałacu w Dychawicy, boleśnie przerwał jego medytacye. Powóz tak skoczył nagle, że pan Alfred, uderzywszy głową o pudło, dostał porządnego guza. Turkot po nierównym bruku, strzelanie z bata, szczekanie zgrai psów i krzyk przestraszonéj tém wszystkiém pani towarzyszyły im aż do ganku.

Tu oczekiwała już cała rodzina państwa Anastazych. On sam otworzywszy drzwiczki, chwycił pod rękę Alfreda, panią wyniósł na rękach jakiś opalony, w myśliwskich butach dryblas, a dwie kobiéty, to jest pani Anastazowa z córką, chwyciwszy ją téż na ganku pod ręce, razem z gromadą psów plączących się pod nogami, wprowadziły prędko przez obdartą sień do pokoju, a z tego jeszcze daléj do paradnego salonu. Nie dano przyjść do słowa przelękłéj kobiécinie, nie pozwolono jéj zdjąć futra w pierwszym pokoju, lecz za to w salonie

rzucili się wszyscy jak na rabunek. Anastazy, syn, córka, matka, lokaj, każde rwało z przybyłych jakieś ubranie, uciekając z nim w różne strony, tak, że biedna pani Aniela, odurzona podobnego rodzaju usłużnością, nie mogła się zdobyć na prośbę, aby jéj oddano chustkę do nosa, którą zostawiła w zarękawku.

— A, pani dobrodziéjko, jakiż zaszczyt, jakie szczęście tego! — wołał sam gospodarz, cmokając raz po razu drobne rączki Anieli...

— Nigdybyśmy się takiéj łaski nie spodziewali— dogadywała sama Anastazowa, osoba dobréj tuszy, o rumianych policzkach i czarnych wyrazistych oczach, sadząjąc gościa na samym środku wielkiéj jak arka Noego kanapy.—Józiu, może poduszkę dać pani—woła na córkę—Kasiu... poszukajno stołeczka pod nogi.

— Poszedł precz Zagraj!... Precz Zagraj!... Na tu Wanda! — krzyczeli naraz ojciec, syn, lokaj, ciągnąc w bardzo komiczny sposób za nogi czarnego ogara, który skomląc rozpaczliwie ani chciał opuścić stanowiska z pod kanapy, na któréj siedziała Alfredowa.

Gospodarz poznajomił gości ze swoją rodziną a gdy pociągnął Alfreda do drugiego pokoju na wódeczkę, obie panie przesadzały się w wynajdywaniu dla pani Alfredowéj komplimentów.

— Mamy do pani wielki żal — odzywa się matka.

— Do mnie, a to za co?—pyta ze strwożoną miną Aniela.

— Zbałamuciła mi pani męża. Od czasu, jak powrócił z miasta, o niczém i o nikim już nie mówi, tylko o pani... Tak było u pani Szafrankiewicz, to podawano, taką miała suknię, to mówiła, słowem nikt, tylko pani Szafrankiewicz na ustach i na myśli.

— Anastazy historye opowiada, jaki to tam szyk u państwa.

— Przepraszam — przerywa córka — tatko mówił, że dystynkcya.

— Ale moja Józiu, jakże możesz komponować słowa—wyraźnie słyszałam szyk...

— To było kiedyindziéj, mama nie pamięta; ja przecież jestem żywa, jak tatko mówił: panie te mają dystynkcyę jak księżniczki.

Matka miała chęć oponowania, lecz panna Józefa powołała się na świadectwo Kazia.

— Prawda Kaziu, słyszałeś, co?

Kazio, właśnie ten opalony Samson z czarną pokręconą jak u murzyna czupryną, stał przy oknie, obserwując gonitwę młodego legawca z indykami. Zagadnięty nagle, poruszył się, oczy wytrzeszczył, usta otworzył i zamknął, ale nic nie powiedział.

Pani Alfredowa spojrzała w jego stronę, a chłopak spłonął jak piwonia. Jest to wysoki, bardzo niezgrabny, lat może dwudziestu młodzieniec, ubrany w szaraczkową czamarkę z zielonemi wyłogami. Skończył trzy klasy gimnazyalne przed dwoma laty i miał iść na praktykę gospodarską do jednego hrabiego, ale ojcu jakoś schodziło z tém oddaniem, więc, jak to mówią, wisiał przy papie, ćwicząc się w strzelaniu do kaczek, polowaniu z chartami i miłosnych praktykach wiejskich. W chwilach wolnych od tych zajęć wydawał obroki dla koni cugowych, bo ekonomowi nie można było dać kluczów od spichlerza, i po nocach czatował z karbowym na szkodników wypasających łąki. Dochód z tak zwanéj „zaimki” wyłącznie już należał do niego.

Podano obiad, pan Anastazy z całą galanteryą,

w prysiudach, podał ramię pani Alfredowéj, za którą idąc nasze damy podziwiały wspaniałość jéj sukni, niby to szeptem, lecz tak, że wszystko słyszała.

— No, szanowny gościu nasz—zaproponował gospodarz — napijemy się po szlachecku wódeczki, i nalawszy prawdziwie bernardyński kielich przepił do Alfreda.

Żeby się nie pokazać nowicyuszem przyszły obywatel jak stary gracz wychylił także, a choć czuł, że to za wiele na niego, jednak przy obiedzie podążał za panem Anastazym, który co parę minut wznosił nowe, czasami nawet dowcipne toasty.

Na dworze, a jednocześnie i w umyśle Alfreda mrok zapadał. O oglądaniu majątku naturalnie dziś nie było mowy, więc tymczasowo zaproponowała gospodyni zwiedzenie pałacu. Kazio niósł świecę naprzód, obie panie postępowały za nim, a panowie całując się i ściskając co chwila, stanowili straż tylną, nieszczędząc sobie różnych, czasami trochę dwuznacznych dowcipów. A pokojów tych w pałacu było dosyć — większa część pustych, obdrapanych, z powybijanemi szybami, przegniłą podłogą i szczątkami dawnych stiukowych ozdób na sufitach. Przy świecy nie raziło to, tém bardziéj, że w głowie pana Alfreda było nadzwyczaj jasno... Śmiał się głośno, projektował, co to można zrobić z tego mieszkania. Anastazy zaś przyświadczał i z miną dobrotliwego prostaczka przyznawał otwarcie, że o takich rzeczach nie ma najmniejszego wyobrażenia.

Gdy panie wkroczyły do spiżarni, Alfred powiada:

— Co my tam będziemy wdawać się z kobiétami w ich sprawy, pójdźmy gadać o naszych rzeczach.

I poszli, a zasiadłszy przy butelczynie, rozpoczęli

na seryo traktować o Dychawicę. Tymczasem pani Alfredowa, zostawszy w spiżarni, nie mogła wyjść z podziwienia nad obfitością zasobów, które jéj przedstawiano. Po ścianach wisiało kilka olbrzymich połci słoniny, w towarzystwie różnych wielkości szynek; z powały spuszczały się na sznurach objęte drewnianemi kleszczami sadła, tu parę zajęcy, tam sarna, tu pułki zastawione słojami, słoikami, garnkami. Na podłodze beczki z mąką i kaszą, tam faski z masłem—tu rzędy serów, a w jednym kącie na ławach rzędem ustawione ogromne garnki nalane mlekiem. Pani Aniela, gospodarując w mieście, gdzie codzień kupuje się wszystko na grosze, była olśniona taką obfitością; zaś pani Anastazowa coraz nowe pokazywała jéj rzeczy. To beczki ogórków, to wianki grzybów, wędliny, ptactwo domowe oskubane, zapasy orzechów, miodu, suszonych owoców, a wszystko swojego przygotowania i pochodzenia z Dychawicy.

Dlatego téż, kiedy po kolacyi zaprowadzono ich na noc do przygotowanego pokoju, mówi ona do męża:

— Otóż na wsi aż miło! Nie masz pojęcia Fredziu, co oni mają zapasów. Dopiero to będzie mameczka uszczęśliwiona, jak się dostanie do tego raju!

— Uczciwi ludziska!—dodaje Alfred—przyjmują nas po królewsku, to nie tak jak w mieście, gdzie cedzą przez zęby każde słówko. Na wsi tylko jest szczerość i prawda w życiu... Bo proszę cię, czém my jesteśmy dla nich? prostą znajomością i to niedawno, a jacy to uprzejmi!... Radbym, żeby się dało skończyć... Powiem ci—dodaje, nachylając się do ucha żony—że trzeba się uwinąć, bo o ile mogłem wydobyć parę słów z tutejszego ekonoma, spodziewają się jakiegoś stryja czy

wuja, który ma im pożyczyć pieniędzy... Napisałem dlatego parę słów do Winowera, żeby przyjechał...

Na drugi dzień państwo z Warszawy spali do dziesiątéj. Okiennice były szczelnie zamknięte, a że na wsi jest cisza, więc nieprzerywało nic spokoju mieszczuchom. Lecz zaledwie posłyszano pierwsze chrząknięcie Alfreda, już za drzwiami czatowała pokojówka do usług. Za nią kręcili się pani i panienka, sam pan i panicz, a gdy goście weszli do sali jadalnéj na śniadanie, była taka obfitość przyborów do kawy, takie ze strony gospodarstwa zapraszanie, wreszcie takie wszystko wyborne, świeże i smaczne, że Alfred wstając od stołu, nie mógł wytrzymać i powiada:

— Jak Boga kocham moi państwo, jeżeli będziemy ciągle tak karmieni, to ja nie będę się mógł ruszać!

Śmiano się z takiéj szczerości kochanego pana Alfreda, całowano się, żartowano, aż wreszcie zaproponował gospodarz obejrzenie gospodarstwa.

— Wprzód jednak przetrącimy co — mówi pan Anastazy — ja panie dobrodzieju na czczo wychodzić z domu nie mogę.

Więc przetrącili po kieliszku anyżówki, zakąsili suszonemi owocami, wędliną, wypili po lampeczce porteru, i puścili się do ogrodu.

— Ech, panie dobrodzieju—rzecze Anastazy, sprowadzając gościa na dół ku obszernéj sadzawce — żeby to człowiek miał trochę lepiéj w głowie, coby tu się dało zrobić z tego ogrodu! Ale to dawniéj rodzice nasi nie dbali bardzo o edukacyę, ot, chowało się w domu jak u Pana Boga za piecem. Zresztą i nie ma na to. Proszę pana, ten staw pobrać głębiéj, wyczyścić, tu mo-

stek postawić na kępę, tam wyciąć widok na wieś... Cudowna szwajcarska panorama...

Alfred jak wódz rozpatrujący teren przed bitwą, obejrzał się tu i tam, brwi ściągnął i wyciągnąwszy rękę z laską, nakreślił zdumionemu Anastazemu cały plan przyszłego przekształcenia ogrodu.

— Inspekta ztąd precz... szkółka precz, tu klomb dywanowy, tu grupa drzew dzikich! Żadnych kwadratów, bo to jest monotonnem i nuży oko...

Anastazy oczy wytrzeszczył, słuchając tego wszystkiego z nabożeństwem, potakiwał kiedy niekiedy i wzdychał nad swoją nieświadomością, a wreszcie, uderzając się co chwila w czoło, dziwił, jak on siedząc tu lat tyle ani pomyślał, że coś podobnego da się zrobić.

Z ogrodu poszli obejrzéć zabudowania gospodarskie. Alfred i tu okazał się mistrzem, narzekając na niepraktyczny rozkład.

— Za granicą nie tak sobie ludzie radzą. Ja te budynki postawiłbym w krzyż, uważa pan dobrodziéj, tak—mówi, kreśląc laską po piasku plan tych zabudowań.—Tu w spojeniu krzyża stoi maszyna parowa i panie dobrodzieju, obsługuje wszystko. W jedném ramieniu stodoła i młocarnia, w drugiém holendernia, w trzeciém stajnia na konie; tu młyn, tu sieczkarnia a wszystko samo młóci, czyści, rżnie sieczkę, paszę gotuje... Wszędzie koléj prowadzi do stajen i obór, do spichrza—zakręcisz panie dobrodzieju i jak w zegarku, a ludzi prawie nie potrzeba...

W ten sposób idąc daléj, nasz bohater krytykował wszystko, ucząc zawstydzonego Anastazego, jak to być powinno w porządném gospodarstwie. Naturalnie, że na woły, krowy, konie, marnujące czas na przebiera-

niu czystéj słomy przy żłobach, ledwie, że spojrzał; w stodole tylko kazał sobie wykruszyć parę kłosów zboża, ziarna zgryzł w zębach i uznał, że mają dosyć glutenu. Służba dworska, widząc, że sam dziedzic chodzi koło niego z taką pokorą i attencyą, spoglądała zdziwionemi oczyma na tego wielkiego pana z Warszawy. Parobcy i dziewki chwytały go energicznie za nogi, a wielko marsowaty gumienny, ubrany już na pół z mieszczańska, w żaden sposób nie dał się nakłonić do włożenia czapki na głowę.

— Jaśnie panie, ja wiem co się komu należy—mówił ze znaczącą miną, chowając czapkę za siebie.

— Poczciwości człowiek — szepcze pan Anastazy, pokazując na owego Izydora. — A wierne to jak pies... Ja się tam z owymi surdutowymi oficyalistami nie wdaję; wszystko to w rumel próżniacy i panowie. Mam ja ich rządów póty... wyprowadzili mnie oni dobrze. A taki prosty chłop najlepszy. Jak mi przyjdzie fantazya, zhukam go panie łaskawy, z błotem zmięszam i wysłucha cierpliwie. Nie bez tego, żeby czasami coś tam nie chapnął, ale przynajmniéj mało, bo głupi i potrzeby jego niewielkie, a taki pan rządca uczony to chce żyć lepiéj odemnie. Pani w kapeluszach, dzieci do szkół, a to z czego?... Radzę panu łaskawemu z dobrego serca nie wdaj się z tymi panami—ot prosty a sprytny i gorliwy, więcéj będzie użyteczny ze swoim chłopskim rozumem; przynajmniéj fanaberyi nie ma żadnych.

Gdy przyszło obejrzéć mapę dóbr, pokazało się, że jest, ale bardzo podarta i bez regestrów pomiarowych, które pewien geometra jeszcze przed pięciu laty gdzieś zawieruszył.

— Filut to był nad filutami —mówi Anastazy. —

Kazałem mu panie łaskawy przemierzyć jeden kawałek lasu, a on jak zmiarkował, że tu daleko więcéj jest gruntu niż w regestrach, napiera koniecznie, żeby na nowo przemierzyć całą Dychawicę. Ale ja sobie myślę, toć mi tam nie ucieknie, co jest w ziemi to jest. Więc panie łaskawy, pokręcił, pomachlował, papiery w kupę zawinął i pojechał. Ja tu panie potrzebuję coś w pół roku zajrzéć do mapy, rozwijam—regestrów nie ma. Piszę do niego, a on odpisuje: wszystko zostawiłem; zresztą jeżeli Wpan rozkaże, gotów jestem zrobić nowy pomiar. A, myślę sobie, jestem w domu i wiem o co ci idzie? Mnie téż nie w ciemię bili i powiadam: dziękuję uniżenie.

— No, ale jakaż rozległość całych dóbr? — pyta Alfred.

— Najmniejsze dziecko z okolicy powie panu łaskawemu, że Dychawica ma przeszło siedmdziesiąt włók... to rzecz znana i ja tu mam zanotowane u siebie z dawnych regestrów... Zresztą ten geometra Pręciński mieszka w Warszawie, i dość mu zaproponować, to on Dychawicę zmierzy za darmo. Powiada: pan dobrodziéj dasz mi pięć procent wartości tego, co ja wynajdę więcéj przestrzeni w Dychawicy, a ja nowy pomiar zrobię.

Nareszcie trzeba było zajrzéć w pole i do lasu.

— Przetrącimy i pan dobrodziéj pojedzie — mówi Anastazy. — Dam panu Izydora, on tutaj urodzony, i każdy skrawek ziemi zna lepiéj niż swoje sumienie.

— Wolałbym, żeby sam pan dobrodziéj pojechał.

— A, nie, nie, nie...—woła, trzepiąc rękami różowy człowieczek. — Niech pan sobie ogląda, jak chce, i rozpytuje się swobodnie. U mnie każdy interes idzie

uczciwie i nie chcę jak inni wychwalać swego majątku, albo coś ukrywać, albo w inném świetle przedstawiać. Targować się mogę do ostatniego, ale żadnych takich...

Podobała się niezmiernie ta otwartość sprzedającego, więc przetrąciwszy, wsiadł Alfred z karbowym do bryczki i wyjechali za bramę dziedzińca. Jak powiedziałem wyżéj, było to na wiosnę i jeszcze miejscami śnieg leżał na polach, a ziemia tak grzęską, że gdy sprobował wejść na rolę, nabrało się panu Alfredowi błota przez wierzch kamaszy.

— Tam na górce będzie suszéj—mówi Izydor.

— A niech licho porwie takie suszéj — odpowiada cofając się do bryczki. — Nie głupim brnąć po kostki w błocie... I z bryczki zobaczę, co mi potrzeba; proszę mi dać tylko próbkę ziemi w papier...

Jeździli w taki sposób tylko po drogach i brali próbki, a pan Alfred z bryczki oglądał pola i lasy, łąki i pastwiska zalane wodą. Dla takiego dyletanta, jakim jest pan Alfred, był to jeszcze najpraktyczniejszy sposób oglądania. Wieś znał tylko z gościny u dawnych kolegów lub protektorów matki, gdzie go na wakacye zapraszano. Raz tylko miał sposobność przypatrzenia się bliżéj tym rzeczom, gdy go adwokat wysłał z komornikiem na detaksacyę pewnego majątku, którego prowadził sprzedaż przymusową. Obecnie wiedział, że w téj okolicy płaci się tyle a tyle tysięcy za włókę, więc skoro inni tak płacą i on może. Najbardziéj jednak zwróciły jego uwagę owe gromady kamieni tu i owdzie widniejące na polach.

— A przynieś no mi parę mój przyjacielu — rzecze do karbowego.

Izydor przyniósł, Alfred obejrzał i powiada.

— Toż to takie, jakich na bruki używają w Warszawie.

— Takie proszę pana...

— A ile się płaci furmanka ztąd do Warszawy?

— Różnie jak czas po temu. Zimą przy dobréj drodze pojedzie chłop za ośm złotych.

— Hm — pomyślał sobie pan Alfred — trzy fury powinny zabrać sążeń — a sążeń kamieni brukowych w Warszawie kosztuje dziś pięćdziesiąt rubli. Uśmiechnął się zadowolniony ze swego pomysłu, bo policzywszy koszta transportu nawet na czterech furmankach, zostanie mu na czysto za sążeń około czterdziestu rubli... Świetny interes! W Dychawicy tych sążni może być tysiące...

W ten sam sposób oglądało się las, który jak wiele lasów naszych, przy drogach i od wjazdu wyglądał nieźle dla oka ludzkiego, a daléj w głąb pan Alfred nie miał ochoty się zapuszczać. Izydor tymczasem opowiadał mu różne historye o polowaniach; jak dziki raz napadły panicza, że musiał schronić się na drzewo, jak sarny przechodzą tu gromadnie z sąsiednich lasów hrabiego, ile tu lisów i zajęcy zabito przeszłéj zimy, jak gajowy raz przyniósł cietrzewia, wreszcie jak poszukiwane są i drogo płacone pnie sławnych sosen, które wykopują włościanie na łuczywo. W ogóle Izydor był nadzwyczaj wstrzemięźliwym w odpowiedziach i zachowywał się jak na prawdziwego dworskiego dyplomatę przystało, to jest, że trzeba było wszystko z niego ciągnąć.

— Jakże tu, o robociznę trudno?

— Tak, różnie proszę jaśnie pana. Czasem to

tyle się tego najdzie, że trzeba odpędzać, a czasem dwoje ludzi nie znajdziesz, choćbyś dwa złote płacił.

Tak samo było „różnie" ze zbiorami zboża co do ilości kop lub wydatku, tak samo „różnie" z propinacyą, wełną z owiec, ceną i t. p.

— Może być, że to jest uczciwy człowiek — pomyślał sobie Alfred—ale że ograniczony, to nie ulega wątpliwości.

W dwie czy trzy godziny obejrzano cały obszar włók siedmdziesięciu, i kiedy Alfred wrócił znużony, głodny, zziębnięty — zastał już dwóch swoich faktorów. Pan Anastazy wystąpił z regestrami gospodarskiemi, które od lat kilku bardzo porządnie, bo dla towarzystwa ubezpieczeń prowadził. Daléj przedstawił wartość budowli asekurowanych, która blizko trzecią część wartości całego majątku wynosiła, wreszcie wykaz gotowych dochodów, które stanowiły już kwotę dającą pięć procent od ceny żądanéj za Dychawicę. Propinacya, młyn, ryby, wydzierżawianie pastwiska w lesie, pacht z krów, orzechy, grzyby, drzewo z lasu, pnie, trawa z miedz, owoce z sadu, dzikie gruszki z drzew stojących w polu, kapuśnisko w ogrodzie i wiele innych tego rodzaju pewnych źródeł dochodu obliczone były skrupulatnie podług ksiąg rachunkowych.

— Niech pan dobrodziéj mi wierzy—dodaje z nieśmiałością Anastazy—żem tu jeszcze nie zamieścił dużo rzeczy, jak naprzykład dochodu z maku i czarnéj malwy, dochodu z pszczół (było siedm uli wszystkiego) z kwiatu róży na konfitury, z chowu indyków, z agrestu...

— Ech, takie drobnostki!...

— Nie panie dobrodzieju, to nie są drobnostki— przerywa Anastazy — wszystko to zebrawszy grosz do

grosza, stanowi znaczną sumę... Ale to już jest dochód mojéj żony... z którego ona cały dom oporządza.

— A co téż kosztuje utrzymanie gospodarstwa?— zagadnął Alfred.

— Niewiele panie dobrodzieju. Podatki coś parę set złotych, płace służących także, a robociznę prawie wszystką mamy z odrobków. Da się tam zagonów trochę pod kartofle, to pozwoli się sąsiednim wsiom pastwiska, to tam trochę trawy wykosić z zarośli, i dzięki Bogu zbierze się wszystko na czas... Ot niech pan dobrodziéj patrzy—mówi otwierając księgę—jeszcze mam z przeszłego roku ośmdziesiąt pięć dni niewyrobionych...

— A z włościanami jak sprawa?

— Skończona... chwała Bogu! ślicznie, pięknie odgraniczeni. Tam choć trochę mają zbieraniny w lesie, pastwisko na kawałeczku pola i jesteśmy w serdecznéj zgodzie... A już to lud tutaj jest poczciwy, spokojny i z wielką przychylnością dla dworu... Niechbym o północy poszedł do którego gospodarza o furmankę, czy o pomoc jaką—natychmiast pojedzie, zrobi, a o zapłatę nawet się nie upomina... Da mu się tam co bądź i jeszcze w rękę pocałuje; już to mogę się pochwalić, że z chłopami jestem dobrze...

Targi o cenę majątku skończyły się dość prędko. Alfred, obliczywszy wszystko na prędce, (a ma do tego dar jedyny, doszedł, że płacąc tysiąc rubli za włókę, płaci tylko budynki i wartość drzewa w lesie, ziemia i gotowe dochody pozostają mu darmo... Dochody te z Dychawicy pokryją z nadmiarem wszystkie wydatki, procenta od długów hypotecznych tak, że gotówka za zboże pozostanie wyłącznie dla niego... Świetny interes rzeczywiście! ale téż trzeba mieć takie szalone szczęście,

jakie ma Alfred, żeby trafić na podobnego niedołęgę, jak pan Anastazy, który nawet nie jest w stanie obliczyć wartości własnego majątku!

— I tacy ludzie — myślał sobie dumny ze swego szczęścia pan Alfred — mają utrzymać narodowość i w kraju przodować!... Zbutwiałe, jak Boga kocham zbutwiałe plemię... skazane na zatratę...

Gdy ułożono już wszystkie punkta, bo Alfred nie był twardym w drobnostkach, pan Anastazy z powodu; że była już dziesiąta godzina wieczór, zaproponował spisanie punktów przedugodowych na jutro. Alfred już się miał zgodzić, kiedy trąca go Winower.

— Niech pan nie pozwala; ona jemu nie da sprzedawać—szepcze do ucha!

— A na co odkładać—rzecze Alfred stanowczo—robić, to robić zaraz...

— Ale panie dobrodzieju — sumituje się zakłopotany gospodarz—ja muszę jeszcze poradzić się z Reginką, pan dobrodziéj także ze swoją żoną...

— O, nie, moja Anielka zupełnie mi ufa i co ja zrobię! wszystko dla niéj dobre!

— Mój Boże — mówi, wzdychając ciężko Anastazy—jak pan dobrodziéj szczęśliwy, mając taki porządek w domu. Ja nie mogę bez Reginki... Zresztą tak jakoś cała rzecz poszła nagle... ani wiem, co z nami będzie...

— Niech pan nie ustępuje!—szepcze znowu faktor Alfredowi.

— A panie dobrodzieju, słowo się rzekło, przecież rzecz skończona—nalega Alfred.— Jeszcze nie tak spóźniona pora, to nie wiele czasu zabierze napisanie punktów.

— Ot, zajechał mię pan dobrodziéj tak temi słowami, że dalibóg nie wiem, jak tu wyjść z tego. Strach mię ogarnia, co Reginka powie, ona taka przeciwna sprzedaży...

— Ny — wtrąca żyd z pewną zuchwałością — cóż to pani nie wie, po co my tu przyjechali?...

— Idźno idź, kusicielu przebrzydły! — ofuknie zmieszany i zaambarasowany gospodarz. — Wy to tak jak judasze chcielibyście zaraz człowieka utopić, powiesić, zjeść...

— Przecież pana nikt nie przymusza — wtrąca z ironią Alfred — i gdybym był wiedział, że pan dobrodziéj sam nic nie może, nie tracilibyśmy czasu napróżno... przecież my nie dzieci.

— Łaskawco, bój się Boga, nie naciskaj. Dobra sprzedać, to nie bułkę za grosz... A gdzież ja się teraz podzieję nieszczęśliwy.

— Jakto, z pieniędzmi wielmożny pan nie wie gdzie się podzieć! — mówi sarkastycznym tonem Winower.—Czy to świat mały... Daj Boże każdemu taką biedę!...

— Daruj kochany łaskawco — odzywa się, obejmując wpół Alfreda i całując go w oba policzki—ja ten tego się nie cofam, ale muszę pójść do Reginki...

— I owszem idź pan, tylko zapewniam, że jeżeli dziś nie skończymy, jutro dodnia wyjeżdżam. Mam tyle interesów na głowie i nie mogę tracić czasu na próżne gawędki.

Stary wybiegł z rozpaczą do sąsiednich pokoi, a obaj żydzi daléjże operować Alfreda.

— Niech pan jego nie puści!... Na co było po-

zwolić do żony!... Niech pan jéj powie, co w targu żartów nie ma... jaśnie pan jest za miękki pan...

— Ależ dajże mi pokój! — woła nieco wzburzony Alfred, opędzając się krok w krok chodzącym za nim faktorom — od waszego klekotania aż w głowie mi trzeszczy!

Tymczasem nasz Anastazy przechodząc przez pokój, w którym siedziały kobiéty, skinął na żonę.

— Matko! proszę cię na słówko...

Żona wstała i poszła za nim.

— No, chwała Bogu skończone,—mówi, zamykając drzwi za sobą.

— I jakże?

— Doskonale, to dobrodziéj, którego nam Pan Bóg zesłał jak mannę żydom. Wiész, ażem odetchnął... W imię Ojca i Syna... bo już było tak źle, tak źle, że za tydzień Dychawicę sprzedałoby Towarzystwo i my z kijem!...

Pani Anastazowa uścisnęła męża.

— Chwała Bogu... Tylko mój drogi nie przeciągaj struny, jak to już nie raz było, żeby nie pękła! Zdaje mi się zanadto żądasz Nastku... Trzeba mieć sumienie... to jacyś dobrzy ludziska...

— Wyborna jesteś ze swemi skrupułami! — zawołał, śmiejąc się i zacierając ręce małżonek.—Głupi daje, mądry bierze, tak było od początku świata i tak będzie.

— No, ale przecież?

— Każdemu wolno cenić swoją pracę, jak mu się podoba!

— Jednakże...

— Cóż jednakże, cóż? Nie zrobili toż samo ze mną,

hę?... Nie złapali mię tak samo?... powiadam ci, żebym chciał trzydzieści tysięcy więcéj, byłby dał, na moją uczciwość... No, ale ja nie taki i nie chcę zdzierać skóry... Otóż, moja droga, gwałtem nalega żeby dziś zaraz pisać umowę, a ja powiedziałem, że muszę się z tobą naradzić i wyszedłem...

— Zkąd taka łaska—nigdy tego nie bywało—odpowiada pani z wyrazem zdziwienia.

— At, jakaś ty niedomyślna! Chcę ci napędzić tysiączek rubli porękawicznego, a ty się dziwisz. Trzeba, tedy żebyś panie dobrodzieju wpadła z żalami, jak to wy umiécie, że nie chcesz pozwolić na sprzedaż!

— Ej przerachujesz się!

— Zapalił się, mówię ci, jak kot do mleka... A tysiąc rubli zda się przecież... kupisz sobie jedwabną suknię i futerko... dla Józi także coś. Dobrzeby było, żeby i ona tak trochę pomogła—hę? powiédz jéj...

— Anastazy czy to tak ładnie!...

— No, no, no...

— Ja tego nie zrobię!

— Zrobisz! — zawołał niecierpliwie pan Anastazy. — Nie myślę znowu zakładać warsztatu blacharskiego dla twoich dziecinnych skrupułów. Co za drażliwość niepotrzebna... Nie bój się, niewiele nam się zostanie jak wszystkie długi popłacimy Winower już nastrojony i szepnie o porękawiczne. No, no, krzywdy mu się nie zrobi, na pieniądze nie pracował.

Wyszedł, a pani Regina zostawszy sama tylko, westchnęła głośniéj, wolnym krokiem okrążyła pokój, w którym siedziała Alfredowa z córką i chociaż nie z tak desperacką miną, jak sobie mąż życzył, odegrała jednak narzuconą jéj komedyę.

— No, róbże pan dobrodziéj co chcesz z kobiétami! — odzywa się rozkładając obie ręce p. Anastazy. — Jak Boga kocham przyjdzie człowiekowi zwaryować albo w łeb sobie palnąć!...

Nastąpiła chwila uroczystego milczenia. Pani siedzi przygnębiona na krześle i zakrywa oczy ręką, pan znowu z pociesznie rozpaczliwą miną chodzi tu i tam, coś mruczy, rękami wywija, chwytając się od czasu do czasu za głowę. Z swéj strony Alfred jest rozdrażniony, zły, bo wzrusza ciągle ramionami, a z oczu tryskają mu iskry niecierpliwości... Co do żydów, to ci udając poszanowanie dla boleści, stoją jak słupy i nie śmią się poruszyć. Nareszcie pan Anastazy kołując po sali, nieznacznie otarł się o Winowera, a ten przystąpił na palcach do Alfreda...

— Niech jéj pan da porękawiczne — szepcze mu do ucha.

— Proszę łaskawéj pani — odzywa się delikatnie Alfred — trzeba być na wiele przykrzejszych rzeczy przygotowaną w życiu. Zresztą postaramy się ile możności osłodzić pani tę boleść rozstania z Dychawicą; będzie i porękawiczne...

— Tysiąc rubli! — dodaje głośno Winower, a widząc, że cyfra tysiąc wywołuje pewien niesmak na twarzy Alfreda, zaczyna mu z całą natarczywością machać ręką i głową jakby mówił: Dać, dać, co tam!

Po wielu jeszcze w ten sposób odegranych scenach żalu podano sobie ręce uroczyście. Panowie i panie uściskali się po kilkakroć, a żydzi prawie tańcowali z radości. Pani Regina, gdy Alfred z rozczulenia całował jéj ręce, zdaje się, że tém razem szczerze żegnała go krzyżem świętym życząc jak najlepszego powodzenia.

Najgorzéj ze wszystkich wyszedł na tém Kazio, albowiem nie mogąc się doczekać końca targów, usnął w sąsiednim pokoju na sofie, a choć go zbudził Herszko i popchnął do salonu, to blask światła tak raził jego oczy, że mimo energicznego tarcia nie był ich w stanie otworzyć i udać także desperacyę. Szczęściem ojciec posłał go do piwnicy po wino na litkup i tém uwolnił z przykrego położenia.

— Jeszcze nie trzeba wina!—zawołał Winower—naprzód napisać tranzakcyę.

Sprzeczano się na tym punkcie czas jakiś i Alfred usiadł do stolika. Trzeba przyznać, że na tych rzeczach znał się lepiéj od pana Anastazego, jako pracujący kiedyś w kancelaryi mecenasa, dlatego spisanie punktów poszło mu dość gładko.

— A to mię pan dobrodziéj opisałeś jak węża, hę?—powiada Anastazy, czytając umowę.—Na co tu te przemiary w ciągu roku, dziecko wie każde we wsi, ile ma włók Dychawica... nadarmo chcesz pan wyrzucać pieniądze.

— No, a jakże?

— Tak ryczałtem sprzedaję co jest... co pan dobrodziéj widział... i kwita! Albo to świadectwo z kasy o zaległych podatkach? Na co świadectwo? Pojedziemy razem do powiatu, zapłacę przy panu, co się należy i koniec.

Zgodził się Alfred na tę ostatnią propozycyę, ale od pierwszéj nie odstąpił.

Długo musiałbym opisywać wszystkie szczegóły umowy i sprzeczki, jakie się przy pisaniu wywiązały, ograniczę się więc na tém, że chociaż Dychawica sprzedawała się bez inwentarza, pan Anastazy obiecał zosta-

wić coś na zapomogę, a pani zaopatrzyć nową gospodynię w niektóre statki gospodarskie i zapasy. Jednakże tych obietnic do umowy nie wciągano, bo to jest rzecz święta i honorowa jak zapewniał Anastazy.

— Na cóż tam zaśmiecać akt takiemi drobnostkami jak magiel, beczki na kapustę, bryczka, słoiki i inne rzeczy. Nawet trochę mebli zostanie, bo ja panie dobrodzieju kiedy mam do czynienia z porządnymi ludźmi, także potrafię być jak się należy.

Pani Alfredowa była tego samego zdania, więc i mąż, chociaż to formalista jak każdy prawnik, nie śmiał się sprzeciwiać.

Gdy przyszło do umówienia kwestyi wiosennych obsiewów i obliczenia ilości morgów i korcy ziarna na posiew, a także wywózki nawozów, pan Anastazy powiada:

— Ot wie pan co, te wszystkie opisy nasze nie podobają mi się. Ja oczywiście będę musiał często wyjeżdżać, bo przecie trzeba się starać o jakieś inne *locum*, więc za te obsiewy nie mogę ręczyć. A wierz mi pan dobrodziéj, tyle go szanuję a nawet, prawdę powiedziawszy kocham, że nie chciałbym, aby pan narzekał, że źle, albo nie tak jak potrzeba zrobione. Więc panie dobrodzieju oddam mu do dyspozycyi ludzi i inwentarze, oddam cały zapas krescencyi i niech pan sam sobie sieje. Pańskie oko konia tuczy, ja to wiem.

Alfred uścisnął rękę pana Anastazego.

— Dobrze—mówi—ale ileż tego zboża jest?

— Widział pan przecie tyle a tyle sąsieków owsa, tyle jęczmienia, stożek grochu, tyle kopców kartofli. U mnie regestra w porządku. Ażebym ja tam już nie miał co do rządzenia w pańskich stodołach, to niech

pan weźmie i resztę żyta i pszenicy, a za to pan zapłaci służbę za ten kwartał i da im ordynaryę. No i dla nas potrzeba będzie aby dobiedować do lipca. Dla koni obrok i siano, dla dworu trochę pszenicy, trochę żyta, ot co na dom nasz mizerny.

Obaj faktorowie byli za tém, Alfred któremu pilno było zostać obywatelem, nie długo się namyślał. Chodziło tylko, kto będzie dozorował.

— Przyśle pan swego człowieka...

— A może sam będzie łaskaw — dodaje z uprzejmością pani Regina. — Wyprzątniemy pokój dla pana.

— Ech, gdzieby tam młody małżonek oddalał się od rodziny!—dodaje, śmiejąc się pociesznie Anastazy.— Myślisz, że pani Szafrankiewiczowa jest taką jak ty, co mię tylko wypędzasz z domu, jedź, jedź...

— Co téż gadasz Anastazy...

— Ho, ho, nie bój się, ja cię rozumiem dobrze, za stary jestem, prawda? Dawniéj, przypomnij sobie, gdzie ja, to i ty zaraz...

— Więc jakby i pani była łaskawa z panem — przerywa gospodyni, udając że nie słucha paplaniny męża — to i owszem. Możemy dać jeszcze jeden pokój, albo dwa i kuchenkę...

Pani Alfredowéj podobała się ta nowość, a że i jemu, jak powiedzieliśmy wyżéj, pilném było obywatelstwo, więc poszeptawszy trochę między sobą, zgodzili się zaraz przenieść do Dychawicy.

— I ogrodu sobie pani dopilnuje...

— Prawda — mówi Alfred — w ogrodzie dużo będzie roboty... Tylko jakże ze służbą i stołem?

— A u nas — rzecze pani Anstazowa — żyjemy skromnie, co Bóg dał, to się z państwem podzielimy.

Pani Aniela nie chciała na to przystać, więc obmyślono taki sposób, że kucharz państwa Anastazych gotować będzie oddzielnie dla nowych dziedziców, co sobie zadysponują. Da mu się tam parę złotych i będzie kontent, a nie zrobi się nikomu subiekcyi.

Ułożyło się tedy wszystko ślicznie, ładnie i zgodnie, jak powinno być między ludźmi. Pan Alfred żeby być tak samo skrupulatnym dla innych jak dla siebie, wypisał w umowie, ile ma się dawać czego na potrzeby państwa Anastazych: zboża, kartofli, ogrodowizn i t. p., których służących się wyłącza na ich usługi, słowem opisał wszelkie szczegóły tymczasowego między stronami stosunku. Pan Anastazy wziął zadatku trzy tysiące rubli, reszta miała się płacić przy kontrakcie w hypotece na Ś-ty Jan, w którym to czasie dobra będą mu oddane w posiadanie. Jednak, gdyby wprzód jeszcze potrzebował jakich trzydziestu tysięcy złotych, to Alfred w ciągu miesiąca obowiązuje się sumę na rachunek zaliczyć.

Już było po północy, gdy punkta przedugodne podpisano, więc litkup ograniczył się na wypiciu po kieliszku szampana, który i panie z odwagą wychyliły. Następnie jeszcze raz się ucałowano, winszując i życząc najlepszego powodzenia i porozchodzono się na spoczynek.

Otóż, bodaj to u nas interesa załatwiać! Naprzykład teraz, wszyscy byli z siebie i drugich zadowoleni, a najbardziéj sam Alfred z tego, że kupił za bezcen Dychawicę. Całą noc oka nie zmrużył, a myślał, kombinował, jak on ten pałac wyrestauruje, jakie i gdzie da obicia, nowe posadzki i szyby, ile to wszystko będzie kosztowało, wreszcie jaki ma sobie zamówić garniturek do gospodarstwa na lato.

Brnąc w myślach coraz dalej, wspomniał na swoją przeszłość i poczuł się dumnym. Ktoby to przed sześciu laty powiedział, że ja dziś będę panem i właścicielem tak obszernego majątku!... I rozśmiał się do siebie i szepnął parę słów podziękowania Panu Bogu, albowiem i powodzenie tak samo jak bieda czyni nas więcej nabożnymi.

Przeciwnie pan Anastazy spał jak zabity, pierwszy raz podobno od lat trzech; pani śniła się materyalna piernikowa suknia, ubrana morderowym aksamitem z długą na dwa łokcie powłoką, a panna Józefa, obliczywszy w myśli, ile teraz może jéj się dostać w posagu, przemyśliwała, w jaki sposób da poznać panu Wacławowi, że jéj o niego nie chodzi... Zarozumialec, drożył się ze swoją osobą.

IV.

Jeszcze Szafrankiewicz nie wrócił do Warszawy, a już gruchnęła wieść między znajomymi, jaki to znowu świetny interes zrobił. Winszowano mu, zazdroszczono, a miłość własna jego rosła, dowcip i humor stawał się jowialniejszym... Już dawano mu odstępne za Dychawicę, już sprzedał las i wziął za niego tyle, co dał za majątek — słowem, żydzi nie żydzi głosili o jego powodzeniu a skutkiem tego w kółku znajomych okrzyczano go geniuszem, którego w krótkim czasie czekają miliony.

Pragnąc jak najprędzéj przenieść się do dóbr swoich, podwoił działalność, żeby pozałatwiać sprawunki nieodzownie do nowego stanu potrzebne. Od rana więc do nocy razem z małżonką jeździł po sklepach, kupował, sprowadzał, pakował i wysyłał do Dychawicy tak, że w tydzień już był gotowym do drogi. W tym czasie również złożył mu uszanowanie dotychczasowy pachciarz z Dychawicy, żyd niezmiernie uniżony, po-

korny i tak zastraszony, że państwo Szafrankiewiczowie mieli sto pociech, opowiadając, jak ten parafialny żydek przewracał się po posadzkach ich salonów, jak zapomniał języka w ustach, kiedy go Alfredek zapytał ostro, po co tu przyjechał. Jemu chodziło, o dalsze utrzymanie się przy pachcie, dlatego radził nabyć wszelkie inwentarze od pana Anastazego, które jako miejscowe już znają się z trawą tamtejszą i chorować nie będą. Żydek ten w nadmiarze przychylności udzielił mnóstwo rad i informacyj co do owego inwentarza, odkrył tajemnicze wady niektórych przedmiotów, młocarni nie radził kupować, bo jest klekot, słowem okazał wielką życzliwość i usługi Alfredowi, które go informowały o stanie tych inwentarzy.

— Ależ pan dobrodziéj ma oko!—mówił zakłopotany Anastazy — słysząc wymieniane przez Alfreda wszystkie niedostatki. — Raz tylko był pan w oborach i stajniach a wszystko widział...

— Ha, panie ja tak! — odpowiedział kupujący. — Dzięki Bogu bystrości umysłowéj wcale mi nie brak...

I skutkiem tego znowu za pół darmo nabył cały inwentarz żywy i martwy ryczałtem, co jest na gruncie, z małemi wyłączeniami dla pana Anastazego, dla pani, panienki, panicza i innych kilku osób zasłużonych téj rodzinie.

Dzień był prawdziwie wiosenny i ciepły, kiedy państwo Szafrankiewiczowie nową czwórką siwoszów, umundurowaną w nowe także, błyszczące chomonta angielskie i zaprzężoną do powozu, jechali rzemiennym dyszlem do dóbr swoich. Mogli jechać koleją żelazną, lecz pani Aniela dla przyczyn, o których nie wypada mi się rozpisywać, nie mogła znosić jednostajnego drżenia

wagonów po żelaznych relsach. Zresztą powóz był tak wygodny, czas tak piękny, podróż tyle urozmaicona owemi popasami w karczemkach wiejskich, że państwo czuli się nad wyraz uszczęśliwieni, podziwiając śpiew skowronków, zajadając smaczne zapasy wzięte na drogę, pijąc mleko po drodze i obdarzając wiejskie dzieci cukierkami. Matka Anieli jechała także, pierwszy raz z taką paradą, więc i na jéj poważném obliczu znać było pewną dumę i niecierpliwość. Co parę minut wychylała głowę, pytając się stangreta o nazwiska wsi, przez które przejeżdżali i ciągle nakazywała, aby dał znać, gdy pokaże się pałac w Dychawicy. A ten stangret nowy, to również nie był zwyczajny wiejski woźnica, chłop przebrany w liberyę, ale prawdziwy stangret, mistrz w swoim zawodzie. Od młodości sługiwał po różnych wielkich panach i na wsi i w Warszawie, a tylko wypadkiem w ostatnich czasach dostał się na stróża kamienicy, w któréj mieszkali państwo Szafrankiewicze. Kiedy dowiedział się, że pan Alfred nabył Dychawicę, i kiedy zobaczył przyprowadzoną z targu pragskiego czwórkę siwków, z tęsknoty za wsią zaofiarował swoje usługi nowemu dziedzicowi i został przyjęty. Miał on długie konopiaste wąsy, które zwykle pełną dłonią na boki twarzy odsuwał — miał policzki i nos zanadto rumiane, wpadające w kolor fioletowy, wreszcie własne w skórę obszyte biczysko.

Rzeczywiście czwórka siwoszów pod jego wprawną ręką szła jak czworo dzieci, a kiedy się zamachnął i huknął z bicza nad niemi, to obie kobiéty chwytały się za połę surduta Alfreda ze strachu, myśląc, że jaki rozbójnik strzelił na drodze z rewolweru.

Przy każdym popasie, Alfred już jako fachowy

obywatel, pomimo błota wysiadał z powozu, klepał konie, obserwując, czy bardzo się pogrzały, i własną ręką nakrywał je derami.

— No, jakże, idą dobrze?

— Tak tam jaśnie panie — odpowiada mu mistrz z kozła.—Żeby ta naręczna miała taki krok jak tamten w lejcu, to by uszło... Ale on brewiter jaśnie panie jest podpalony i jaśnie pan musi go sprzedać. Ten znowu wierutny kapcan... jak to łeb trzyma... No, podnieśże... gdzie jemu do powozu!...

Szymon należał do rzędu tych ludzi, którzy już rodzą się na krytyków, dlatego wszędzie musiał jakąś upatrzyć wadę. Szczęściem tylko dla nas powieściopisarzy, Pan Bóg nie dał mu rogów, to jest daru wypowiadania swoich zapatrywań na papierze — mielibyśmy się z pyszna. A tak musiał zdolności swoje krytyczne zwracać do koni, do powozów, do uprzęży, mioteł smarowidła lub zgrzebła, które to rzeczy, prócz jego własnego bicza, były wierutném tałałajstwem i tandetą Taka pessymistyczna opinia Szymona zatruła dosyć przyjemnych chwil państwu Szafrankiewiczom, lecz że imponował im sztuką powożenia czwórką i przeszłem koneksyami u wielkich panów — musieli go szanować i znosić. Słowo w słowo powtarza się taż sama historya między artystami, literatami a ich recenzentami!..

Nareszcie samym wieczorem, przy dźwięku żabich chórów z sąsiednich mokradli, majtek z kozła zawołał

— Dychawica! — i trzy głowy naraz wychyliły się z powozu.

— Nasz las!—powiada Alfred.

— Gdzie las, proszę cię Fredziu, pokaż mi las?— pyta się Anielka.

— No ten, do którego wjeżdżamy... A co Szymonie, prawda, że kapitalny las?

— Tak tam jaśnie panie uszedłby, żeby nie ta sośnina.

— A cożeś ty chciał innego?

— Ha, żeby to były dęby albo chociaż grabina, to co innego... Sośnina jaśnie panie, to nie drzewo. Wyjechali na pole po drodze piaszczystéj, konie zwolniły kroku, więc Alfred każe popędzać.

— Niechże jaśnie pan pogania, kiedy piasek!

— A w lesie jak była glina, mówiłeś tak samo, że ciężko.

— Bo droga najlepsza, jak nie jest ani piasek ani glina.

— Mój Szymonie — przerywa mu nowy dziedzic, gdy skręcano ku dworowi — palnijno z bata, niech wiedzą, kto jedzie.

— Ech, proszę jaśnie pana, nie ma dla kogo. Takiemu blacharzowi z pozwoleniem, to żaden trzask z bata nie jest nowiną.

— Jakiemu znowu blacharzowi?

— A juści temu Anastazemu, od którego jaśnie pan kupił oną Dychawicę. Czy ja go to nie pamiętam, jak u hrabiego siedział na dachu i kuł blachę.

Nie było już czasu rozpytywać się daléj o owe blacharstwo, bo powóz cicho, stępo zatoczył się przed ganek. Wszędzie ciemno, żywéj duszy nie ma, bo państwo pojechali w gościnę do Staworzyska.

— Przyznam się, że niegrzecznie — pomyślał Alfred — przecież napisałem, że dziś przyjadę — i kazał sobie otworzyć pokoje dla siebie przeznaczone.

Tu po wniesieniu mebli, które wczoraj przywiezio-

no z Warszawy, wszystko było jak w izbie stolarza, przeznaczonéj na opakowanie mebli. Paki i rzeczy poobwijane słomą i rogożą stały i leżały jak je położono, nie było ani jednego krzesła, gdzieby kobiéty usiąść mogły, nawet świecy z lichtarzem, a tylko lampka kuchenna, z którą wprowadziła nowych dziedziców dziewka folwarczna.

Zawołano karbowego, ten się tłumaczył, że pan Anastazy nie kazał nic ruszać, póki państwo sami nie przyjadą, boby mogło co zginąć. Zrzuciwszy tedy pychę z serca, Alfred z karbowym rozpakowali parę mebli, a panie tymczasem ulokowały się w sąsiednim pokoju państwa Anastazych, Toż samo było z kolacyą; pani wszystko zamknęła i klucze zabrała z sobą, musiano więc poprzestać na dojedzeniu resztek wziętych na drogę zapasów i położyć się pokotem na słomie, którą karbowy kazał przynieść ze stodoły.

Tak więc nie bardzo różowo odbył się pierwszy nocleg nowych dziedziców w Dychawicy, a snów nie musieli miéć bardzo przyjemnych, bo co chwila budziło ich szczekanie psów pod oknami, które dwa razy musiał odpędzać sam Alfred, wstając z łóżka, a wreszcie dość hałaśliwy przyjazd państwa Anastazych nad ranem.

— A co?—pyta karbowego—przyjechali.

— Przyjechali—odpowiada ziewając—i markotno im, że państwa nie było.

— Mieliśmy dla nich siedziéć—wtrąca sucho panna Józefa—cóżto królowie jacy?

— Nic jeść nie mieli, ani spać na czém.

— Prawda, mój Boże — odzywa się sama pani — wszystkie klucze zabrałam, nikt mi nie przypomniał...

— Przepraszam, bo mówiłam mamie, ale mama powiedziała: co mi tam!

— To źle—dodaje, kręcąc głową pan Anastazy.

— Jak też możesz mówić moja Józiu, że ja powiedziałam: co tam...

— Dobrze pamiętam, mama chowała kluczyki do kieszeni, a ja mówię...

— Wszystko nieprawda.

— Jak mameczkę kocham...

— Ty mnie kochasz a wmawiasz, co nie było... Ja nawet nie mam zwyczaju używać słów takich.

— A przecież...

— Moja kochana — przerywa matka — chcesz się znowu sprzeczać. Jaka ja nieszczęśliwa jestem, że wszystkie moje słowa musisz przekręcać...

— Zaczynacie się już kłócić!— przerywa Anastazy—a swoją drogą głupstwo się zrobiło...

— Wielka rzecz—dodaje panna Józefa — przyjechali, to dobrze. Widzę, że tatko robi sobie z nich Bóg wie co... Za cóż mamy się im wysługiwać?

— Cicho bądź! — przerywa już zniecierpliwiony ojciec — że też ty musisz we wszystko swoje trzy grosze wsadzić. Moje kochane, widzicie — ciągnie dalej, odsuwając się w dalszą stronę pokoju, żeby karbowy nie dosłyszał — jak będziemy z nimi tak postępować, to ucieknie.

— A zadatek dwadzieścia tysięcy!

— Daruje i ucieknie, przynajmniej jabym to zrobił na jego miejscu.

— Niech ucieka...

— Przepraszam, ja sobie tego nie życzę. Tyle co on dał za Dychawicę, nikt nigdy nie da. Trzeba

z nimi być dobrze, dopóki nie wyciągnę jeszcze tych trzydziestu tysięcy na rachunek szacunku... potém już nie ucieknie.

I skutkiem téj narady rozpoczęły się znowu nazajutrz czułości, nadskakiwania, przepraszania tak, że jakoś nowi dziedzice zapomnieli o przykrościach pierwszego noclegu. Pan Alfred objął gospodarstwo, oddano mu klucze od pustego spichrza i od stodół, a jednocześnie zjawiła się cała gromada służby folwarcznéj żądając ordynaryi.

— Młócić!

— Maszyna zepsuta.

— Cepami!

— Wolno to pójdzie, jaśnie panie, bo chrzciny są u Nowaka i cała wieś tam pije — mówi karbowy — a parobcy muszą tłuc owies, bo nie ma na obroki i słomy dla bydła.

Więc rada w radę z arendarzem, daje się pieniądze i każe się kupić zboża na ordynaryę i dla państwa Anastazych na potrzeby domowe.

Parobcy rzeczywiście tłuką po całych dniach ten owies, i tyle go się namłóci, ile właśnie potrzeba dla koni cugowych państwa Anastazych. Panicz Kazio stoi przy sprzęcie i wszystko zabiera.

— Albo to owies! – mówi krytyk Szymon, oglądając słomę wyrzucaną z sąsieka do młócenia. — Ziarno obleciało przy zbiorze... Niech jaśnie pan patrzy, gdzie tu owies!

Prawda, że mało co, bo czterech młocków ledwie pół korca na dzień z téj mierzwicy wyciśnie. Kiedy Alfred wspomina o tém przed Anastazym, on się uśmiecha:

— Tak to i młócą, proszę pana dobrodzieja — wszystko zostaje w słomie. Jest to owies koszony i nie wiązany, a jeżeli ziarno obleciało, to tam się na spodzie znajdzie... Panie dobrodzieju, tylko przypilnować młocków; bo oni potrafią piąte przez dziesiąte wymłócić.

Nie będę opowiadał, ile naraz i jakich kłopotów spadło na Alfreda. Tu płać podatki, pensye służącym, tu najmuj do roboty, sprowadzaj majstra do maszyny, reperuj wozy i uprząż, bo nawet po drzewo nie ma czém jechać do lasu — a pan Anastazy ciągle mu tłumaczy, że to tak bywa przy gospodarstwie, że wszystko rozkradli, połamali przez ten tydzień, jak się dowiedziano, że Dychawica sprzedana.

Pani Aniela siedziała w pokoju, czytała romanse, grała na fortepianie i codzień chodziła z mężem na przechadzkę, szukając fiołków. Wieczorami zapraszano wszystkich na kolacyę do państwa Anastazych, gdzie zaprzyjaźniwszy się z panną Józefą, pani Alfredowa prowadziła szerokie dysputy o kroju sukien, objaśniając panienkę o modach teraźniejszych w Warszawie. Krajały, przymierzały, prasowały po całych dniach, gdy starsza pani dysponowała kucharzowi państwa Anastazych obiady i zajmowała się małem ich gospodarstwem.

Chociaż matka pani Szafrankiewiczowéj nie miała, żadnego pojęcia o wsi, to jednak od razu dostrzegła, że Dychawica nie jest tém, czém ją Alfred przedstawiał, stangret zaś Szymon kontent, że ma przed kimś wygadać się ze swojemi krytycznemi poglądami, co godzina znosił jéj różne, nieco dwuznaczne tak o majątku jako téż i rodzinie państwa Anastazych wiadomości. Staruszka była ciekawa i skąpa, więc martwiło ją niezmier-

nic, że Alfred musi tyle wydawać pieniędzy, czuła ona instynktem, że tu coś brakuje, ale nie mogła znaleźć nikogo, ktoby jéj te rzeczy wytłumaczył. Próbowała wyciągnąć za język kucharza, ale ten okazał się tak bałwochwalczym zwolennikiem państwa Anastazych, że podług niego byli to ludzie najlepsi, najzacniejsi, których do rany możnaby przyłożyć, a znowu sama Dychawica perłą między majątkami w okolicy. Gdy kucharz w ten sposób zaczął rozpowiadać, ile to tu w tym a tym roku było kop pszenicy, żyta i innego zboża, jak to wszystko nie mogło się pomieścić w stodołach, ile to tu krowy mleka dawały przeszłego roku, jakie bywają owoce w ogrodzie, ryby w stawie i t. p., to staruszce gładziło się czoło i pocieszała się, że to nie tak źle jak się jéj zdawało. Karbowy znowu trzymał się wciąż zimno jak marmurowy dyplomata i udawał takiego dobrodusznego prostaczka, że nie warto było go nawet zaczepiać. W dodatku i Szymon ten wierny sceptyk, rozpatrując się coraz więcéj w Dychawicy, ustępował ze swoim pesymizmem, a natomiast chwalił samą panią Anastazowę, od któréj pokryjomu dostawał dwa razy na dzień po kieliszku to słodkiéj wódki, to araku i małą przekąskę. Zresztą cała rodzina Anastazych czciła i szanowała staruszkę jak świętą, nie nazywając inaczéj jak panią sędziną dobrodziejką, a to z téj przyczyny, że ś. p. nieboszczyk jéj mąż zastępował jako kupiec raz jeden sędziego trybunału handlowego. Takie nadskakiwania i honorowanie bardzo się staruszce podobały i sama chętnie powtarzała, że ci Anastazowie to bardzo poczciwi i dobrzy ludziska.

Co do Alfreda, to ten może i widział niejaką pustkę w Dychawicy, lecz pod urokiem nowości zachwycony

był obszarem majątku, obiecując sobie, że jak tu wszystko doprowadzi do porządku, dochody będą mu płynęły drzwiami i oknami.

— Przyznasz Anielko—mówił do żony—że to co innego mieć ziemię, a co innego np. dom w mieście. Za te same pieniądze tam kupa gruzów a tu obszar milowy, niby jakie księztwo niemieckie. Doprawdy, że przyjemnie jest powiedzieć sobie: to wszystko moje!...

Nie czekając sporządzenia urzędowego kontraktu w hypotece, wziął się energicznie do porządkowania Dychawicy. Naraz rozpoczął tyle robót w polu, w ogrodzie, w pałacu, w zabudowaniach, że takie zakipiało życie na folwarku, jakby przy rozpoczęciu budowy nowéj kolei. Zjechało się mnóstwo majstrów, zwożono materyały, przekształcano ogród, budowano most na kępę, a ludzie we wsi nie mogli nastarczyć robotnika. Pan Anastazy po cichu zacierał ręce z radości, że tak się nowy dziedzic awanturuje.

— No, chyba nie ucieknie przed terminem — mówił do córki, która była jego powiernicą. A przybierając delikatną powagę w obec Alfreda, odzywał się czasami, niby to karcąc gorączkowe forsowanie się Alfreda.

— Nie tak nagle, nie tak panie dobrodzieju. Wiele rzeczy mogłoby, zostać, ot trochę poprawić, bo to wszystko niezłe...

— Ech, proszę pana — odpowiada z fantazyą — ja nie umiem na połowę rzeczy robić. Musi być wszystko w porządku... Nie mogę patrzéć na nieład.

— Ha, kto wie, czy pan niema racyi. Ja na to ani głowy, ani pieniędzy nie posiadałem. Wy młodzi inaczéj jesteście wychowani.

Jednakże widocznie jeszcze nie dowierzał Alfre

dowi, czy nie drapnie z Dychawicy, bo pewnego razu, odebrawszy jakiś list z Warszawy, bardzo pokornie i uniżenie prosił na rachunek szacunku czterdzieści tysięcy złotych.

— Trafia mi się niezłe kupno chałupy w mieście, ale żądają gotówki zaraz. Patrząc na pana dobrodzieja, jak się to powinno gospodarować na wsi, widzę, że trzeba zejść z pola i dać sobie pokój... Gdyby mi kochany pan wygodził, to i prędzejbym się ztąd wyprowadził i procencik jaki bym za ten czas zapłacił...

Stara matka pani Alfredowéj wystąpiła, że byłoby lepiéj przy kontrakcie, a pocichu radziła poradzić się prawnika, ale on tylko rozśmiał się z tych rad matki i pieniądze dał za prywatném pokwitowaniem.

Anastazowie rozpływali się nad jego szlachetną i prawdziwie obywatelską usłużnością.

— O tak, to rozumiem obywatela — powtarzał Anastazy z widoczném rozrzewnieniem.

— Cóż wielkiego — odpowiadał Alfred — dziś czy za dwa miesiące dać, czy to nie jedno... Mam gotowe pieniądze...

Po takim akcie wspaniałomyślności i wdzięczności stron obu upłynęło parę dni cicho, gdy trzeba nieszczęścia, że pani Anastazowéj zabrakło słodkiéj wódki dla stangreta Szymona. Przyszedł raz, jak zwykle rano, powiedziano mu, że nie ma; przyszedł na drugi dzień — nie ma. Okoliczność ta bynajmniéj go nie zraziła, bo przyszedł znowu raz trzeci. Takie natręctwo jegomości o dużych konopiastych wąsach naturalnie, iż musiało rozgniewać pannę Józefę.

— Czego to Szymon tak się naprzykrza — odezwa-

ła się porywczo. — Cóżto u nas szynkownia, czy co.. Szczególniejsza śmiałość.

Ze spuszczonym nosem, lecz jednocześnie z uczuciem obrazy i zemsty kipiącéj pod liberyjnym surdutem mistrza kozła, wyszedł Szymon z pokoju do stajni. A że właśnie zwożono siano ze stoga i furman państwa Anastazych, korzystając z tego, wielkiemi wiązkami nosił je wciąż na pułap swéj stajni—oburzyła go ta niepomierna chciwość.

— Co mi ty tu będziesz wybierał najlepsze siano dla swoich chabetów... A moje co będą jadły, hę? Z poddaszków!... Położyć mi zaraz!

Jasiek, chociaż nie miał takich wąsów ani fioletowego nosa, jednak nie wolny był od furmańskiéj ambicyi. Spojrzał pogardliwie na Szymona i robił swoje.

— Położysz czy nie! —krzyknął Szymon wyrywając mu wiązkę siana, przyczem zachwiał się Jasiek i potoczył...

Jak na to, panicz Kazio szedł właśnie do stajni i zobaczywszy, co się dzieje, przyskoczył do Szymona.

— Precz ztąd!—zawołał—Jasiek, bierz siano.

— Niech pan sam idzie precz — odpowiada Szymon, nadstawiając się hardo.

— Ja tu pan, rozumiész!

— Nieprawda, bo mój pan jest tu pan!

Lecz jeszcze ten wyraz pan nie wybiegł z ust jego, gdy spicruta panicza prześliznęła mu się po twarzy. Z bólu i gniewu, nie wiele myśląc, porywa za widły stojące przy drzwiach stajni i obces na panicza. Ale panicz nie myślał oczekiwać ataku, bo wziąwszy nogi za pas, jak jeleń poskoczył ku pałacowi. Szymon, nie zważając na ból i krew płynącą po twarzy zanim... To

szczęście, że Kazio miał młode nogi i zdążył wpaść do ganku i drzwi za sobą zatrzasnąć, inaczéj niezawodnie dostałoby mu się toż samo, co się dostało drzwiom to jest kilka silnych uderzeń widłami.

Zrobił się straszny hałas. Parobcy i ludzie wożący siano, stanęli jak wryci ze zdumienia, dziewki wybiegły z piekarni, psy nawet zaczęły ujadać na Szymona.

Blady, bez tchu, wpadł do pokoju pan Kazio, i długi czas zatrwożona rodzina nie mogła się dowiedzieć, co się takiego stało; bełkotał ustami pokazując ręką na stajnię i powtarzając: Chciał zabić... Szymon... widły...

Ze swéj strony oszalały z bólu i zniewagi Szymon z pręgiem na twarzy wpadł do mieszkania państwa Alfredów.

— A to co?

— Tak jaśnie panie, zabijają sługi jaśnie pana.

— Kto, gdzie?

— A któżby jak nie ten Kazio, ten co krzywdzi jaśnie pana!...

— Cicho, cicho Szymonie...

— Oho, nie będę cicho! Jak Boga Najwyższego kocham, jaśnie panie, tak prawda... Wszystko powiem, niech będzie co chce... Najlepsze siano biorą... owies z pod cugów biorą... Tak jest, noszą z plewami, rabują, kradną jaśnie pana i rozbijają!

Panie obie, widząc sromotnie pokrwawioną twarz jego, przyniosły wodę, a gdy po zmyciu pokazała się na palec może gruba i sina pręga—podniosły krzyk zgrozy.

Słuchając opowiadania faworyta, pan Alfred aż zbladł z gniewu, a z oczu sypały mu się prawdziwe rakiety. Nic nie mówiąc, zacisnął pięście i wybiegł.

Zdaje się, że i pan Anastazy był w tém samém usposobieniu, skoro jednocześnie, bardziéj czerwony niż zwykle, pędził do ganku wprost do mieszkania nowego dziedzica. Matka pani Alfredowéj, która patrzyła oknem na to wszystko, przysięga, że lecieli jak dwa koguty i drżała, ze strachu, co to będzie kiedy się zetkną.

— Mówię panu — opowiadała mi potém — byłam przekonaną, że rozprysną się jak dwa gliniane garnki.

— A proszę ja pana...

— I ja proszę pana...

— Ja bardzo proszę...

— I ja bardzo proszę! — wołali naraz w zapalczywości.

— Do licha! — krzyknie donośnym głosem Alfred — pozwól mi pan mówić!

— Ja bardzo proszę, pozwól pan mnie — odpowiada, mrugając oczami Anastazy. — Jestem starszy, więc choćby przez wzgląd...

— Dobrze, słucham. Syn pański obił mojego człowieka.

— A pański człowiek chciał zabić mojego syna.

— To kłamstwo!

— I to co pan mówisz jest kłamstwo!... Niech pan dobrodziéj się nie unosi...

— I owszem ja się nie unoszę, ale proszę zobaczyć... Twarz ma przeciętą... To jest niegodziwość, to jest zbrodnia wołająca o pomstę.

— Proszę pana ciszéj; ludzie nas słuchają, a zły przykład oddziaływa!

— I owszem niech słyszą, jak się obchodzą z ludźmi synowie obywatelscy! To jest barbaryzm... Jakiém prawem kto śmie znieważać mojego służącego...

— Proszę ciszéj — mówi z pewném szyderstwem w głosie Anastazy—nie trzeba być takim liberałem, bo to może na nim samym się odbić...

— Ja się nie boję!... Niemam zwyczaju obchodzenia się z ludźmi jak z bydłem...

— Facecya, panie dobrodzieju... nowe doktryny— a skutek ich, że ten pijanica ośmielił się porwać na mojego syna... Ma szczęście, że tam mnie nie było, zabiłbym na miejscu, jak Pana Boga kocham... Co to jest porwać się na mojego syna...

— Bądź co bądź, ja pana dobrodzieja bardzo proszę, zdaleka od moich ludzi. Ja tu jestem panem, ja rządzę i ja mam prawo...

Pan Anastazy uśmiechnął się ironicznie i tonem stanowczym zawołał:

— Za pozwoleniem, dopóki tu mieszkam, to ja pan i w hypotece i tu na swoich śmieciach... Jeżeli pan chcesz zgodnie... to dobrze... a jeśli nie...

— To co?

— Poradzimy sobie!

— Dobrze, i ja sobie poradzę i zobaczymy, kto tu pan. Czy ten co dał pieniądze i dopełnia swych zobowiązań...

— Nie bardzo dopełnia—przerywa Anastazy.— Nie mam tego co dla mnie zastrzeżone, ani mleka, ani owsa, ani zboża, ani opału...

— Ja temu nie winien, że krowy mleka nie dają i giną z głodu. Ja temu nie winien, że zamiast zboża dałeś mi pan słomę, ja temu nie winien, że niema w całém gospodarstwie ani jednego wozu, którymby można posłać do lasu...

— Za pozwoleniem mój młody panie — przerywa

mu z ironią Anastazy—mam zastrzeżone w umowie, tyle a tyle powinienem miéć, o innych rzeczach nie chcę wiedziéć.

— Tak!—krzyknie Alfred.—Otóż ja panu pokażę, że pan musisz wiedziéć.

— Pan dobrodziéj oglądałeś sam... i zgodziłeś się. Czy jest, czy niema, to dla mnie obojętne. Dlatego zapowiadam panu dobrodziejowi, że wszystko miéć muszę, i na żadne awantury nie pozwolę.

— Tak, to bardzo uczciwie ze strony pana, nie ma co mówić. Otumanić kogoś a potém...

— Panie!—zawoła stary z groźną miną—w interesie nie ma żadnych otumanień. Nie moja wina, jeżeli kto bierze się do rzeczy, na któréj się nie zna. Ostrzegam, że ubliżać sobie i dać się krzywdzić nie pozwolę. Przyjdzie termin, wypłacisz pan szacunek, dobra oddam, a do tego czasu ja tu pan, ja rozkazuję, i jeżeli pozwoliłem panu mieszkać tutaj, to nie na to, żeby mi pokazywano jakieś finty... Z tym jestem dobrze, kto ze mną dobrze, a tego pijaka za to, że śmiał się targnąć na moje dziecko, rozumu nauczę.

— A ja—mówi już prędko Alfred—nie pozwolę, aby mu jeden włos spadł z głowy. Jak mię pan widzisz tu żywego, nie pozwolę!

— Zobaczymy!

— Zobaczymy!...

I przy tych słowach rozeszli się, powtarzając ciągle swoje: zobaczymy, dobrze, zobaczymy.

Otóż to, co się nazywa na świecie zgoda, przyjaźń i życzliwość ludzka. Wczoraj jeszcze całowano się, mówiąc wyszukane grzeczności, przesadzając się w ozna-

kach wzajemnego szacunku, a dziś tacy wrogowie, że jeden drugiego w łyżce wody by utopił...

— Uniosłeś się zanadto! — perswaduje Alfredowi żona.

— Ja?... Nie! moja droga, ja chcę być tylko dla każdego sprawiedliwym. Jak on śmiał uderzyć mojego człowieka... Stare nawyknienia, jakieś fanaberye... Hola mój panie, hola... zaskarżę do sądu.

— Daj pokój—przekłada matka—prości ludzie do tego przywykli.

— Nie daruję, jak Boga kocham...

Ze swéj strony, pani Anastazowa, złożywszy ręce jak do pacierza, zbliżyła się do zasapanego i z gniewu trzęsącego się jeszcze małżonka.

— Moja kochana, daj mi pokój ze swoją modlącą miną...

— Czy to warto... Nastusiu jak mię kochasz... Wybił go...

— Jak on śmiał gonić za moim synem z widłami... A ten z pozwoleniem młokos jeszcze mi z morałami występuje...

— Zlituj się, tyle nam zrobił dobrego, dał ci zaliczkę bez procentu...

— Wielka rzecz, to zapłacę procent!

— A jak się hardo stawiał—dorzuca córka.—Faryzeusz, wydawał się taki słodziutki, taki ustępujący...

— Hołysz panie dobrodzieju, chwycił żonę dla pieniędzy i będzie mi tu nosa zadzierał... Pracuj na pieniądze jak ja, pracuj tak ciężko, a zobaczysz, jak ci to będzie, gdyby twoje dzieci ktoś poniewierał! Niech Jasiek zaprzęga do bryczki!—A zwróciwszy się do panny Józefy, powiada: — Wypisać mi rachunek, co się dla

nas z produktów należy i posłać, żeby mi natychmiast wszystko tu było, bo inaczéj fora ze dwora. Zarząd panie dobrodzieju odbieram na siebie, a ty fanfaronie możesz mię procesować, jak ci się podoba.

Żona probowała jeszcze wystąpić z perswazyą, że tego mleka i innych produktów ma i tak dosyć, że najlepiéj dać pokój i nie rozdrażniać stosunków, bo to jeszcze młody i gorączka, a nasz Kazio zanadto sobie lubi pozwalać. Lecz oboje, to jest ojciec i córka zagadali ją zupełnie.

— Niech przepadnie wszystko, niech rozdam ubogim, niech w błoto wpakuję, a on musi dać wszystko co napisane. Ja panie dobrodzieju jestem człowiek uczciwy i dotrzymuję, com się zobowiązał, ale niech każdy ze mną tak samo postępuje...

Zaturkotała bryczka przed gankiem, i pan Anastazy, nie mówiąc, gdzie i po co jedzie, wsiadł jeszcze cały zasapany z irytacyi. Konie ruszyły za bramę dziedzińca, co zobaczywszy Alfred, udał się do ludzi pracujących w wozowni. Potrzebował koniecznie przed kimś się wygadać, zaczepił więc pachciarza, który w bardzo niewinny sposób kręcił się koło obory...

— Nie wiesz, gdzie on pojechał?

— Nie wiem, zdaje mi się, że do wójta. Z przeproszeniem jaśnie pana, co takiego się stało między jasnymi panami?

Alfred szeroko i głęboko opowiedział rzecz całą, nie szczędząc dosadnych słów na odmalowanie swego adwersarza.

— Niech jasny pan tak głośno nie gada — przestrzega żyd, obracając się na wszystkie strony—jeszcze zaraz doniosą...

— I owszem, niech wie, że jest taki.

— Nie radzę jaśnie panu z nim zaczynać. To jest nie taki pan jak inni obywatele z okoliczności... On taki bardzo sprzeczny i na prawie się zna lepiéj niż sędzia...

— I ja się znam, nie boję się.

— Jak chce jaśnie pan, ale na mój głupi żydowski rozum, niech on siedzi cicho do świętego Jana. Co on już zrobił jaśnie panu to dobrze, tylko niech będzie na tém koniec... On jest taki mściwy, co niech Bóg broni...

W godzinę może potém wrócił pan Anastazy od wójta i kazał do siebie przywołać sołtysa.

— Słuchaj — mówi, podając mu kartkę z pieczątką urzędową — tu stoi rozkaz, żebyś wziął dwóch ludzi, związał tego rozbójnika Szymona, wiesz furmana od tego pana z Warszawy, i natychmiast odstawił do kancelaryi.

Sołtys przyjął kartkę, podrapał się parę razy w głowę, narzekając, że ludzie zajęci są robotą i nie ma komu brać się do takich rzeczy, ale pan Anastazy przykazał ostro, że tak być musi...

Nie wierzył jeszcze dziedzicowi ów sołtys i poszedł do szynku, aby mu ten rozkaz propinator przeczytał. Rzeczywiście tak stało, więc zawezwawszy dwóch gospodarzy i uzbroiwszy ich w pałki jako oznakę stróżów z urzędu, przystąpił do spełnienia rozkazu władzy. Dano znać panu Alfredowi i ten przybiegł natychmiast. Polecenie było wyraźne, więc co tu oponować.

— Ja go sam zawiozę — powiada do sołtysa, rozkazując zakładanie koni do bryczki. Urzędnik wiejski niema nic przeciw temu, ale obstaje, żeby obadwaj stróże jechali z aresztantem. Wsiadło ich tedy trzech na

kozioł małéj bryczki, Szymon w środku, stróże z pałkami po bokach, pan z tyłu i tak zajeżdżają do wsi sąsiedniéj, gdzie jest rezydencya urzędu gminnego. Przed nowym, na podmurowaniu wzniesionym domkiem, na ławeczce ganku siedzi pan pisarz gminny i pali papierosa. Alfred rekomenduje się kto jest i przedstawia sprawę, jak się to stało z owym Szymonem.

— Panie dobrodzieju łaskawy — powiada ów pisarz, figurka nadzwyczaj wątła i giętka w zaplamionym czarnym surduciku — ja o tém nic nie wiem. Pan dobrodziéj będzie łaskaw do kancelaryi, poszlę zaraz po wójta.

— A gdzież wójt?

— Tu w karczmie naprzeciwko, bo to proszę pana dobrodzieja, dziś było nabożeństwo za jego rodziców, więc taki tu zwyczaj, że się częstuje sąsiadów...

Posłano po owego dygnitarza, ale upłynęło dobre pół godziny, nim się pokazał. Chłop to jeszcze młody, z krótko ostrzyżonemi włosami, z kraciastą chustką na szyi, któréj pąsowy kolor nie wiele się różni od koloru twarzy pana wójta. Na sobie ma długą po cholewy, fałdowaną, z ciemno-zielonego sukna kapotę na podobieństwo surduta używanego przez drobną szlachtę w téj okolicy — na nogach zaś wcale zgrabnie skrojone buty.

— A to to pan nowy dziedzic z Dychawicy?— mówi siadając sam i zapraszając Alfreda, żeby usiadł. — A po co to pan takie hultajstwo z Warszawy sprowadza na służbę. Czy to u nas niema ludzi do koni?... A gdzież jest ten ptaszek, co to widłami goni panów... Pójdźże tu bratku, toś to ty taki... A wsadźcież go tam do *hareśtu*, niech on wie, czém to koza pachnie.

— Właśnie panie wójcie — rzecze Alfred — ja chciałem rzecz wyjaśnić!

— A praśport masz, jakże ci tam?

— Nie ma, bo ja go zabrałem prędko z Warszawy, jednak mu nadeszlą. Otóż widzi pan wójt, jak go potraktował syn pana Anastazego...

— Mało mu jeszcze dał, co to znaczy taki prążek na gębie... My tu poradzimy sobie z takiemi chwatami do wideł. Niechno pan pisarz zapisze go do książki, a w czwartek będzie sprawa...

— Panie wójcie, on nic nie winien, to co powiedział pan Anastazy na niego, jest nieprawdą, są świadkowie.

Urzędnik spojrzał wielkiemi oczyma na Alfreda, zdziwiony jak może jeden pan powiedzieć, że drugi pan mówi nieprawdę.

— Zawezwie się i świadków, a jakże, to prawda się wyda.

— Więc pocóż go aresztować; on nie ucieknie — rzecze Alfred — dostawię go na każde żądanie i ręczę...

— Kiedy takie prawo jest, że musi oczekiwać sądu w hareszcie... Naczelnik powiedział — mówi ciszéj, nachylając się do ucha Alfreda—żeby dawać oko na różnych wagabundów z miasta, a jeszcze takich co paszportu nie mają. Naczelnik mówi: ty wójcie będziesz mi za wszystko odpowiadał, bo ty jesteś jako król na całą gminę, i wszystko na twojéj głowie jest. Masz pisarza na to, coby ci prawo wyczytał, a podejrzanych ludzi teraz jest dosyć po świecie... o jest!...

— Dobrze, mój wójcie, ale jakże ja zostanę bez człowieka?

— Na to ja już panu nie poradzę. Niech pan przyjmie sobie innego, a z jego zasług potrąci.

— Jeżeli tak ma być, natychmiast jadę do naczelnika i będę się skarżył...

— Niech ta pan jedzie; naczelnik powie panu toż samo, że awanturników bez paszportu trzeba zamykać. Ja i naczelnik to jesteśmy jedność...

Zwrócił się jeszcze Alfred do pisarza, lecz ten z całą słodyczą w głosie zapewnił, że on tu nic nie znaczy i że wójt jest wszystkiém.

— A niech téż pan każe mu tu jeść przysłać, bo gmina nie ma pieniędzy na haresztantów i każdy musi być o swojém...

Zamknęli tedy pana Szymona, który jakoś wobec wójta spokorniał, a gdy pan Alfred zirytowany tém wszystkiém już miał wsiadać na bryczkę, uprosiwszy jednego ze straży, aby powoził końmi, zatrzymuje go wójt z miną konfidencyonalną.

— A kiedy ja tam mogę przysłać do lasu po swoje chojary?

— Jakie chojary?

— Nie wie to pan, że ja tam mam kupione od pana dziedzica dziesięć chojarów... Z pomocą Bożą wziąłem się do budowy chałupiny, to téż chciałbym to drzewo zwlec do wsi.

— O niczém nie wiem—rzecze zdziwiony Alfred—las dla wszystkich jest zamknięty i nic nie wydaję.

— Toć tu jest asygnacya pana Anastazego—mówi, podając kartkę.

Alfred przeczytał — rzeczywiście było to pozwolenie na wywóz dziesięciu sosen z lasów dychawickich,

świeżym atramentem napisane, choć datowane z lutego...

— Niech on wyda, skoro napisał—rzecze, oddając wójtowi kartkę.

— Ha, to się jutro poszle. Toć wielmożny pan jeszcze nie dziedzic w hypotece... I podobno różnie tam będzie z tém kupnem...

— Jakto różnie?

— Powiadają z przeproszeniem, że siła pieniędzy jest do płacenia panu Anastazemu.

— Cóż z tego, zapłacę w terminie...

— Bóg to tam wie, a teraz niech się pan darmo nie sprzeciwia z temi chojarami, bo to się na nic nie zda. Toć i Lejzor ze Smarzewa wywozi het codzień ono drzewo, a tak samo kupił jak i ja...

Nie słuchał dalszéj gadaniny wójta, lecz zły i zgryziony powrócił do domu. Przejeżdżając koło okien państwa Anastazych, widział, jak on sam, córka i syn stojąc, przypatrywali się z szyderczą miną temu powrotowi nowego dziedzica bez Szymona. Stary nawet otwarcie zacierał ręce z radości, a syn śmiejąc się w oczy Alfredowi, pokazywał palcem na nowego furmana w siermiędze.

— No i cóż?—pytają go obie kobiéty.

— Nic... Wszystko są łotry, z pod jednego stempla, ale ja im pokażę!... Wójtowi dał asygnatę na dziesięć sosen z mojego lasu... Jadę natychmiast do powiatu...

— I nas tu zostawisz?—zawołały jednocześnie.

— Muszę, inaczéj gotowi nas powypędzać... A to człowiek, a to obywatel!

— I ja z tobą jadę—mówi żona.—Za nic w świecie nie zostałabym tu sama.

— I ja nie zostanę — dodaje płaczliwym tonem matka.

— Żebyś ty słyszał mój drogi, co oni tu na nas wygadują... Przeze drzwi wszystko nas dochodzi, a ciągle ktoś podsłuchuje z tamtéj strony; musiałam watą zatkać dziurkę od klucza... Tośmy się dostali, hę?

— A myślałam sobie nieraz, mój Alfredku—wtrąca staruszka — żebyś téż był ostrożny... Trzeba było wezwać kogoś mądrzejszego do narady.

— Tak, bardzo dobre myśli i rady teraz! — odpowie dość opryskliwym tonem Alfred.—Czemuż to mama wprzódy nie mówiła...

— Nie śmiałam, mój drogi zięciu, ale jak was kocham, myślałam, że skoro oni tak nadskakują z początku, to coś złego zrobią na końcu. I widzisz, na mojém się stało... Potrzebne było dawać mu tyle naprzód pieniędzy, żeby cię miał w rękach... A nie lepiéj to było powiedzieć: wyprowadzaj się acan wprzód, a ja wtedy zapłacę...

Biadała jeszcze i marudziła o tém, jak to się powinno było zrobić, a nie zrobiło, lecz Alfred wcale tego nie słuchał, przyszła mu bowiem nowa myśl do głowy, że niezawodnie Anastazy, spostrzegłszy jak tanio sprzedał Dychawicę, chciałby się pod jakim pozorem wycofać z tego interesu i dlatego umyślnie mu pokazuje takie finty. Naturalnie, że trzeba być podobnie naiwnym dyletantem, jakim był pan Alfred, i mieć tyle przekonania o swojém szczęściu do robienia świetnych interesów, żeby coś podobnego pomyśléć. Wpadłszy raz na ten pomysł, dumał tylko jakby podobnéj akcyi przeszko-

dzić. Tysiące różnorodnych projektów snuło mu się po głowie: to chciał z pomocą ludności wiejskiéj, która okazywała mu swoją życzliwość, zrobić formalny zajazd szlachecki na państwa Anastazych i wyrzucić ich za granicę Dychawicy, to wyzwać starego na pojedynek, to udać się do sąsiadów o polubowne pośrednictwo, lub wreszcie pojechać do adwokata i oddać całą sprawę w ręce sądów. Kiedy się tak biedzi, karbowy Izydor przynosi mu depeszę od pana dziedzica, z żądaniem wydania natychmiast zalegających wiktuałów podług umowy lub zapłacenia ich gotówką po cenach na targu praktykowanych, inaczéj bowiem zmuszony będzie odebrać cały zarząd majątku na siebie.

— Ot wylazło szydło z worka!—mówi, podając żonie karteczkę—czytaj co tam stoi na końcu.

— Sądzę, że oddać—rzecze Aniela—niech sobie rządzi do świętego Jana, zamiast, co ty masz wydawać ze swojéj kieszeni, niech on wydaje...

— Otóż panie nie oddam i tego, co on żąda, nie zrobię... Rozumiém doskonale, do czego to dąży... Chce się wykręcić od sprzedaży... Ale téż trafił nie na głupca... Muszę jechać natychmiast do miasta, tu nie ma chwili do stracenia i zagramy sobie z panem Anastazym na grubą grę... Coby ludzie powiedzieli, gdybym oddał zarząd!

— Nie rozumiem, o co idzie...

— Moja kochana, znasz to przysłowie: *beatus qui tenet*... no to dosyć! Uprosiłem pachciarza i tego stolarza z Warszawy, który posadzki robi do salonu, żeby tu mieli opiekę nad wami, a sam jadę... Bądźcie spokojne, stolarz to człowiek porządny i nie pozwoli wam przykrości robić...

Więc pojechał, a kobiéty zmartwione tém wszystkiém, pozostały same. Przychodzi czas obiadowy, posyłają jak zwykle służącą do kuchni dworskiéj po obiad, który im kucharz państwa Anastazych gotował, a tu zamiast obiadu przynosi pokojówka te same surowe wiktuały, które pani starsza rano wydała do gotowania.

— Powiedział kucharz, że nie ma czasu, bo państwo spodziewają się gości i musi piec ciasta na wieczór—rzecze służąca, stawiając wszystko na stole...

Co tu robić? Kobiétom jeść się chce, kuchni swojéj nie mają, statków żadnych nie mają, więc posyłaj po wsi, pożyczaj, i gotuj na kominku pokojowym jak bądź i co bądź aby głód zaspokoić. Siedzą, płaczą i medytują matka z córką, gdy pan Alfred, jadąc do miasta, wstępuje do leśnego i nakazuje mu pod wszelką groźbą, aby się nie ważył jednego drewna komubądź wydać z lasu, bez jego asygnacyi. Przy téj okazyi dowiaduje się, iż rzeczywiście Lejzor z miasteczka już przeszło sto sztuk sosen wywiózł, a ściętych ma jeszcze sześćdziesiąt.

Leśny, który już wiedział od pana Anastazego, że nowy dziedzic obejmuje zarząd, wypędził natychmiast robotników żydowskich, a Alfred pojechał daléj. W powiatowém mieście przedstawił się naczelnikowi i zaniósł skargę na wójta.

— Tak słuchaj pan—mówi ów naczelnik—jak wy mogli wejść w interes z takim Anastazym. To jest krętacz pierwszego stopnia i ja jego mam już póty. U niego podatki zalegają z dwóch lat i ja dał rozkaz sprzedania mu wszystkich inwentarzy...

— Wszak powiedział mi, że zapłacone!

— Co on powiedział wam, to wy nie wierzcie... to jest kłamca.

— Ale o tego człowieka zaaresztowanego — mówi Alfred— niech pan naczelnik będzie łaskaw dać rozkaz, aby go wypuszczono. On nie ma paszportu, to prawda, jednak ja za niego ręczę i za parę dni ten paszport złoży.

— Tak on bez paszportu jest?

— Wyjeżdżałem pilno z Warszawy...

— A u was paszport jest?

— Jest—mówi podając papier naczelnikowi.

— Wy w porządku, a jak u waszego człowieka nie było paszportu, tak wójt w prawie jest i wy zapłacicie sztraf... Wasz wójt to bardzo porządny jest, ja jego znam i wy powinni jego szanować, choć on prosty jest człowiek, ale honorowy i wasz zwierzchnik.

Pana naczelnika ktoś odwołał do kancelaryi, więc się skończyła audyencya. Nie było co robić, tylko marsz do miasta gubernialnego, gdzie była także rezydencya Trybunału. Odszukawszy jednego ze zdolniejszych adwokatów, przedstawił mu obszernie stan swojéj sprawy i nader przykre położenie w Dychawicy. Pierwsze słowa, któremi przemówił adwokat do niego były:

— Zlituj się pan, jak mogłeś wchodzić w interes z tym panem, nie zobaczywszy wprzód hypoteki? Pan Anastazy znanym tu jest w całéj okolicy jako bankrut goniący ostatkami, który nie przebiera w środkach, aby tylko dostać zkądś pieniędzy. Nie znam wartości owéj Dychawicy i nie mogę ocenić, czy pan dobry lub zły interes zrobił, lecz nie pojmuję, jak można kupować majątek i dawać tak grubą zaliczkę na prosty podpis... Nim będę w możności udzielenia panu jakiéjbądź rady, musimy naprzód pójść do hypoteki...

Coś nakształt dreszczy przeszło po sercu Alfreda;

z junaka robiącego świetne interesa, zrobiło się powolne jagnię — chciał się tłumaczyć, że wciągnęli go żydzi, że Dychawica jest znakomitym majątkiem, ale adwokat tylko się uśmiechał, patrząc na niego, co go do reszty zdekoncertowało.

Strach, jak księga wieczysta Dychawicy była zasmarowaną! Przez dwie godziny bez odpoczynku wertowali obadwaj pozycyę za pozycyą i gdy zsumowali razem cyfry długów, pokazało się, że cały szacunek, za który Dychawica była kiedyś przez pana Anastazego kupiona, jest już wyczerpany, prócz innych zobowiązań, służebności i innych ciężarów wieczystych. Przyjmując nawet szacunek, za jaki Alfred ją kupił, owe sto tysięcy, które miały zostać przy gruncie jako suma amortyzacyjna, już w większéj połowie pobrane były przez sprzedającego zadatkiem i zaliczką. Zamiast więc stu dwudziestu tysięcy, Alfred potrzebował wyłożyć gotówką sto pięćdziesiąt. W dodatku, przekonano się, że dobra te wystawione są na sprzedaż przez Towarzystwo kredytowe, a licytacya naznaczona za tydzień...

— Źle!—co tu robić?

— Nie ma innéj rady — powiada adwokat—tylko zapłacić raty Towarzystwu, aby cofnięto licytacyę i drogą procesu zabezpieczyć to, co pan dałeś, na Dychawicę. Inaczéj do świętego Jana może wejść tylu dłużników do hypoteki, że pan nic nie dostaniesz...

Więc płać, pisz pełnomocnictwa, płać znowu stemple, wpisy, wysyłaj pozwy, a wszystko nagle, bo chwili jednéj nie ma do stracenia. Jednakże w tém nieszczęściu trafiła się Alfredowi jedna pociecha. W zajeździe spotkał znajomego żyda, dostawcę kamieni na bruki i drogi publiczne, który oświadczył gotowość zakupienia

od niego dwustu sążni z dostawą na wskazane punkta. Kupiec wprawdzie ofiarował nizką cenę, bo coś trzydzieści rubli za sążeń, lecz Alfred podług swego obliczenia i tak zarabiał po dziesięć rubli na sążniu — więc umowę zawarto, nowy dziedzic Dychawicy wziął zadatek i wracając do domu cieszył się z świetnego interesu, który mu napędził ni ztąd ni zowąd parę tysięcy rubli...

— Muszę tylko utrzymać tę sprzedaż w tajemnicy, bo to zaraz wszyscy rzuciliby się do tego interesu, a tak ja sam będę przez parę lat mieć ładny dochodzik... A siedzą tu wszyscy od tylu lat, czy przyszło któremu na myśl korzystanie z tych kamieni, zalegających niepotrzebnie ich pola!...

W Dychawicy zastał kompletny chaos. Wypowiedziana wojna przez pana Anastazego wrzała na wszystkich punktach. Obie kobiéty zabrudzone sadzami od garnków, siedzą i płaczą w zadymionym pokoju; kominek, na którym przymuszone są gotować jedzenie, od kilku lat nie był używany, więc wszelkie lufta są zasypane, a dym wali na zewnątrz. Po mleko i śmietankę muszą posyłać na wieś, bo wszystkie krowy nie dają tyle mleka, ile się należy państwu Anastazym. Człowiek, którego tymczasowo najął do koni na miejsce Szymona, przychodzi po obrok, a tu przy śpichrzu wisi druga kłódka, którą Kazio zapewne z polecenia ojca zawiesił. Toż samo jest przy stodołach, przy wozowni i piwnicach, a karbowy Izydor i wierny pachciarz boją się przyjść do pana Alfreda, żeby się nie narażać na gniew pana Anastazego. Wszelkie roboty w polu, w ogrodzie i około sprzętów gospodarskich zostały wstrzymane, a gromada rzemieślników i wynajętych ludzi ze wsi czeka w sieniach, upominając się o zapłatę i straty z powodu do-

znanego zawodu. Nic więc dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy wyczerpała się wszelka cierpliwość Alfreda. Porwał za czapkę, a choć była to już późna godzina, postanowił iść do pana Anastazego.

— Niech co chce będzie!—zawołał, zmierzając ku drzwiom—ale ja jego nauczę!

Obie kobiéty łap go za poły surduta.

— Alfredziu... zlituj się, nie chodź!

— Zięciu, jeżeli Boga masz w sercu... patrz Anielka mdleje...

Mimo więc szalonego gniewu, który nim miotał, ze względu na stan żony, wymagającéj pewnego oszczędzenia jéj zdrowia—zdecydował się nie iść a napisać list do swego adwersarza. Siada, porywa ćwiartkę papieru i pisze jeszcze prędzéj niż artyści na scenie, kiedy im wypadnie z roli wdać się z kim bądź w korespondencyę... Służąca niesie depeszę, i za parę minut wraca z odpowiedzią na tymże samym liście u dołu skreśloną...

„Robię to, co mi sumienie nakazuje i prawo pozwala, dlatego żartuję sobie z wszelkich pogróżek i niedojrzałego ich autora.”

Charakter pisma był kobiécy, widocznie kreśliła go panna Józefa, osoba edukowana na pensyi w Warszawie; stary Anastazy nie byłby się zdobył na taką stylizacyę.

— Dajcie mi rewolwer! — krzyknie, rzucając list na ziemię. Lecz nim dokończył to słowo: rewolwer, już pani starsza rzuciła się do drugiego pokoju, chwyciła wiszące na ścianie to niebezpieczne narzędzie śmierci, i daléjże w nogi z nim do sieni, z sieni do ogrodu gdzieś daleko ku sadzawce, między stare wypróchniałe lipy.

Tam wetknąwszy rewolwer w jedną z dziupli, odetchnęła i ze swobodniejszą myślą wróciła do pokoju.

Przez całą noc Alfred nie mógł oka zmrużyć. Złość, gniew, oburzenie z chęcią wywarcia przykładnéj zemsty, nurtowały w nim jak wicher między szczątkami opustoszałego zamczyska. Wśród tak szczęśliwéj dotąd nawigacyi po falach powodzenia pierwszy raz w życiu trafił na tak dokuczliwą rafę, i to w osobie takiego mizernego ex-blacharza, człowieka prawie bez żadnéj edukacyi, który w tak obłudny sposób potrafił zaciągnąć go w swoje sieci. Obrażona ambicya nie pozwoliła mu dojrzéć własnéj lekkomyślności; widział tylko niepraktykowaną w życiu złość ludzką i czuł się wobec niéj bezsilnym. Zapewne, że taki stan duszy młodego zarozumialca nie może być godnym zazdrości...

Nad ranem dopiero usnął, lecz wkrótce obudził go jakiś niezwykły turkot i hałas przed domem. Przyjechał wójt z pisarzem i strażnikiem ziemskim i żądał widzenia się z panem.

— Cóż za interes sprowadza panów tak rano? — pyta, ubrawszy się czemprędzéj w szlafrok.

Wójt z łańcuchem i medalem na szyi wszedł z wielką butą do pierwszego pokoju, strażnik z szablą, która mu brzęczy, uderzając o podłogę, a pisarz z pokorniuteńką miną, pochrząkując ciągle, wsunął się jak cień za nimi, i zdawał się upatrywać miejsce, gdzieby mu było najdogodniéj stanąć, aby nikomu nie przeszkadzać.

— A cóż jak nie bieda — odpowiada wójt, rozsiadając się na kanapie z fantazyą nagle spanoszonego waszmościa.

Tymczasem zbudzone kobiéty w drugim pokoju,

jedna za drugą uchylają drzwi i kolejno pokazują swoje zakrzywione nosy.

— Fredziu!—woła strwożonym głosem żona.

— Cóż chcesz? — odpowiada dość opryskliwie, zbliżając się ku drzwiom.

— Po co oni przyjechali?

— Albo ja wiem...

— Może ciebie aresztować, co?... Mój drogi Alfredku — szepcze, ciągnąc go za rękaw do sypialni — pójdź tu, ja cię wypuszczę tylnemi drzwiami do ogrodu.

— Pewnie za ten rewolwer! — dodajc staruszka załamując ręce.

— Za jaki?

— Za ten, który schowałam wczoraj w lipie... Wystaw sobie, byłam przed chwilą w ogrodzie... i nie ma go... pewnie ktoś znalazł i zaniósł go do wójta... O ja nieszczęśliwa, cóżem ja dobrego zrobiła!...

Co sobie w téj chwili myślał Alfred, to nie wiem, lecz zaciąwszy zęby, udał, zapewniając strwożone kobiéty, że nie spodziewa się żadnego niebezpieczeństwa, a tylko prosi, aby mu nie przeszkadzały w rozmówieniu się z wójtem.

— Cóż to za bieda? — mówi, wracając do pierwszego pokoju, gdzie wójt, poczęstowawszy tabaką pisarza i strażnika, z nimi razem kicha z taką zapalczywością, iż nie jest w stanie odpowiadać.

— A toć one podatki z Dychawicy...

— Jakie? Wszakże zapłaciłem bieżące aż do świętego Jana!

— To ta nie o teraźniejsze idzie ale o dawne... Niechno pan pisarz przeczyta, co pisze naczelnik.

Pan pisarz wyjął z pod surduta zamkniętą tekę i chrząkając, kichając, na palcach zbliżył się do stołu.

— Panie dobrodzieju dziedzicu—mówi przewracając karty — należy się z Dychawicy tego podatku tyle, tego tyle, i znowu tyle z lat tych a tych, summa summarum tysiąc kilkaset rubli.

— No to przecież nie odemnie! — mówi Alfred ze śmiechem, odsuwając papiery. — Proszę iść do pana Anastazego!

— Byliśmy proszę pana dziedzica, a on nas odesłał tutaj... Pokazał kontrakt z wielmożnym dziedzicem, i powiedział, że to wszystko wielmożny dziedzic wziął na siebie.

— Kłamstwo!—zawoła Alfred—ja nie jestem jeszcze urzędowym dziedzicem Dychawicy...

— Ehe, wielmożny dziedzic ino tak żartuje — odpowiada wójt, patrząc się figlarnie w jego oczy.

— A dlaczegoż to leśniczy nie chciał mi wydać mojego drzewa z lasu, mówiąc, że wielmożny pan zakazał. Gajowy by tam nie słuchał nieprawdziwego dziedzica, aha?

— Nie wydał i nie wyda, ani gałązki! — przerywa gniewnym tonem Alfred—tak samo i podatku nie zapłacę, bo do mnie nie należy...

— Ha, to zrobimy sekwestracyę, jak kazał naczelnik. Niechno pan panie strażniku każe zawołać sołtysa i świadków... A pan panie pisarzu, pisz jak się należy.

— Możecie robić, co wam się podoba, a ja nie dam ani grosza...

Przyszedł sołtys i dwóch gospodarzy ze wsi, pisarz wyjął z teki papier, przyciął pióro, odkorkował kała-

marz z atramentem i rozpoczął protokół sekwestracyi. Pospisywano wszystkie meble, rzeczy, jakie się w pokojach znajdowały, wójt chodził sam i wskazywał różne przedmioty, a cała świta złożona z bosych świadków i strażnika brzęczącego szablą, postępowała krok w krok za nim... Potém wynieśli się do wozowni, opisali konie, powóz, bryczkę, które sobie sprowadził pan Alfred, omijając wszystkie przedmioty, które podług wskazówek karbowego, są pana Anastazego własnością. Gdy skończono, cała kawalkata wróciła do pokoju, pisarz znowu skrobał piórem dość długo, a gdy zamknął protokół, wójt wstał, z kieszeni wyjął chustkę w niebieskie kraty, z niéj odwinął pieczęć i połowę puszki od szuwaksu. Z całém amatorstwem i niezwykłą wprawą kilka razy wpuszczał wójt ową pieczęć do puszki, żeby nabrała tuszu, a potém z powagą wycisnął ją na protokóle.

— Niech pan dziedzic podpisze.

— Nie nie podpiszę—odpowiada Alfred.

— Słyszycie moi ludzie—odzywa się wójt, obracając się do sołtysa i drugiego gospodarza — będziecie świadczyli, jako pan nie chciał podpisać.

Strażnik zaś spojrzał bardzo podejrzliwie na takiego obywatela, który śmie opierać się rozkazom wójta.

— No, sołtysie, pamiętajcie, coby mi tu nic nie zginęło z tego, co się tu zapisało, bo to wszystko będzie na was.

Sołtys okrutnie się skrzywił i drapał po głowie nie wiedząc, jaki tu dozór nad pańskiemi rzeczami rozciągnąć.

— No, no, nie drapcie się, a pilnujcie.

— Cóż ja tu będę dzień i noc stróżował...

— Jak chcecie to róbcie, możecie nająć człowieka, aby tylko nic nie zginęło, jak przyjdzie licytacya... bo zapłacicie.

To powiedziawszy, wójt wyszedł nawet się nie pokłoniwszy nowemu dziedzicowi; toż samo zrobiła jego świta prócz pisarza, który z wielkiéj attencyi cofał się tyłem do drzwi i kłaniał, kłaniał, nawet jeszcze z dziedzińca.

Po tym wypadku w całéj wsi gruchnęła wiadomość, że nowego pana z kretesem zafantowali, że jest bankrut i że pan Anastazy już nadal zostanie dziedzicem Dychawicy. Komu więc należał się jeszcze z dworu grosz jaki, dążył i nagabywał, żeby mu koniecznie zapłacono.

Nie było innéj rady, tylko znowu jechać do powiatu i do gubernii, a tu sołtys powiada: ja nie dam ani bryczki, ani koni, bo są pod haresztem. Więc musiał nająć pan Alfred chłopską furmankę i wlec się całe pół dnia dwie mile drogi. W powiecie nie udał się wprost do naczelnika, ale do któregoś z mniejszych urzędników i po całodzienném czekaniu, podawaniu prośb, przyrzeczono mu, że sekwestracya będzie cofnięta, jednak podpisze deklaracyę, że ręczy za pana Anastazego.

Musiałbym parę tomów pisać, chcąc opowiedzieć czytelnikom o wszystkich sposobach wzajemnego dokuczania jednéj i drugiéj strony. Kto kiedy w życiu swojém miał złego sąsiada, to wie doskonale, jak złośliwość i obrażona ambicya człowieka płodną jest w pomysły, gdy idzie o robienie na przekór nieprzyjacielowi, naturalnie w sposób jak można dokuczliwy. Kiedy u pań-

stwa Anastazych było najwięcéj gości i bawiono się wesoło, albowiem sprawa z Alfredem bynajmniéj nie psuła im dobrego humoru. Alfred posyłał mu woźnego z doręczeniem pozwów, wyroków i innych pasztetów sądowych. Nawzajem, kiedy pani Alfredowéj pękała głowa od bólu, Kaziowi zachciało się bić psy przed gankiem i przestrzelać broń tuż pod oknami. Do ogrodu, w którym już były porobione klomby i rabaty zasiane kwiatami, wpuszczano na noc konie cugowe na trawę a w dzień czworonożne zwierzęta, plądrujące tam z całą swobodą. Alfred kazał sobie urządzić łazienkę z desek na rzece do kąpieli — co rano znajdował deski powyrywane, ławeczkę i schodki zniszczone. Panna Józefa pod pozorem kopania chrzanu kazała powybierać najpiękniejsze krzaki róż i innych roślin i te rozsyłała w prezencie sąsiadkom. W oranżeryi mało co zostało kwiatów, szyby w inspektach codzień ktoś tłukł kamieniami, pan Kazio z chartami polował po zbożach, a cały dom państwa Anastazych tak się rozsmakował w rybach, że dzień w dzień zaciągano niewodem po stawie, a największe szczupaki i liny brano na kuchnię pańską.

We wsi również chłopi wystąpili z pretensyami do pastwisk, nie dali łąk zatykać na trawę, w lesie gajowy nie mógł się opędzić od szkody, a z tego mnożyły się skargi w gminie, do komisarza włościańskiego, do naczelnika powiatu, daléj sądy, zjazdy, śledztwa, protokóły, z czego pan Anastazy śmiał się i zacierał ręce, powtarzając:

— Niech on wie, ten młokos, panie dobrodzieju, co to ze starym graczem zaczynać!

— Żem ja to wszystko przetrwał i nie osiwiał, że żona się nie rozchorowała, a matka nie rozkołatała mi głowy wymówkami — powtarzał późniéj Alfred przedemną—to tylko Opatrzności Bozkiéj przypisać muszę.

Nakoniec przeszedł ten nieszczęśliwy miesiąc, a że pan Anastazy rzeczywiście kupił jakąś wioseczkę za Wisłą i potrzebował się tam wyprowadzić, więc przyjechał na termin do kontraktu w hypotece. Przy interwencyi obrońcy Alfreda, udało się jakoś bez głośniejszego wybuchu skończyć układy.

— Niech się upokorzy i przeprosi! — wołał w zajeździe, rozrzucając się pan Anastazy.—Ja jestem człowiek uczciwy i nikomu w drogę nie wejdę, ale panie dobrodzieju, jak kto przedemną nosa zadziera i stroi jakieś finfy—to do ostatniéj koszuli się wyprzedam, a nie daruję... Fanfaron, on śmiał mi powiedzieć i napisać, że jego pijaczyna Szymon więcéj u niego wart niż my wszyscy!...

Ośm dni jeszcze zastrzeżono do wyprowadzenia się panu Anastazemu z Dychawicy i przez ten czas już było zawieszenie broni. Stary dziedzic ogłosił licytacyę na różne niepotrzebne sprzęty, a co nie mógł sprzedać, przysłał Alfredowi wykaz tych rzeczy wraz z ceną i propozycyą, czyby nie kupił. Naturalnie, że o zostawieniu czegoś bądź, jak to było ustnie przyrzeczone, nie mogło być mowy.

— Powiedz panu, że nic nie kupię i nic nie potrzebuję—odpowiedział posłańcowi.

— Ot i w tém znać, jaki to człowiek! — mówi do żony i znajomych Anastazy, gdy mu taką odpowiedź przyniesiono.—Ja wiem, że musi potrzebować i potrze-

buje takich rzeczy, bo nic nie mają, ale żeby mi i tém na złość zrobić, to woli dwa razy tyle zapłacić za nowe, aby tylko na złość.

— Zostawić im te graty — odzywa się pani Regina—mało co warte, a obiecaliśmy przy umowie...

— Wolę spalić, stłuc, rozdać! — krzyknie z zapalczywością Anastazy — a na obwinięcie palca nic nie zostawię... I powiadają ludzie: Anastazy daj pokój, nie drzyj się... Dobrze wam mówić, ale żebyście wy trafili na taką gadzinę, tobyście się przekonali, że najłagodniejszego człowieka wyprowadzi on z cierpliwości.

Więc jakby na zakończenie zemsty rozdano te rzeczy służącym i ludziom ze wsi, a panna Józefa własną ręką tłukła przez dwie godziny w spiżarni wszystkie słoiki, garnki i to co się stłuc dało, zaś pan Kazimierz własnoręcznie wyjmował gwoździe i haki ze ścian, klamki i klucze ze drzwi, rujnował piece, wyławiał gołębie, tak, że gdy ostatnia fura wyjechała za bramę dziedzińca, w pałacu Dychawicy została taka przerażająca pustka, jakiejby w dawnych czasach nawet Tatarzy nie zostawili.

Nie mówię już i o oborach, o tém, co i w jaki sposób wyłączono ze sprzedaży Alfredowi inwentarzy; jak podczas wycieczek jego do sądów pozmieniano krowy i konie i uprzęż — bo o tém dowiedział się dopiero później, kiedy rozwiązały się języki służbie, arendarzowi i chłopom we wsi. Ci ostatni jednak, pomimo najdotkliwszego obchodzenia się z nimi pana Anastazego, gdy na pożegnanie dostali trzy garnce wódki, gromadą odprowadzili go do saméj granicy i wszyscy bez wyjątku spłakali się jak bobry żałując wielmożnych państwa...

— Zobaczymy! — powtarzał Anastazy opowiadając te sceny w miasteczku — czy jego téż tak będą żegnać i czy potrafi zasłużyć sobie na taką miłość ludu... Z naszym chłopem to trzeba umiéć. Można go zgromić panie dobrodzieju, ale jak mu się da czém łzy obetrzéć, to się przywiąże jak pies!...

V.

Jak po przejściu przez takie biczowanie na samym wstępie do obywatelskiego zawodu, potrafił podnieść się nasz Alfred i wziąć energicznie do uporządkowania Dychawicy na to odpowie nam jego młodość. Boże drogi, ile to w tych latach człowiek niedoświadczy i biedy i przykrości i upokorzenia, a wszystko przejdzie, jak kropla deszczu po kryształowéj szybie. Przyczepi się czasem tu i owdzie jakaś matowa plamka, lecz i tę błysk cieplejszego słonka lub zdrój czyściejszéj wody potrafi zmyć i uprzątnąć. Z wiekiem, przyjdą nowe, więcéj poważne burze, a wtedy dawniejsze z młodości wydają się już mglistemi wspomnieniami, nad któremi i śmiać się nie warto. Młodość pełna nadziei wszystko zniesie i brzemienia nie poczuje, gdy przeciwnie wiek późniejszy, jak nieoszlifowany dyament bez połysków tęczy, naprawdę ryje i rysy zostawia na téj tablicy żywota...

Przez ciąg lat, w których nie zgłaszał się do mnie Alfred, słyszałem tylko, będąc raz w Warszawie, że z powodu owego świetnego interesu z kamieniami zrobił się głośnym w ten sposób, jak niegdyś ś. p. Zabłocki,

handlujący mydłem. Ktoś ze znajomych mówił mi, że teraz nie powtarzają ludzie: wyszedł jak Zabłocki, ale jak Szafrankiewicz na kamieniach, pokazało się bowiem, że jak zaczął dostarczać owych kamieni, to na pierwszym transporcie dołożył coś po piętnaście rubli na sążniu. Skończyło się więc, że kupiec, dawszy podówczas coś trzysta rubli zadatku Alfredowi, nie zwolnił go z kontraktu, dopóki nie odebrał i tego zadatku i dwóch tysiecy rubli odczepnego. Wspólny nasz kolega szkolny Bonifacy coś bardzo dwuznacznie poruszał mi głową, kiedym go pytał, jak się powodzi Alfredowi.

— Rzuca się zanadto i zdaje mi się, niedługo przeszasta tych stopięćdziesiąt tysięcy posagu. Nie wierzę ja dziś w te wszystkie świetne interesa... ho, ho, ludzie nie są tak ograniczeni, aby dali na sobie dużo zarabiać!

— Ja znowu sądzę, że Szafranek ma szczęście... Pamiętasz, on zawsze był jak kot, który na nogi upada...

— I to być może, bo słyszałem coś, ale szczegółów nie pamiętam, że umarł wuj czy stryj jego żony bardzo bogaty piwowar i albo jemu coś zapisał, albo oddał mu opiekę nad córką, dość, że z tego znowu mu coś kapnie...

Tych kilka słów Bonifacego dało mi wiele do myślenia. Wyrażenie w liście Alfreda: „Mamy dla ciebie coś, o czém się dowiész, jak przyjedziesz"—jak raz licuje z tą historyą o zmarłym piwowarze i jego córce. Droga ze stacyi kolejowéj do Dychawicy była kaducznie piaszczysta. Cztery konie zaprzężone do lekkiego wolanta, który przysłał po mnie Alfred, wlokły się noga za nogą, a piasek z kół sypał się tak, iż zdawało się, że to woda się leje. Wśród więc takiéj jazdy człowiek ma dość cza-

su na rozpuszczenie cugli swym myślom; budowałem téż wiele na owym domyśle co do przeznaczonéj dla mnie córki piwowara, rozbierałem wszelkie ewentualności, jakie nastąpić mogą, a przedewszystkiem paliła mię ciekawość, jak téż ona z powierzchowności wygląda.

Przedemną na koźle, w jasno-piaskowéj liberyi, z guzami wielkości talarów, siedział i kiwał się na wszystkie strony znajomy czytelnikom Szymon, krytyk z urodzenia. Cera jego twarzy teraz już koloru rydza po pierwszym przymrozku, ale mimo to wichowate wąsy dają mu minę prawdziwie pańskiego sługi.

— Szymonie — odzywam się do niego z intencyą dowiedzenia się czegoś o téj pannie — jakże się tam panu wiedzie?

— Tak tam, jaśnie panie, uszłoby, tylko żeby nie dawał takiego posłuchu żydom.

— Albo co tam ci żydzi?...

— Jakto żydzi, aby tylko człowieka do złego namówić. Ot i teraz mają chęć na las i koniecznie turbują pana, żeby im sprzedał a w tém miejscu folwark wybudował... Nieraz mówię panu, co mu po folwarku na piaskach, ale jemu tak żydzi zakręcili głowę, że już z chłopami zrobił ugodę o zwolnienie zbieraniny i dał im sztuk lasu takiego, że ha!

— No, ale zdrowi wszyscy we dworze — przerywam, żeby dojść do mego celu.

— Byliby zdrowi, jaśnie panie, żeby nie sama pani i te dzieci.

— Więc mają dzieci?

— Ha niby to mają...

— Cóż to niby; przecież jak kto ma dzieci to ma...

— Ech, kiedy nasze, z przeproszeniem jaśnie pana,

okrutna biedota. Starszy panicz ma trzy lata i jeszcze nie chodzi, a panienka...

— Cóż panienka...

— Powiadają—mówi—że jest bez skóry...

— Co téż pleciesz!...

— Ej, proszę jaśnie pana, bo ja raz słyszął, jak panna Lojza mówiła z naszą panią, że naprawdę panienka ma taką delikatną skórę, jakby jéj nie miała.

— A któż to ta panna Lojza?

— Albo to jaśnie pan nie wie? — odpowiada, odwracając się z kozła i spoglądając na mnie filuternie.

— Naturalnie, że nie wiem...

On się znowu obejrzał z uśmiechem niedowierzania.

— Czegóż ty się śmiejesz, co?...

— Bo jaśnie pan chce sobie zażartować z Szymona... Nie bój się pan, i ja téż coś wiem...

— Powiedz, bo ja rzeczywiście nic nie wiem...

— Magdusia, która jest przy pani, powiedziała mi dziś: Szymonie, dostaniesz dobry tryngeld, bo jedziesz po kawalera dla naszéj panny Lojzy...

Była to zręczna przymówka o dobry tryngeld, a zarazem potwierdzenie moich domysłów. Udałem, że przyjmuję narzuconą mi rolę i zaczynam daléj:

— A zkądże twoja Magdusia wie o tém?

— Oho, ona dużo wie, bo jest przy państwie i słyszy nieraz, jak państwo z sobą gadają...

— A ta panna Lojza, czy jak tam, to młoda, ładna?

— Czy jéj to pan nie zna?—mówi już poufale.

— Nie znam. Więc jakże, młoda?

— Jużci nie stara, bo na co by jéj kawalera.

— A ładna?

— Ujdzie, proszę pana, taka sobie jest zażywna jak nieboszczyk jéj ojciec?

— Znałeś ojca?

— Oho, któżby go nie znał! Miał browar na Solnéj i jaki browar!... On proszę pana jeszcze mówił z niemiecka do każdego: „ty moja brat,” a nasza pani to jest niby po jego siostrze. Oni co prawda to są nie z panów, ale nasz pan za to już prawdziwy z ojca i dziada...

Wjeżdżaliśmy właśnie w granicę dóbr Dychawicy, i trzeba przyznać, że od razu droga się poprawiła. Alfred kazał nawozić gliny na piaski i okopać drogi rowami tak, że Dychawica przedstawiała się wcale dobrze. Pola były starannie zorane i zasiane, zagony prościuteńkie, tu i owdzie słupki oznaczające płodozmian, a przy wjeździe do wsi, ogromny, sztucznie zamykający się kołowrot.

Zbliżając się ku domowi, widziałem wcale porządną karczmę i kuźnię w stylu gotyckim, daléj kilka na pół wystawionych budynków z polnych kamieni pospajanych wapnem, co dawało im pozór słojow marmuru, a gdym się dostał na dziedziniec—odrestaurowany pałac z cienką fontanną i gazonem z kolorowych roślin bardzo przyjemne robiły wrażenie.

Z ganku ocienionego spuszczającemi się splotami dzikiego wina wybiegł na spotkanie moje Alfred. Trochę zmężniał, opalił się, a zapuszczona broda czarna jak kruk robiła zeń kompletnego wieśniaka. Nie mogę powiedzić, żeby mię nie przyjmował serdecznie; owszem, może zanadto jak szkolnemu koledze i porównaniu z jego świetną sytuacyą mizerakowi, nadskakiwał.

Zaprowadzo mnie do gościnnego pokoju nad gankiem głównym, a że właśnie czekano z herbatą, śpieszyłem się oczyścić z drogi, by zejść na dół.

— No jakże ci się podoba Dychawica?

— Pańska rezydencya!

— Prawda — rzecze zadowolony.— To tak, czego ja się dotknę, muszę na swój gust przerobić... Ale żebyś wiedział co tu przedtém było, co ja przeszedłem z poprzednim właścicielem!... Opowiem ci to kiedy przy wolniejszéj chwili. Historye, tylko spisać i podać do gazet...

— No, a jakże pod względem dochodów?

— Ot zaraz znać praktycznego człowieka, zupełnie jak Luiza... Aha muszę cię uprzedzić, że u nas bawi siostra cioteczna żony, moja pupilka panna Ludwika Sztrumpf (czy Sztramf.. bom nie dosłyszał dobrze nazwiska).

I powiedziawszy to, spojrzał się na mnie znacząco, a ja nic miałem co lepszego do roboty, jak poczerwienieć po studencku.

— Powinniście sympatyzować z sobą, bo ona kubek w kubek taka jak ty...

Udałem, że tego nie słyszę i zacząłem swoje daléj o powodzeniu Alfreda.

— No, jeszcze to Dychawica nie to, co będzie za lat dwa, trzy; ale już dziś mam na czysto sześć procent od kapitału.

— Bardzo dobrze.

— Ech głupstwo takie dobrze. Ja muszę wydobyć dwadzieścia. Stawiam piec wapienny, młyn przerabiam na turbinowy, sprowadzam wodę o pół mili... i tyle innych robót mam pozaczynanych...

— A żona, dzieci zdrowa? — pytam spostrzegłszy się, że wypadało od tego tego zacząć.

— Ech! — odpowiada ciszéj, machnąwszy ręką i oglądając się, czy kto nie słyszy—to kurczęta a nie ludzie... kwęka, narzeka, ale ja się do tego przyzwyczaiłem. Trudno, proszę cię, płakać ciągle nad niemi... Chorowite to już z natury, ciągle w lekarstwach, zapuchnięte... Ot żeby taka była zdrowa i tęga jak Luiza, to mi kobiéta—lecz mówię ci... I jak się będziesz kiedy żenił, pamiętaj nie bierz słabowitéj, bo to ci zatruje życie...

Westchnął, a że ja byłem już gotów, więc zabieramy się do wyjścia.

— Słuchajno Stasiu—odzywa się nieco zakłopotany, zatrzymując mię przy drzwiach.—Nie mów tam przy Luizie, kto ty i czém ty jesteś...

— A to dlaczego?

— No tak, uważasz, my z żoną powiedzieliśmy jéj, że ty jesteś obywatelem ziemskim... U takich mieszczan Niemców to wiele znaczy... że macie posiadłość niezłą...

— Powiedz mi, co miałeś za cel — mówię nieco urażony — i dla czego ja się mam wypierać mojéj sytuacyi?

— Zdaje mi się, że ci pisałem. Luiza jest bardzo bogata, najmniéj trzykroć — dodaje ciszéj, szepcząc mi do ucha...

Mowa ta wywołała uśmiech ironii na moje usta...

— Więc ja mam udawać, czém nie jestem — rzeknę, patrząc mu w oczy.—Mój drogi, źle mię znasz!

— Kiedy ty mój Stasiu — przerywa, obejmując

w pół—zawsze inaczéj sobie te rzeczy tłumaczysz. Nie idzie o to, żebyś... tego...

— Kłamał—odpowiadam za niego.

— Ale cóż znowu! Nie ma potrzeby kłamać, ale również nie ma potrzeby mówić o sobie prawdy... Ludzi nie przerobisz, trzeba trochę poblagować. Wierz mi, prosta i otwarta droga wiedzie tylko do biedy... Chcesz czemś być i coś mieć — inaczéj nie dojdziesz... Świat taki teraz, chce politury... połysku. A przyznam ci się, warto dla trzechkroć, chociaż będzie więcéj—mówi daléj, widząc, że trzykroć nie robią na mnie wrażenia—z pewnością czterykroć, bo to są różne zakłady.

— Mój Alfredku — odpowiem na to — dziękuję ci za twoją życzliwość, ale widzę zapaliłeś się do tego projektu. Ani ty wiesz, czy jéj się spodobam, ani czy ona mnie się spodoba...

— O ciebie się bratku nie boję. Co to jest proszę cię, czterykroć... Całe życie jesteś sobie już panem i drwisz z takiego tam urzędowania...

— Czyż to pieniądze tylko...

— Wiem, wiem—przerywa mi—ale tu jest wszystko przy tém. Panna zdrowa, przystojna, wykształcona i jak jeszcze... Była na pensyi zagranicą, to nie to, co moja... Dobra Anielczysko, kocha mię na zabój, no ale głową nie grzeszy... co tam przed tobą ukrywać. Ho, ho, gdybym ja miał wtenczas taki rozum jak dziś... Więc chodźmy i nie rób ceremonii tam, gdzie nie warto... Zresztą ja już tak powiedziałem o tobie i sądzę, nie zechcesz mię kompromitować... Alboż to nie jesteś synem obywatelskim!... Cóż z tego, że ojciec zwinął gospodarstwo...

Zeszliśmy na dół, przechodząc do jadalnego poko-

ju przez kilka zbytkownie chociaż bez smaku umeblowanych salonów. Sama pani jeszcze bardziéj zwiędnięta i skrzywiona, z podwiązaną twarzą, ubrana jednak podług ostatniéj mody, przyjęła mię bardzo uprzejmie, ale zawsze z pewną ceremonialnością obywatelską. Zapytawszy, jak mi się podoba Dychawica i ich pałac, rozpowiedziała zaraz, jaki to oni mają przepyszny ogród, jakie kwiaty, jaką altankę na wyspie, a potém ni ztąd ni zowąd zeszła na jakąś sąsiadkę najbliższą, panią Jeziernicką, która we wszystkiém stara się ich naśladować.

— Proszę pana, niech ja dziś sprowadzę sobie z Warszawy nowy kostium, ona za parę dni musi miéć podobny. Prawda panie, jak to z jéj strony nietaktownie?...

— Sądzę, że pani to sprawia przyjemność—odzywam się, aby coś powiedziéć.

— A, dziękuję panu za taką przyjemność. Nie mogę się nigdzie pokazać, żebym nie zobaczyła drugiéj siebie. Nie dosyć na tém, ale naśladuje całe urządzenie domu, nakrycie, sposób podawania... A taka ciekawa, że jak przyjedzie do nas, wszędzie musi być, każdą drobnostkę obejrzéć... Doprawdy nieznośna jest i do tego lubi słodkie oczy robić do mężczyzn. Mój Fredzio umyślnie ją drażni, okazując attencyę, ja się gniewam na niego i powiédz pan, czy nie mam racyi?

— To są żarty moja duszko—przerywa mąż.

— I tego być nie powinno; wszelki fałsz jest dla mnie wstrętnym... Prawda panie?...

— Zapewne — mówię — ale pewne względy towarzyskie...

Właśnie w téj chwili służący wniósł samowar, a za

nim weszła słusznego wzrostu o śniadéj cerze i mocnych czarnych włosach panna Ludwika. Nad spodziewanie moje ubraną jest skromnie, bez żadnych świecideł, lecz za to z fartuszkiem, który jéj cały biust aż pod szyję okrywa.

W spojrzeniu i w ruchach jéj nieco szorstkich znać, że więcéj jest zajęta samowarem, który służący na oddzielnym stoliczku ustawia, niżeli mną, którego Alfred rekomenduje. Rzuciła obojętne spojrzenie, ukłoniła się ceremonialnie i zabrała do naparzania herbaty. My z panią Alfredową kontynujemy daléj rozmowę o pani Jeziernickiéj i drugiéj, śpiewającéj sąsiadce, a panna Ludwika, nie zwracając na nas uwagi, biega od samowara do stołu i napowrót, ciągle coś przynosi, ustawia, zabiera lub informuje służącego tak, że zdaje się jest tutaj panną służącą do gospodarstwa. Parę razy probuje Alfredowa wciągnąć ją do rozmowy z nami, pytając, dlaczego nie wzięła szafirowéj sukni, w któréj tak ślicznie wygląda, lecz ona, odpowiedziawszy coś krótko, dzwoni daléj kluczykami, jakby ją nasze towarzystwo nic a nic nie obchodziło. Dopiero podając mi z tacy filiżankę z herbatą, spojrzała na mnie.

— Może pan sobie dosłodzi—rzecze—bo ja jeden tylko kawałek cukru włożyłam.

— Dziękuję pani, właśnie pijam herbatę bez cukru...

— Tak — mówi, przypatrując mi się ciekawie — przepraszam, do drugiéj już nic nie wrzucę...

I rzeczywiście nie wrzuciła, ale téż więcéj nie odezwała się przez cały wieczór. Obserwowałem ją, przyznaję się, z wielkiém zajęciem: jest sobie ani brzydka ani ładna, i jak powiedział Szymon, rzeczywiście zaży-

wna. Oczy tylko ma duże, czarne i błyszczące, lecz te spoglądają tak obojętnie, jakby w jéj duszy cały świat myśli drzemał, lub jakby chciała okazać filozoficzną wzgardę dla wszystkich i wszystkiego, co ją otacza. Rączki tylko, zanadto pulchne, przebierały tak zręcznie przy krzątaniu się koło stołu, że migały się niby purpurowe światełka w kalejdoskopie.

Nie pamiętam, żebym kiedybądź nudniéj przepędził wieczór. Alfred przy żonie nie lubił rozmawiać, więc chodził po pokoju, medytował, zaglądał do okna, obserwując, czy będzie na jutro pogoda, a żona jego plotła mi niestworzone rzeczy o swojém powodzeniu salonowém między sąsiadkami i ich barbarzyńskiém ubraniu. Około dziesiątéj powiedzieliśmy sobie wszyscy dobranoc i ja znużony, powlokłem się na górę. Przyznaję, że takie obejście się panny Ludwiki nieco zadrasnęło moją miłość własną. Nie podobała mi się, lecz swoją drogą to jéj milczące zachowanie się wyglądało na prawdziwą, umyślną niegrzeczność, jeżeli nie brak wychowania. Widocznie się nie podobałem, albowiem niepodobna, żeby nie wiedziała o projektach Alfreda.

Jeszczem się nie położył spać, gdy słyszę, stąpa po schodach kolega.

— No, winszuję ci—odzywa się już w progu.

— Czego?—pytam z kwaśną miną.

— Podobałeś się Ludwice!

— Nie żartuj! Wszakże nie odezwała się do mnie ani słowem.

— To nic nie znaczy, kobiéty mają często takie kaprysy i takie przeciwieństwa, że niczem ich nie potrafią usprawiedliwić... Ale co do ciebie, powiedziała mi

otwarcie: Musi być gospodarny człowiek, jeżeli pija herbatę bez cukru...

— Więc z tego się podobałem?

— Z czegobądź, dosyć, że się jéj podobałeś i zobaczysz jak ona się z tobą rozgada, to się przekonasz, że nie jest wcale głupią. Ma swoje fanaberye, bo któraż ich nie ma?!... Lubi udawać ponurą i szorstką, ale serce tam złote. Wystaw sobie, że zobaczywszy, jak to u nas gospodarstwo kobiéce idzie, od razu wszystko wzięła sama do ręki i jest teraz jak w zegarku. A w Dychawicy zakochana po uszy; powiada, że za nic w świecie nie chciałaby już mieszkać w mieście...

— Przed kilku dniami, wydała się z tém, że jak tylko pójdzie za mąż tak zrobi facyendę ze mną na browar w Warszawie.

— I ty byś się zamienił?

— Dlaczego nie?

— Tyleś tu pracy swéj włożył...

— Ja pracy nie żałuję, ale téż nie przywiązuję się do miejsca. Przeciwnie duch mój nieustannie łaknie nowego terenu do działania. Przyznaję, że trochę by mi było żal rozstawać się z tym majątkiem, który dopiero zacznie przynosić dochody, ale dla mnie w mieście odpowiedniejsze pole... Tu zaczynam się nudzić...

Długo jeszcze w noc rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Opowiedział mi całą historyę kupna Dychawicy i awantur z panem Anastazym, omijając naturalnie to, coby niekoniecznie dobrze mówiło o jego lekkomyślności przy kupnie, a kiedy ja już zacząłem mimowoli ziewać, podaje mi rękę na pożegnanie.

— No, mój kochany Stasiu, spij-że tu smacznie i pamiętaj, co ci się będzie śniło, uważam cię bowiem

już na pół za dziedzica Dychawicy... Tylko śmiało, a zaręczam, wszystko się uda... Wierz mi, Dychawica warta tego zachodu, majątek śliczny, uporządkowany i możesz sobie tu żyć jak u Pana Boga za piecem.

Kiedy sobie dziś przypominam tę filuternie uśmiechniętą minę, z jaką mówił Alfred o wygodach życia w Dychawicy, to dziwię się, że wówczas po jego wyjściu nie poczułem zapachu siarki, który to podług gadki ludowéj pozostawia zawsze szatan kusiciel. Lecz wówczas, przyznaję, zbyt dobrodusznie dałem się złowić na wędkę owéj pokusy i jakkolwiek wstawszy rano nie pamiętałem co mi się śniło, ale z większym daleko interesem niż wczoraj przypatrywałem się z balkonu różnym widokom na pola i lasy i łąki rozścielające się w falowatych zagięciach pod mojemi stopami.

Czytelniczkom moim, z któremi już od tak dawna prowadzę częstą gawędkę, należy się prawda. Czego się mam zapierać, pokusa Alfreda zrobiła swoje, bo ten przegląd Dychawicy z balkonu sprawiał mi pewną przyjemność, pod wrażeniem któréj widziałem wszystko w daleko piękniejszych kolorach, niż było w rzeczywistości. Mimo uporczywego odtrącania wszelkich ułudnych widoków przyszłości, jednak ciągle mi się zdawało, że ktoś szepcze mi do ucha: „To wszystko może być twoje..."

Na obszernym dziedzińcu folwarcznym rozpoczynał się zwyczajny ruch gospodarski. Parobcy wytaczali wozy z pod szopy, jeden smarował koła, maszcząc je z całą systematycznością czarną kiścią, umaczaną w maźnicy; inny obijał podkółkiem zaschłe błoto na sprychach, ten wyciągał drabiny, ów porządkował części pługa, ów wyprowadzał konie już ubrane ze stajni,

a tamten gdzieś w kącie zdejmował jarzma ze ściany. Ekonom w białéj perkalowéj katance, chodząc tu i owdzie po stajniach i oborach wypędzał leniwych, a krzyczał i wywijał harapem tak, że zdawało się, cała ziemia powinna się trząść pod jego nogami. Pomimo to poważni parobcy nie myśleli przyśpieszać tempa swéj roboty i spacerowali równie powoli jak wprzódy, noga za nogą, od przedmiotu do przedmiotu, stając i przeciągając się rozkosznie, gdy się tylko ekonom odwrócił. Dwóch nawet, którzy się zapóźnili ze śniadania z piekarni, idąc ku gumnom, figlowali, zrzucając jeden drugiemu czapki z głowy, jakby ani ekonom ani jakabądź robota na świecie nie istniała.

Od obór z drugiéj strony dwie dziewki na pół w negliżu, z zawiązanemi na głowie niby to chustkami, niosły na drążku duży ceber mleka, a za niemi krok w krok postępował chudy, w zaplamionym chałacie żyd pachciarz, chwytając co chwila za ramię, którą z kobiét ilekroć przechylał się ceber, a piana z mleka pluskała na ziemię.

Ze wsi zwlekali się najemnicy z kosami, cepami lub grabiami, które nieśli jak żołnierze karabiny na ramionach. Dziewczyny chichotały, wsadzając żółte kwiaty we włosy, chłopaki dokuczali im, zaczepiając to jedną to drugą, a karbowy, otworzywszy z okropnym skrzypem wrota stodoły, wydawał wiązki siana fornalom, jadącym w pole z pługami.

Przed domem folwarcznym znowu ruch inny. Gromady domowego ptactwa zbiegły się tuż przed sienią na wołanie niemłodéj już i trochę łyséj z siwemi włosami gospodyni. Pani ta dosyć okrągłéj powierzchowności, nadziawszy okulary na nos, tak przeraźliwie krzy-

czącym głosem wzywała swoich podwładnych, że nawet pawica, siedząca na lipie w drugim końcu dziedzińca, sprowadziwszy z gałęzi na ziemię dwoje szarych z czubkami gagatków, pędziła co tchu ku miejscu, gdzie rozdają śniadanie. Lecz nie sama ona dążyła ku folwarkowi. Ze wszystkich kątów zabudowań, z po za sztachet ogrodzenia, z parkanów od ogrodu i wreszcie jakby z pod ziemi, wyciągniętym kłusem z podaną naprzód szyją dreptały kury, koguty i kurczęta. Nie brakło i kołyszących się a skrzekliwych kaczek, pstrokatych, z czerwonemi kolczykami pantarek; skradały się z boku indyki, chociaż to dla nich ten bal dawano, zlatywały się Bóg wie zkąd gołębie, a poczciwe i rubaszne wróble z junacką miną jak kule spadały z topoli i nie zważając na opryskliwe obejście innéj skrzydlatéj rzeszy, porywały z ziemi, co się dało.

Tuż obok obozowiska ptasiego, wyniosła Hebe folwarczna olbrzymi cebrzyk ze strawą dla pewnych zwierząt, a włożywszy zieloną siekaninę pomięszaną z kartoflami do korytka, doniosłym głosem zaczęła nawoływanie. Leżący pod przyzbą kudłaty i wyburzały od starości kundel Burek, poczuwszy zapach strawy, podniósł się ciężko z miejsca i poszedł oglądać, co tam dano do jedzenia, podczas gdy wychudzona i laskonoga zgraja pędziła ze wszech stron cisnąc się do jadła, pomimo gniewnych pomrukiwań Burka.

Stojąc na ganku, patrzyłem z wielkiém zajęciem na ten ożywiony ruch wszelkiego stworzenia, oblany żółtawém i ciepłém światłem rannego słońca. I czułém, że w duszy było mi raźniéj, że wszystko rozpogadzało się pod tém wrażeniem, a nawet duże rączki panny Luizy wydawały mi się w téj chwili mniejszemi, zaś oboję-

tne spojrzenia czarnych jéj oczu nabierały poetyczno-melancholijnego wyrazu.

W pałacu jeszcze kompletna cisza; okienice pozamykane i państwo śpią. Zszedłem na dół do głównéj sieni, a odsunąwszy rygle drzwi, dostałem się na ganek. Chciałem pójść do ogrodu i szukałem oczami furtki, która jak raz mieściła się koło domu folwarcznego.

— Proszę pani — odzywam się do gospodyni, częstującéj kury...

Lecz ta na pierwszy dźwięk obcego głosu rzuca blaszany garniec z pośladem na ziemię i krzyknąwszy umyka do sieni...

Ogród rzeczywiście wspaniale wygląda; znać, że tu musiała być kiedyś rezydencya pańska, bo są jeszcze ślady angielskiego parku, są zacienione z przygiętéj grabiny ulice, jest coś w rodzaju dawniéj tak upowszechnionych labiryntów, w których wązkie uliczki tak się kręcą i majaczą, że w nich nie zginąć, ale zawrotu głowy dostać można. Dziś boczne części tego parku zamienione są w ogrody warzywne, spuszczające się trzema kondygnacyami coraz to niżéj ku stawowi... Średnia część przed samym pałacem przeznaczona jest na kwiaty i trzeba przyznać, dość gustownie urządzona. Na schodkach prowadzących z werendy do grodu, stoją oranżeryjne rośliny, kolczaste aloesy, pomarańczowe drzewa, wychudzone tuje i mnóstwo kwitnących oleandrów. Daléj wspaniały klomb, na środku którego z brzozowych kijków urządzony kosz przepełniony jest tysiącem roślin, a te, zwieszając się po za brzegi na dół, doskonale naśladują bukiety, które na stołach salonów naszych stawiamy.

Patrzę na zegarek — ósma a w pałacu jeszcze ci-

cho, więc błądzę tu i owdzie koło oranżeryi, koło inspektów, aż wreszcie spuszczam się ku stawowi wzdłuż wązkiéj ścieżki obsadzonéj lasem dorodnych malin. Nagle z po za téj zieleni podnosi się tuż obok postać kobiéty... Przypatruję się — to panna Ludwika w rannym stroju, z białą chusteczką lekko zarzuconą na głowę, z pod któréj wymykają się gdzieniegdzie na czoło drobno zwinięte papiloty... Boże drogi, któż z nas młodych i starszych nie zadrżał kiedy wobec takich papilotów uwiecznionych na owéj uroczéj Zosi w *Panu Tadeuszu*!... Zadrżałem i ja, zapłoniłem się daleko więcéj niż sama winowajczyni, ta bowiem spostrzegłszy mię, ani myślała uciekać jak jéj pierwowzór Mickiewiczowski, tylko dźwigając potężny zasób ogórków w fartuszku, śmiało i bez jakiéj bądź żenady zbliżała się ku ulicy.

— Dzień dobry panu! — mówi z tém samém co wczoraj obojętném spojrzeniem czarnych błyszczących oczu.—Pan widzę nudzi się w Dychawicy; nasi państwo Alfredowie nie wstają tak rano.

— Owszem, rozkoszuję się piękném położeniem ogrodu i bogactwem tych kwiatów, których tu moc wielka.

— Pan lubisz kwiaty?

— Przepadam za niemi...

— A ja przeciwnie wolę owoce, które przedstawiają rezultat pracy. Kwiat bawi oko i skłania do marzeń, ale chleba nie daje, tymczasem ludzie żyją chlebem...

— Nie samym, jak mówi ewangelia—rzeknę z pewnym uśmiechem.

— To dobre jest w ewangeli, ale nie w życiu praktyczném. Myśmy za długo może bawili się kwiatami

i sądzę, czas byłoby pomyśléć o chlebie. Patrz pan, czy i te ogórki nie mają w sobie coś poetycznego? takie zdrowe, jędrne, że patrząc na nie apetyt się podwaja...

Słowa te oblały mię trochę zimną wodą, choć mi się jeszcze zdawało, że to ze strony panny Ludwiki jest tylko pozorny atak; do którego wszystkie córy Ewy mają szczególniéjszy pociąg. Bronię tedy mojego przekonania o duchowym chlebie życia, bronię z całym zapałem młodości na zasadzie poczucia piękna, wrodzonego każdéj ludzkiéj istocie, lecz widzę, że panna uśmiecha się tylko dwuznacznie, a idąc ze mną, ku pałacowi, co chwila zwraca się to tu to tam, żeby zdjąć albo liszkę z drzewa, albo wyrwać niepotrzebny chwast z grządki.

— Dziwna rzecz, jak panowie wszyscy jesteście marzycielami, rozpływającymi się w zachwytach, dlatego z was wyrastają nie mężowie, ale dyletanci, jak naprzykład ten mój kuzynek Alfred... Ja przyznaję się panu, wychowana byłam między ludźmi pracy i praktyczniéj może zapatruję się na te rzeczy, dlatego lekkomyślność nasza wydaje mi się zbrodnią...

— A czemże pani nazwie praktyczność posuniętą do materyalizmu — przerywam w dalszym ciągu dysputy.

— Poczuciem obowiązku człowieka, który przedewszystkiém jeść potrzebuje.

— Zawsze ten chleb powszedni...

— Naturalnie, skoro pierwszy krzyk dziecka po urodzeniu jest wołaniem o chleb, a potém skoro woła o niego rodzina. Panowie jak chcecie idealizujecie sobie, podług mojego widzenia rzeczy bez chleba nie ma ojczyzny, nie ma potęgi i siły... Dla mnie człowiek próżnujący i żyjący kosztem społeczeństwa, pod jaką bądź

formą, jest tak samo godzien kary, jak złodziéj zakradający się do cudzéj kieszeni... Jeżeli kiedy pójdę za mąż, to przedewszystkiém nauczę moje dzieci, aby osobiście potrafiły zapracować na siebie; niech umieją przynajmniéj to, co zwierzęta dzikie, które tak nizko względem siebie stawiamy...

Anim się spodziewał, żeby młoda, dwudziestoletnia panna mogła w ten sposób surowo świat sądzić; czując przeto, że oddalamy się w naszych przekonaniach na dwa przeciwległe sobie bieguny, nie miałem ochoty bronić swoich poglądów. W dalszéj dyskusyi wypowiedziała bez ogródki opinię o kuzynie Alfredzie, ktory podług niéj nie dorósł nawet zadania do zarządu funduszami żony...

— Patrz pan, godzina blizko dziewiąta, a on śpi jeszcze. I to się nazywa praca na wsi, praca, mająca służyć za przykład dla całéj czeladzi...

— Jednak uporządkował majątek—przerywa, pokazując ręką do koła.

— Ale czy produktywnie? — odpowiada, poruszając głową. — Nie wielka rzecz, mając pieniądze cudze, robić nakłady i różne eksperymenta dla zadowolenia własnéj fantazyi i zarozumiałości; jednak proszę poczekać, na długo to wystarczy?... Dziś widzę, że już się kręci i chciałby pozbyć się Dychawicy... Wiem nawet o jego planach...

Przypadkiem, czy téż umyślnie spojrzała na mnie w téj chwili, a ja zapłoniłem się i spuściłem oczy ze wstydu przed samym sobą, żem mógł dziś jeszcze rano pomyśléć o odegraniu względem niéj téj saméj roli co Alfred. Mimo profesorskiego trochę tonu i szorstkości, z jaką dysputowała, nie mogłem odmówić pewnéj racyo-

nalności jéj dowodzeniom, i od razu powiedziałem sobie, że panna Ludwika nie dla mnie, i że stawiając za przykład Alfreda, daje mi poznać, że wie o moich zamiarach.

Przed pałacem rozeszliśmy się każde w swoją stronę, a poczuwszy pewną gorycz, jakby z pogrzebanéj nadziei, straciłem na humorze... Niechcąc się przyznać do porażki, starałem się przyczynę jéj złożyć na wygórowaną pychy wzbogaconéj mieszczanki. Jestto najzwyczajniejszy sposób pocieszenia miłości własnéj kosztem drugich.

— A, winszuję, winszuję!—odzywa się we drzwiach stojący Alfred, gdym z pochyloną głową wchodził po schodach na werendę. — Widziałem, jakeście gruchali do siebie.

— Dajże téż pokój z gruchaniem i twojemi domysłami. Spotkaliśmy się przypadkiem.

— Dobrze, dobrze, rozumiem ja takie przypadki... Pamiętam, kiedy się starałem o Anielkę, tak samo miałem codzień kilka takich przypadków... Brawo... doskonale się sprawiasz!

— Daję ci słowo honoru, przypadkiem.

— No, no, no—mówi, śmiejąc się i klepiąc mię po ramieniu.

— Więcéj ci powiem—dodaję już rozdrażniony— to nie jest żona dla mnie!

— A to dlaczego?

— Bylibyśmy całe życie jak niebo i ziemia... Ona jest z gruntu przekonań pozytywistycznych, a ja dzięki Bogu jeszcze mam trochę w duszy uczucia.

— Nie bój się, wyrównacie swoje zapatrywania przy półmilionowym majątku...

Czynię tu uwagę, że ten majątek panny Ludwiki od wczoraj urosł o dwakroć.

— Nie chcę i jéj, i jéj pół miliona!... Proszę cię, nie mówmy o tém więcéj.

— Co ci się znowu stało!... To jest kobiéta, nic więcéj, a u kobiét wiesz, jak pogoda jesienna, gusta zmieniają się na zawołanie. Mój drogi, co ona codzień nagada, a ja puszczam to mimo uszu... Jednak powiem ci, iż rzeczywiście jest praktyczną, widzę to po zarządzie gospodarstwa, który prowadzi z amatorstwa, a jednak wzorowo.

Przy śniadaniu, oblicze panny Ludwiki wydało mi się obliczem satyra. Spoglądała już śmieléj na mnie, lecz jak mi się zdawało, z wyrazem pewnéj złośliwości.

— Dlaczego nie włożyłaś swojéj sukienki w liliowe paseczki?—odzywa się pani Aniela, która wciąż myśli tylko o sukniach, a któréj się zdawało, że Ludwika za skromnie wygląda przy gościu w perkalowéj bluzie.

— Ach moja droga, mnie to tak mało obchodzi. Każda jest dobra, aby cała i czysta.

— W tamtéj prześlicznie wyglądasz... Pan Stanisław jest znawcą na takie rzeczy. Prawda panie— mówi, zwracając się ku mnie—że kolor liliowy dla brunetek bardzo do twarzy.

— O, jeżeli pan Stanisław ma być takim znawcą—odzywa się panna — to spotkawszy mię rano w zaniedbanym negliżu i do tego zrywającą ogórki, mógł się kompletnie rozczarować... Prawda panie, że nie wyglądałam na rusałkę?

— Przyznam się pani — rzeknę dość obojętnie — nie uważałem, jak pani była ubrana...

— Jakże można! — przerywa zgorszona Alfredowa.

— A widzisz, że panowie nie tak bardzo patrzą na nasze ubranie...

— Naturalnie, gdy mają przed sobą takie palące oczy, jak twoje figlarko—dodaje Alfred.

— Stare facecye!... Dalibóg, mógłbyś się nauczyć czegoś nowszego z komplimentów... Wierz mi, te są już zanadto spłowiałe — odpowiada, kręcąc się koło stołu Ludwika, a zwróciwszy się do mnie, zapytuje:

— Pije pan drugą szklankę?

— I owszem, proszę...

— Po tak ciężkiéj rozmowie naszéj pewnie pan potrzebujesz pokrzepienia?

— Moja droga, powiédz o czemeście mówili—wtrąca znowu Aniela. — Pewnie o bozkiéj grze naszéj Modrzejowskiéj... Ach, Alfredzie kochany, jeżeli masz Boga w sercu, zawieź mię na Modrzejowską do Warszawy... I ty pojedziesz z nami Ludwiko, prawda? Ty się tak nudzisz u nas... Ach Modrzejowska, przepadam za nią, jaka ona jest śliczna w téj fryzce, gdy gra Maryę Stuart!

— Nie — rzecze Ludwika — nie jestem ciekawa zobaczenia fryzek pani Modrzejowskiéj i teatralnych tragedyi między królowemi. Alboż to mało i tutaj prawdziwych tragedyi, rozdzierających serce uczciwego człowieka!

— Więc na pani jeszcze robią wrażenie tragedye?—odzywam się z pewnym sarkazmem.

— Naturalnie, że robią, lecz w formie oburzenia na niedołęztwo ludzkie. Groza dla saméj grozy wcale mię nie przeraża, ale wszelka niesprawiedliwość wstrz

sa mną choćby dlatego, że jestem kobiétą i niemam dostatecznych sił, aby przeciw niéj walczyć.

— Tym sposobem lubi pani walkę?

— Namiętnie. Człowiek dopóki tylko walczy— to żyje. Poddanie się lub wszelka apatya, jest abdykacyą życia...

— Okropność Ludwisiu, co też ty wygadujesz — rzecze Alfredowa, zakrywając oczy rękami.—I tybyś się mogła bić?

— I jak jeszcze — odpowiada z dziwnym uśmiechem.—Niecierpię wszelkiego mazgajstwa. Ale cóż, jestem tylko zwyczajną kobiétą, skazaną, żeby przyszły mój pan uważał mię za lalkę, przeznaczoną do przymierzania sukien. Wszak my dla panów jesteśmy mniéj więcéj przyjemną albo korzystną zabawką...

— A wychowanie dzieci?—odzywam się i ja—czyż to nie jest najważniejszém zadaniem kobiéty?...

Jak na złość rozmowę naszą zakrawającą na utarczkę lekkiéj kawaleryi przerwało wejście Szymona, który oświadczył, że konie czekają.

— Pojedziesz ze mną do lasu?—zapytuje Alfred.— Mam obejrzéć tę część, którą chcę wyciąć i sprzedać, a ty jako znawca możesz mi poradzić.

— Więc koniecznie postanowiłeś pozbyć się téj jedynéj ozdoby, mającéj jakąś wartość w Dychawicy?— zaczepia go panna Ludwika.

— Ha trudna rada — odpowiada z lekkim uśmiechem Alfred—mam swój w tém rachunek.

— Dziwna rzecz, jak twoje rachunki zawsze się kierują do tego przedmiotu, z którego najłatwiéj gotówkę wyciągnąć... Ot, gdyby to rachunek twój kazał ci zasiać las na tych jałowych wydmach, które stoją bez-

użytecznie i zasypują sąsiednie pola, to powiedziałabym, że pracujesz produktywnie dla przyszłości kraju i własnéj rodziny... Wielka sztuka, czerpać gotówkę z biórka i żyć nią dopóki nie zabraknie...

— Ej, moja Ludwisiu — rzecze na to już podrażnionym tonem mój Alfred — musiałaś źle spać dzisiaj, że tak hojnie sypiesz morałami!

— Prawda, że jest w bardzo złym humorze — dodaje Aniela. — No, jedźcie panowie, jedźcie i wyciągnijcie za las jak najwięcéj, bo może z tego zostanie co i dla mnie na podróż zagranicę. Pamiętasz Alfredku, obiecywałeś, kiedyś się starał o mnie, że co rok wyjedziemy sobie na parę miesięcy, to do Włoch, to do Szwajcaryi, a dotąd ani razu nie byliśmy nigdzie...

Przez całą drogę do owego lasu Alfred był milczący; widocznie irytowały go złośliwe uwagi panny Ludwiki, a nie mógł przeciw niéj mówić, żeby jéj w złém świetle przedemną nie wystawiać.

Obejrzeliśmy las dobrze już przecięty, jednak mający jakąś wartość w Dychawicy; ma więc Ludwika racyę, że sprzedaż tego kawałka wielką krzywdę wyrządzi majątkowi, témbardziéj, że ziemia pod nim licha, a pozycya górzysta i niezdatna pod uprawę. Powiedziałem to wszystko Alfredowi, powiedziałem również, że drzewo zdatne tylko na sążnie, materyałowego bardzo mało.

— Więc jak sądzisz, co wart jest morg?

— Czterdzieści do pięćdziesięciu sążni najwyżéj da się wyrąbać z morga i wybrać kilkanaście belek, a za to młodzież, która bardzo pięknie zarasta, zniszczy się na nic... Dlatego radzę, daj pokój sprzedaży...

— Więc kup Dychawicę! — mówi na seryo. —

Potrzebuję w tych czasach pieniędzy na inne przedsiębiorstwa, do których się zaangażowałem.

— Czy ty żartujesz, czy o drogę pytasz?—mówię, patrząc mu w oczy.—Za cóż ja mam kupować twój majątek, czy z tych dziesięciu palców?...

— Skończ z Ludwiką, a będziesz miał. Wierz mi, Dychawica jest ładna majętność, ale ja już jestem nią znudzony... Co do Ludwiki, trzeba się tylko zakręcić dobrze a pójdzie za ciebie... Tylko śmiało, nie jest ona tak straszną jak się wydaje—a ty jesteś mężczyzna przystojny... umiesz się podobać...

— Zlituj się, do czego to podobne... Ani myślę o tém! Ona potrzebuje nie takiego męża jak ja, a na mnie sprawia wrażenie, jakbym sobie lód przykładał do piersi...

— Zostań jeszcze z tydzień u nas a zobaczysz, że to się zmieni. Ja pod tym względem mam swoją praktykę, i wiem, że Ludwika umyślnie pozuje na oryginalność...

— Zostać mogę, bo mam urlop dłuższy i dobrze mi u was.

— Ale jeżeli się z nią ożenisz, kupicie Dychawicę?

— Proszę cię, nie rachuj na to...

— Swoją drogą ja zaczekam z lasem do twego wyjazdu.

VI.

Zostałem tedy w Dychawicy, ale chęć starania się o względy p. Ludwiki zupełnie mnie opuściła. Gospodarz po całych dniach zajęty był konferencyą z żydami, którzy prawie nie wyjeżdżali z Dychawicy. Przytem i dawny humor i rezolutność jakoś go opuściły, a natomiast wszystko drażniło, szczególniéj jeżeli ktoś żądał od niego pieniędzy. Nie chcąc mu się narzucać swoją osobą, włóczyłem się po całém gospodarstwie i chociaż bardzo mało znam się na tém, dostrzegłem jednak, że tu panuje prawdziwy chaos. Wszędzie mnóstwo porozpoczynanych robót niby to melioracyjnych, a nic nie skończone i jak się należy nie przeprowadzone. Tu jakieś kopią się rowy po łąkach, tu młyn stoi, z powodu przeróbki całego mechanizmu wewnętrznego, tu się szlamują kanały, tam gromadzą i przyrządzają komposty, tu jakieś pola doświadczalne, a wszystko bez ładu i składu.

W ogrodzie mnóstwo kopaniny i sadzenia nowych

drzew, w oborach próby z różnemi gatunkami bydła, w owczarni toż samo z krzyżowaniem owiec — a w polu, chociaż na oko uprawa porządnie wygląda, to jednak na zagonach więcéj perzu niż pszenicy. Jedném słowem dyletantyzm i fantazya na każdym kroku, systemu żadnego, wszystko zkądś, gdzieś połapane—a takie rzeczy dobrze kosztują i w rezultacie żadnéj korzyści nie przynoszą. Parę razy próbowałem zaczepić Alfreda w téj materyi, czyniąc bardzo oględne uwagi, lecz tak mię zagadał, że ja się na tém nie znam, że to są rzeczy konieczne, doświadczeniem sprawdzone i w przyszłości korzystne, że myślę sobie: „a może ma racyę" — i dałem pokój.

Sama pani wstawała dopiero o jedenastéj lub póżniéj, a widzialną była przy obiedzie. Co zaś do panny Ludwiki, tę spotykałem częściéj, ale już do rozmowy nie przychodziło. Z balkonu mego pokoju doskonale mogłem obserwować przez otwarte okno, co się dzieje w mieszkaniu dzieci państwa Alfredów i rzeczywiście nie mogłem się wydziwić szczególniejszéj troskliwości, z jaką Ludwika chodziła około tych biednych i zapomnianych istot. Co rano sama nacierała je zimną wodą, ubierała, czesała, uczyła pacierza, karmiła i wynosiła do ogrodu, sadzając w piasku. Dwadzieścia razy przynajmniéj na dzień zaglądała do nich, strofowała służącą, a mimo że jest prędkiego temperamentu i że dzieci płakały nieustannie, ani razu nie dostrzegłem najmniejszego z jéj strony zniecierpliwienia się; przeciwnie, traktowała je z możliwą delikatnością i wyrozumieniem.

Przyznaję, że to mi się bardzo podobało w pannie Ludwice; bo oznaczało że ma charakter i jak chce,

może być nie tak szorstką, jak naprzykład w obejściu z Alfredem i ze mną. Widocznie nie podobały jéj się plany nasze co do małżeństwa, i umyślnie dawała nam to poznać. A w tém przekonaniu utwierdziła mnie jeszcze następująca okoliczność. W pierwszą niedzielę po moim przyjeździe zebrało się kilka osób z sąsiedztwa w Dychawicy. Pomiędzy innemi była i owa pani Jezierzyńska, naśladująca panią Alfredowę, z kuzynem swoim młodym dzierżawcą, jak się zdaje, aspirantem do rączki panny Ludwiki.

Młodzieniec ten, wysoki blondyn, przyjemnéj powierzchowności, tak widocznie nadskakiwał pannie, z taką poufałością pomagał jéj przy nalewaniu herbaty i tak żartował swobodnie, że zdawało mi się, musiał mieć pewne prawa do tego, skoro panna Ludwika nietylko się nie gniewała, lecz owszem rozmawiała z nim żywo, pozwalała się prowadzić pod rękę w ogrodzie i słuchała z uśmiechem banalnych opowiadań o różnych figlach i niegrzecznościach wyprawianych przez niego i jego przyjaciół obywatelskich, damom na jakimś balu składkowym w miasteczku. Zauważyłem wreszcie i to, że tym razem moja surowego oblicza kaznodziejka ubraną była bardzo starannie w owéj jedwabnéj sukni w paski, w któréj, zgodnie z zapewnieniami Alfredowéj, było jéj rzeczywiście do twarzy...

Okoliczność ta, przyznaję, trochę podrażniła moją ambicyę i powiedziałem sobie, że téj komedyi ze mną nie daruję. Przez cały wieczór nie zbliżyłem się do niéj ani razu, lecz udając niezmiernie zajętego rozmową Alfredowéj z panią Jezierzyńską, z dowcipem, który niewiadomo zkąd mi się brał, wtrącałem się do ich gawędki, trawestując opisy różnych mód i naśladując wielkie

panie, jak to one obchodzą się w salonach z powłokami swych sukien. Pani Jezierzyńskiéj, osobie młodéj, przystojnéj i wesołéj — usta nie zamykały się od śmiechu, a moja gospodyni upewniała, że dawno już tak się nie ubawiła jak dzisiaj. Skutkiem takich tryumfów, przy kolacyi pan Jezierzyński podniósł ostentacyjnie zdrowie wesołego Warszawiaka, a pani oświadczyła, że uważałaby to sobie za obrazę, gdybym w tym tygodniu sam albo téż z państwem Alfredostwem nie odwiedził ich ubogiego domku w Siechowie.

— Pojedziemy, dobrze? — pyta mnie poufnie Alfredowa — a przekonasz się pan, że tam jest chybiona kopia Dychawicy...

Kiedy się już rozjechali wszyscy a panna Ludwika pozostała jeszcze kilka chwil na ganku, nie mogłem się powstrzymać, żeby jéj nie zaczepić.

— Spodziewam się, że dzisiejszy wieczór spędziła pani bardzo produktywnie.

— Rzeczywiście—odpowiada prędko—nauczyłam się mierzyć szlachetność charakteru synów obywatelskich, z jakim umiecie panowie lekceważyć córki mieszczańskie nie mające takiego posągu, o który wartoby się starać...

— Dlaczegoż pani tę apostrofę stosuje i do mnie?

— Wszyscy jesteście podobni do siebie. Różnica tylko taka, że jeden więcéj, drugi mniéj oględny, gdzie nie idzie o interes... Dobréj nocy panu!

Zawinęła się i poszła, a ja nie mogłem się zoryentować co do znaczenia téj apostrofy. Dopiero, znalazłszy się u siebie, zacząłem przypominać sobie wszystkie okoliczności rozmowy z Alfredem, i wpadłem na domysł, że dzięki jego usłużności panna Ludwika bierze mię ró-

wnież za obywatela starającego się bogatém ożenieniem podreperować swoją sytuacyę.

— Ha, teraz rozumiem jéj nieprzyjazne usposobienie i rozumiem, co znaczyło to wyrażenie o traktowaniu córek mieszczańskich... Wszak ten pan opowiadał jéj cały wieczór o śmieszném znalezieniu się panien na balu w miasteczku i o swém bohaterstwie z jakiém płatał niegrzeczne figle tym nieszczęśliwym ofiarom.

Byłem zirytowany na Alfreda i postanowiłem zaraz nazajutrz objaśnić pannę Ludwikę o mojéj rzeczywistéj sytuacyi. Na sposobność nie potrzebowałem długo czekać, bo już od rana znajdowała się przy dzieciach, siedzących w ogrodzie pod wielkim parasolem.

Zbliżając się do tego miejsca, jak raz spotkałem obcego posłańca, doręczającego olbrzymiéj wielkości bukiet pannie Ludwice.

— Prawda panie — odzywa się do mnie po przywitaniu — że uczucia pana Albina (kuzynkowi pani Jezierzyńskiéj było Albin na imię) bardzo rano wstają?

— Ja sądzę, że po tak mile przepędzonym wieczorze, jakim był dla niego wczorajszy, wcale się nie kładły...

— Tak pan przypuszcza?

— Choćbym wątpił, to sama wielkość bukietu przekona panią o wielkości uczucia, a wiadomem jest, że wszelkie uczucia silne sen odbierają.

— Tym sposobem pan musiałeś spać doskonale?

— Przeciwnie...

— Jakto? — przerywa, spoglądając na mnie z wyrazem figlarnéj ironii, po za którą przebijało się coś nakształt zadowolenia. — I panu przeszkadzał nadmiar uczuć?

— Tak jest, tylko że nie tak przyjemnych.

— A, ciekawa jestem jakich! Wszak obie panie słuchające dowcipów pańskich nie mogły się na sekundę powstrzymać od śmiechu. Pokazuje się, że talent panów, gdy idzie o wyśmiewanie kobiét, nie traci nic ze swéj mocy, chociażby szło o panie z waszych sfer towarzyskich...

— Co do mnie, to przyznaję się pani, że wczoraj najzupełniéj improwizowałem.

— Nie chce mi się wierzyć; opowiadania pana miały cechę zupełnéj prawdy.

— Więc pani raczyła zwracać na nie uwagę pomimo tak zajmującéj rozmowy z panem Albinem?

— Ach proszę pana, kogóżby taka prawdziwa improwizacya nie porwała! Dla niéj musiałam rozdwoić moją uwagę.

— I nie wierzy pani, że to była improwizacya?

— Nie wierzę.

— A gdybym panią zapewnił, że tych sfer, o których rozpowiadałem, zupełnie nie znam, że nigdy moja noga nie była w wielkich salonach...

— A gdzieżby się syn obywatelski chował, jeżeli nie na więcéj lub mniéj woskowanych posadzkach!... — mówi, poruszając głową z wyrazem powątpiewania. — Wszak to konieczne dla panów edukacyi...

— Naprzykład w lesie, jak ja...

— Na polowaniach może?

— Nie pani, w ciężkiéj i niewdzięcznéj służbie leśniczego.

— Pan leśniczy, pan?—przerywa, wybuchając głośnym śmiechem.

— Daję pani słowo honoru, że tak jest. Wprawdzie nie mam tego zaszczytu, być policzonym do grona sług którego z wielkich panów, ale mimo to jestem sługą rządowym od lat sześciu, jako leśniczy, pobierający pensyi tysiąc dwieście złotych rocznie.

Spojrzała na mnie zupełnie inaczéj niż wprzódy, lecz sądziła widocznie, że to jakaś z méj strony mistyfikacya, bo odzywa się po chwili:

— A cóż mnie Alfred mówił, że pan jesteś obywatelem ziemskim... synem szlacheckim...

— Rzeczywiście rodzice moi gospodarowali na wsi i ja pochodzę ze szlacheckiéj rodziny, jednak gdy to gospodarstwo nie bardzo im dopisywało, wziąłem ich do siebie i pchamy razem biedę na leśniczówce...

— I to jest prawda?

— Sądzę, że pani nie możesz powątpiewać, bo nigdy się mojéj sytuacyi nie zapierałem. Jeżeli Alfred inaczéj mię przedstawił, to zapewne powodował się dobrém sercem i życzliwością dla mnie; sądził, że taki tytuł może...

— No, no, dokończ pan — nalega, śmiejąc się wesoło. A kiedym ja milczał, ona mówi za mnie: — Zjednać panu życzliwość i sympatyę jego bogatéj kuzynki. Czy tak?

— Nie śmiem zaprzeczać, skoro domyślność pani jest tak wielką. Ale ponieważ pani od razu wystąpiła tak wrogo przeciw méj osobie, nie miałem sposobności wprzód objaśnić jéj, kim jestem...

— Szczerość należy się za szczerość. Alfred niezawodnie przedstawił panu, że jestem bardzo posażna panna.

— Tak jest, i właśnie dla tego samego chciałem

upewnić panią, że moja praca wystarcza na potrzeby rodziny, i że nigdy nie miałem zamiaru polować na cudzy majątek...

Widziałem, że słowa moje cokolwiek dotknęły pannę Ludwikę, bo zarumieniła się lekko, a oczy błysnęły żywiéj.

— Właśnie i ja przyznaję się do większego jeszcze grzechu, bo rzeczywiście moje bogactwo należy do bardzo fikcyjnych rzeczy...

— A jednak musi być, jeżeli Alfred pragnie zamienić na niego Dychawicę.

— Zapewne, jeżeli na téj Dychawicy nie ma się nic, to dobre i coś z walącego się browaru, który mi pozostał w spadku po ojcu. Wierz mi pan, przez kilka lat prowadziłam wszystkie rachunki nasze i znam doskonale sytuacyą całego majątku. Browar nasz jestto rudera, dziś płacą z niego kilka tysięcy złotych dzierżawy, ale za lat trzy lub cztery, jeżeli się nie włoży w jego restauracyę znacznéj sumy, runie i zostanie tylko wartość placu. Ja nie mam z tego powodu żadnéj pretensyi do nieboszczyka ojca; był to człowiek prosty, ale pracowity i poczciwy, przyszedł do kraju jako ubogi czeladnik piwowarski, więc to, co zostawił, jest aż nadto dla mnie, bo świadczy, że z niczego dorobił się jakiéj takiéj fortunki...

Bylibyśmy może w ten sposób jeszcze rozmawiali dłużéj, lecz właśnie przewrócił się malec Alfreda i tyle narobił krzyku, że przelękniona panna Ludwika, chwyciła go czemprędzéj na ręce i pobiegła do pokoju.

Przyznaję się, że powyższe wyznanie moje zdjęło mi wielki ciężar z serca. Zauważyłem także, iż panna Ludwika od téj chwili zupełnie była inną. Miejsce

szorstkości, z jaką mnie poprzednio traktowała, zajęła swoboda obejścia, okraszona dobrym humorem i dowcipem, z jakim żartowała z Alfreda za tak niefortunną z jego strony mistyfikacyę.

— Mój kochany — rzecze on raz do mnie wzruszając litośnie ramionami — nie urodziłeś ty się na człowieka, mogącego mieć pretensyę do świetnego interesu... Umrzesz na swojéj leśniczówce i kwita!... Chciałem dalibóg po naszéj staréj przyjaźni zrobić coś dla ciebie; szczęście samo lazło ci w rękę, nie moja wina, żeś do takich rzeczy niezdolny... Kiedy tak sprawa stoi, las sprzedaję, i pożegnaj się z Dychawicą...

Zdaje się, że musiał nieźle sprzedać, bo zaraz poprawił mu się humor i kupił sobie trzecią z rzędu żniwiarkę, któréjśmy na rzadkim owsie przez parę dni próbowali, a po któréj na przyszłe żniwa obiecywał sobie wiele korzyści.

Czas odjazdu mego już się zbliżał, siedziałem w Dychawicy przeszło dwa tygodnie, a na sumieniu ciążyła mi bardzo przyrzeczona wizyta do państwa Jezierzyńskich. Nie miałem żadnéj chęci jechania i odkładałem z dnia na dzień, gdy pewnego razu przypomina panna Ludwika.

— Dlaczego pan nie jedzie do Siechowic?

— Proszę pani, po co?

— Choćby przez wdzięczność dla pani Jezierzyńskiéj, która za panem przepada...

— Na co mi to wszystko?

— A jednak tak ją pan żarliwie bawiłeś...

— Co do mnie, to prawda, lecz znam tu w Dychawicy inną jeszcze osobę, któréj pilniéj może niż mnie jechać do tych Siechowic, choćby dla tego, żeby podzię-

kować osobiście za ten olbrzymi bukiet z georginij i pocieszyć stęsknione serce.

— Ocho, na nic się nie zdały takie wymówki—rzecze panna Ludwika, jakby chciała przytłumić moje wywody. — Przyznaj się pan lepiéj, że starałeś się podobać pani Jezierzyńskiéj.

— A pani panu Albinowi...

— Swoją drogą ja, a pan odpowiédz mi na moje pytanie...

— Niech pani odpowie na moje?

— Dobrze, ale pan wprzód.

— Otóż, przyznam się pani szczerze, robiłem to nie dla pani Jezierzyńskiéj, ale na złość komuś innemu.

— Naprzykład komu? jéj mężowi?

— O, nie... nie zadawałbym sobie téj subjekcyi.

— Więc komu?

— Ja już powiedziałem swoje, więc proszę niech pani raczy powiedziéć swoje, to jest: co znaczyła ta nadzwyczajna uprzejmość dla owego Albina?

— Może to było również na złość komuś...

— Doprawdy? — odzywam się, czując, że jakoś mi się gorąco robi, gdy panna spostrzegłszy moje zakłopotanie oblała się potężnym rumieńcem...

Położenie nasze było arcy-fatalne, któregom ani przewidywał, ani przypuszczał, ztąd jednéj i drugiéj stronie zabrakło animuszu do dalszéj rozmowy. W takich razach, przypomną sobie młodzi czytelnicy moi, chwila jedna, słowo jedno decyduje o wszystkiém, a słowo to nie kto inny, tylko mężczyzna wymówić powinien; takie są prawa i zwyczaje towarzyskie. Tymczasem ja zapomniałem języka w ustach i musiałem kaducznie

śmieszną mieć minę, gdy przytłumionym głosem, niby echo własnych myśli, wypadły z ust moich te wyrazy:

— Chciałem pani zrobić naprzekór...

— Zdaje się że i ja nie komu innemu jak panu, szepnęła tak samo cicho i nieśmiało.

A że nasze ręce jakoś w téj chwili znalazły się przypadkiem blizko siebie, więc wzajemne ich uściśnienia dopowiedziały reszty, o któréj nie mam potrzeby szeroko i długo rozpisywać się przed czytelnikami...

— Tylko mój drogi panie Stanisławie... (uważacie państwo zaraz się znalazł ten wyraz *drogi*) — mówi ona zwieszając się na mojém ramieniu, było to bowiem podczas niewinnéj przechadzki po wyspie stawu — ani słowa o tém przed Alfredami...

— Dobrze, ani słowa... Ja pojadę jutro.

— Nie pojedziesz pan jutro—zaprzecza pieszczotliwym głosem.

— Dobrze, nie pojadę jutro...

— A jak pan będziesz już w domu, napiszę do ciebie, żebyś przywiózł matkę swoją do Warszawy. Chcę koniecznie, żeby mię naprzód poznała i pobłogosławiła. Nie mam swojéj, dawno już spoczywa w grobie—jestem sierota, jak pan widzisz, a tak potrzebuję matczynego serca! Pojechałabym sama do niéj, lecz uważ pan sam, nie wypada...

Ułożyliśmy wszystko, jak co ma nastąpić i wróciliśmy do pałacu napozór niby obojętni. Lecz ktoby miał więcéj czasu niż Alfred, a mniéj przymykał znużone powieki niż pani Aniela, byłby z jednego spojrzenia na nas poznał, co się tu święci. Ale oni oboje więcéj byli zajęci swojemi interesami niż dwojgiem kochających się ludzi, więc udała nam się tajemnica.

Przy wyjeździe moim, który niestety trzeciego dnia nastąpił, Alfred pożegnał mię daleko chłodniej niż przy powitaniu, a nawet odesłał bryczką i fornalskiemi końmi do stacyi kolejowéj. Pani zaś, przytrzymawszy dłużéj moją rękę w delikatnych aksamitnych dłoniach swoich, rzekła prawie z wyrzutem:

— Niedobry pan jesteś! Z przyczyny pana nie będę miała jasnéj zielonéj sukni adamaszkowéj którą mi obiecał Fredzio na wesele Ludwini. A już sobie taki śliczny wybrałam fason z ostatniego żurnalu...

VII.

Kiedy moja poczciwa matka i siostra znalazły się razem z Ludwiką w jéj mieszkaniu w browarze, tak się od razu pokochały i przylgnęły do siebie, że ja mało co mogłem nacieszyć się moją narzeczoną... Po całych dniach gadały tylko i gadały i radziły i wywnętrzały się ze swemi uczuciami, ze swemi projektami na przyszłość, że ja każdego wieczora późno w nocy musiałem je gwałtem rozdzielać, żeby dały pokój i spać poszły.

Ułożono tedy, że ślub nasz odbędzie się we wrześniu w Warszawie, cichutko, wobec najbliższych krewnych, ma się rozumiéć i państwa Alfredów, że ja postaram się o urlop na trzy miesiące, przedstawiając młodszego brata, także poświęcającego się zawodowi leśnemu, na zastępcę, że rodzina moja przez ten czas zamieszka w Warszawie w domu Ludwiki a my zaraz po ślubie wyjedziemy zagranicę...

Powstałem przeciwko wyjazdowi, przypominając narzeczonéj, jak to ona zapatrywała się niedawno na obowiązki obywatelskie naszéj młodzieży, która przedewszystkiém powinna myśléć o chlebie.

— Mój drogi—rzecze mi seryo—i dziś jestem tego samego zdania, bo ten wyjazd nasz za granicę właśnie z tém stoi w związku...

Dopytywałem się, prosiłem, błagałem wszystkie kobiéty, żadna z nich ani słowa więcéj nie chciała mi powiedziéć. „Pojedziesz, to się dowiész" — była jedyna odpowiedź.

Na dwa tygodnie przed ślubem zawiadomiliśmy Alfredów o naszych zamiarach, prosząc o przybycie do Warszawy. Zaproszenie to musiało tam wywołać wielkie zdziwienie i zamięszanie, bo zaraz na drugi dzień otrzymała Ludwika telegram od pani Anieli, zaklinający na wszelkie świętości, żeby odłożyć dzień ślubu choćby o tydzień, gdyż nie będzie mogła tak prędko przygotować sobie owéj zielonéj sukni adamaszkowéj, musi bowiem czekać na nowy żurnal, który dopiero za dziesięć dni przyjdzie z Paryża. Do mnie znowu napisał Alfred całą litanię zachwytów, życzeń i uniesień nad moją dyplomatyczną zręcznością, nie wątpiąc, że skoro tak mądrze rozpocząłem, zrobię w przyszłości świetną karyerę... W dopisku jednak stało tych kilka słów:

„Jeżeli chcesz, można odkupić sprzedany las w Dychawicy od Berka Langnera. On teraz sam widzi, że się orżnął i za małą kwotę gotów odstąpić od kontraktu. Napisz mi zaraz, czy sobie życzycie, a ja tu z nim ostrożnie zacznę traktować."

Poczciwy koleżka był pewny, że zamiana browaru na Dychawicę niezawodnie nastąpi ani wątpiąc, żeby dla takich dobrodusznych chudopachołków jak my, pałac i ogród w tym majątku nie były szczytem marzeń.

Odpisałem mu ni to ni owo, lecz kiedy przyjechali oboje na ślub, on był w najlepszym humorze, kompono-

wał wierszyki do toastów i nieustannie kazał mi sobie dziękować, że to jego swatom winienem to szczęście, jakie mię spotkało... Przeciwnie znowu pani była wielce zmartwioną tém, że nie odłożono wesela i że jasnozielona jéj suknia daleko gorzéj wyglądała od popielatéj sukni ciotki Buferowéj, a to dlatego tylko, że miała najświeższy fason i obszyta była podwójną koronką u dołu, gdy jéj zielona miała jedną i to znacznie węższą.

Zdawałoby się, że wszystko już skończone: Numa poszła za Pompiliusza, i czytelnikom nic więcéj się od autora nie należy. Tymczasem wcale tak nie jest. Mam jeszcze na sumieniu dwie ważne tajemnice, które jakkolwiek z wielką obawą, żeby nie rozczarować czytelniczek, muszę tu wyjaśnić...

Wystawcie sobie, pogniewaliśmy się na dobre z Alfredem, ale tak, że dzisiaj nietylko nie mówimy do siebie wcale, ale się nawet spotkawszy na ulicy nie kłaniamy. Smutna to rzecz, gdy między familią przyjdzie do takiéj ostateczności i ja byłbym może ustąpił nie tak co do zamiany browaru na Dychawicę, bo o tém nie myślałem, ale co do udzielenia mu hypoteki naszéj realności na zaciągnięcie trzech tysięcy rubli długu, który on nawzajem byłby nam na swoim majątku zabezpieczył. Ale Ludwika uparła się, że nie i nie, że to mu na nic się nie zda, bo i tak musi zbankrutować, a my na dorobku takiéj sumy nie mamy do stracenia i sami potrzebujemy kredytu. Kiedym mu to wszystko napisał jeszcze przed wyjazdem zagranicę otrzymaliśmy list z tak gwałtownemi i nawet ordynaryjnemi wymyślaniami, że doprawdy wstyd mi przytaczać go tutaj czytelnikom. Była tam mowa o niewdzięczności z naszéj strony, o mojéj niepohamowanéj chciwości, fałszu, obłudzie, faryzeu-

szostwie i tylu innych wadach, że doprawdy, gdybym się choć w jednéj dziesiątéj części poczuwał do tego, powinienem się na pierwszéj lepszéj gałęzi w Saskim ogrodzie ze wstydu i rozpaczy powiesić.

„Zgubiłeś mię — pisał pan Alfred — i przyprowadziłeś do nędzy nieszczęśliwą Anielkę i tych dwoje ukochanych aniołków. Nie wiedziałem, że przy sercu swém trzymałem i ogrzewałem dwie żmije, które mię jadem swoim zatruły...”

Druga sprawa daleko ważniejsza, którą, obawiam się, zgorszona będzie znaczna część szlacheckich moich czytelników, jest ta, że... nie mam odwagi się przyznać... że... zostałem piwowarem!

Tak jest, energiczna moja małżonka po to tylko wywiozła mię zaraz po ślubie za granicę, żeby poprostu oddać nie na trzy miesiące, ale na caluteńki rok do terminu w szwechackim browarze pod Wiedniem... Boże drogi, co ja się namartwiłem, usłyszawszy ten wyrok, który aprobowały bez żadnéj litości moja kochana matka i siostra, a który na klęczkach i ze łzami w oczach wygłosiła mi pani Ludwika.

Były chwile, daję słowo, że myślałem o rozwodzie, lecz panie, czego to kobiéta nie zrobi jak zechce! Rzucałem się, gniewałem, a mimo to przypasałem fartuch niebieski i woziłem taczkami worki z jęczmieniem na mielcuch, przerabiałem ten jęczmień, gotowałem piwo po nocach, robiłem drożdże, zaprawy, odprawy, a nawet dźwigałem beczki jak najprostszy posługacz w browarze.

Żona mieszkała ciągle zemną i dodawała mi odwagi, ilekroć zasmolony, przemoczony i zdźwigany jak ostatni koń woziwody, wracałem do domu. Wytrzymałem dzięki tylko mojéj szlacheckiéj kompleksyi, która

mimo narzekań i utyskiwań na nasze niedołęztwo, mimo najrozmaitszych a dojmujących prześladowań musi być z najhartowniejszéj stali, skoro to wszystko wytrzyma.

No i wróciłem do Warszawy, porzuciwszy moje leśniczostwo, a wróciwszy przekonałem się, że mię kochana moja Ludwika, prawdę powiedziawszy, trochę oszukała. Prócz bowiem tego browaru, który znowu nie był taką ruderą, jak utrzymywała, znalazła się jeszcze na pewnéj kamienicy ulokowana spora suma hypoteczna, za którą znowu przyprowadziliśmy nasz browar do należytego porządku. I dzięki Bogu, od razu poszło nam dobrze.

Nasze piwo ludzie piją i chwalą, że zdrowe, i byłoby mi już niezgorzéj na świecie, gdyby nie ta nieszczęśliwa Dychawica, z którą muszę się spotkać tak często w inseratach dzienników, że wciąż jeszcze jest do sprzedania.

Słyszałem, że Alfred wyprzedawszy wszystkie inwentarze, budowle i co się dało wywieźć z gruntu, ma zamiar rozparcelować Dychawicę między włościan i szlachtę w tamtéj okolicy, i jak utrzymuje sąm, zrobi jeszcze na tém *świetny interes.*

Daj mu Boże, bo podobno zasłużył na to, przebywszy tyle nieszczęść domowych! Żona mu ciągle chora i lekarze nie wychodzą z domu: oboje dzieci pomarły, a on kompletnie posiwiał, choć nie traci nadziei, że jeszcze na wierzch wypłynie. My z Ludwiką nie myślimy o świetnych interesach, ale aby tylko szło tak samo daléj, to jakoś przewiniemy się przez świat i życie.

KONIEC.

TURYSTA Z GILOWA.

OBRAZEK.

Jarosław! Pięć minut! — dał się słyszéć krótki, z niemiecka urywany głos konduktora, gdy pociąg sapiąc i dysząc jak apokaliptyczna bestya, zatrzymał się przed stacyą. Wysiadających było niewielu, ale za to amatorów do wsiadania cała gromada, którzy z pakunkami w rękach i z miną zatrwożoną, postępowali krok w krok za konduktorem, formując długi ogon wijący się w różne zygzaki, w miarę zwrotów konduktora.

Z podróżnymi trzeciéj klasy nie robiono sobie wiele subiekcyi; konduktor z miną generała komenderującego wskazywał miejsca w otwieranych wagonach, nie troszcząc się o to, że i tych co tam siedzieli, i tych którzy wsiadali, przeznaczał na ofiary wzajemnego prasowania się wśród gorącéj atmosfery wagonu. Z drugą klasą za to szło mu nieco z oporem. Szanowny władca pociągu, widocznie poprzyjmował zanadto grzecznych zobowiązań, bo omijając wiele drzwiczek, zatrzymywał się tam, gdzie nie umiano rachować się z jego grzecznością.

Uderzono po raz drugi we dzwonek, konduktor ulokował wreszcie rodzinę krzykliwego obywatela ziemskiego mojżeszowego wyznania, którego bomba żółta

stała jeszcze przed stacyą, i już miał odetchnąć pełną piersią, gdy ze drzwi dworca wypada młoda kobiéta z zarumienioną twarzą z pośpiechu, a ratując obu rękami wymykające się jéj pudełka, parasolki, koszyczki i bukiety, biegnie ku pociągowi. Za nią, również obarczony dalszym ciągiem już większego kalibru pakunków, idzie młody mężczyzna, wołając: panie konduktorze, druga klasa!

Konduktor osłupiał, spojrzał po drzwiczkach z rozpaczą, a widząc, że w tę stronę zbliża się pawim krokiem naczelnik stacyi w czerwonéj jak krew czapce, zwrócił się nagle do jakiegoś brodatego pasażera, wyglądającego oknem:

— Pan dobrodziéj musi pozwolić, nie mam gdzieindziéj miejsca... I nie czekając odpowiedzi, otworzył szybko drzwiczki, w które jak do beczki danaid zaczęły wpadać owe manatki, niesione przez nowych pasażerów.

— Stasiu, bądź zrów! — zawołała nadobna pani, rzucając się na szyję swemu towarzyszowi i okrywając twarz jego pocałunkami bez liczby—bądź zdrów, a pisz, pamiętaj pisz codzień.

Dano trzeci sygnał; konduktor stał jak zły duch nad potępioną duszą; jeden mlask jeszcze głośniejszy, jedno spojrzenie przeciągłe i nasza pani znalazła się całą osobą w oknie wagonu, przesyłając pozostałemu blondynowi rączką powietrzne całusy i „pisz" i „ty pisz... pamiętaj... o wszystkiém;" potém sapanie maszyny, miarowy klekot kół i pociąg zniknął z przed stacyi.

— Proszę pani cofnąć się! — słyszy głos za plecami—bo iskra z maszyny może zapruszyć oko.

Obejrzała się i cofnęła od drzwiczek, dopiero teraz zobaczywszy owego brodatego towarzysza podróży,

który z dziwnie poufałém spojrzeniem przestrzegał nieznajomą sobie kobiétę. Nie odrzekła nic, lecz cała zamyślona zaczęła układać swoje pakunki po półkach wagonu, w czém dosyć niezgrabnie pomagał jéj pan brodaty, zabierając razem z jéj rzeczami i swoje drobiazgi, dotąd leżące na siedzeniu.

— Przedstawiam się pani, jestem Faustyn Golicki, fizyk z Gilowa, a obecnie lekarz turysta*).

Pani spojrzała na niego uważniéj, usta złożyła do uśmiechu i już chciała coś powiedziéć, lecz naraz wstrzymała słowa na języku, ukłoniła się poważnie i zajęła miejsce na siedzeniu.

— Daruje pani, że ją przestraszyłem, bo widzi pani w dzień to iskry węgla z maszyny nie są widzialne, co pani musiała zauważyć w nocy, a jednak one z komina wylatują. Trzeba pani wiedziéć, że dym nic innego nie jest, jak niedopalone cząstki węgla... Co? powątpiewa pani? to ja mogę dowieść.

— Nie powątpiewam... proszę, niech pan siada naprzeciwko—mówi, widząc, że fizyk zajmuje obok miejsce—jest miejsca dosyć.

— Nie mogę jechać tyłem do koni, to jest chciałem powiedziéć do maszyny.

— Ja mogę—odzywa się pani—i przesiada się naprzeciw.

— Pani sądzi, że to nieprawda, iż są osoby, które nie mogą siedziéć tyłem, ale to jest fakt sprawdzony. Doznają podobnego wrażenia, co płynący okrętem, lub

---

*) Fizykiem w Galicyi nazywa się lekarz powiatowy, lub większych miast jak Lwowa i Krakowa.

używający huśtawki. Ja, który zajmuję się wciąż badaniem cudów natury, wszystko to znam i mogę pani wyjaśnić przyczynę, dlaczego tak się dzieje. Ale a propos, pani myśli widzę, przebywają jeszcze na stacyi w Jarosławiu. Przepraszam, że będę natrętny i zapytam czy to był mąż, z którym się pani tak serdecznie żegnała?

Spojrzała na niego znów z tym figlarnym uśmiechem, jak wtedy gdy się rekomendował, i rzekła powoli:

— Nie, to mój brat.

— Więc pani męża nie ma?

— Nie mam.

— A, winszuję pani.

— Dlaczego?

— Cóż milsze człowiekowi jak swoboda! Wszelkie zobowiązania się, choćby najsłodsze, krępują, a człowiek stworzony jest do wolności. Nieprawdą jest to wszystko co mówią i piszą filozofowie i prawodawcy, ja to lepiéj znam, bo jestem badaczem natury.

— A pan żonaty?—przerywa mu pani.

— Żonaty, ale to tak widzi pani przypadkiem. Byłem raz w towarzystwie w Jasielskiém. Trochęśmy sobie podchmielili i oto jak pani wie, przy wesołéj pogadance, powiada mi mój kolega: Czemu się nie żenisz Faustynie? A ja na to: nie mam z kim i nie mam kiedy.

— Ja, moja pani, zajmowałem się zawsze badaniami naukowemi i dotąd się zajmuję. On na to: słuchaj, ja ci znajdę żonę... przystojną, majętną. Mówię: dobrze. On téż daléj mię pod rękę i prowadzi do salonu, gdzie były kobiéty. Pokazuje mi brunetkę siedzącą w czarnéj sukni około starszéj osoby w wielkim czepcu... mówi: Patrzaj tu: dziesięć tysięcy reńskich gotówką;

chcesz to cię oświadczę? No, i co pani powie, tego samego wieczora oświadczyłem się i ożeniłem.

— Spodziewam się nie tego samego wieczora? — przerywa pani.

— Naturalnie, trzeba się było trochę przygotować dla formy.

— Więc tak pobraliście się państwo bez miłości?

— No, trochę tam było czułości pewnéj, ale ja, pani łaskawa, jako naturalista, inaczéj te rzeczy pojmuję. Darliśmy się przez pięć lat, mówię otwarcie, jak pies z kotem, ale teraz jakoś się to wszystko utarło i dobrze jest; żyjemy zgodnie. Mamy dom wygodny z werandą przez całą długość, ogród piękny, w którym owoców, wie pani tyle, że ośmdziesiąt reńskich biorę za nie i wymawiam jeszcze dla siebie po parę korcy z każdego gatunku. Ja lubię wygodę bez zbytków. Nie mogę narzekać, żyjemy dostatnio.

— A towarzystwo macie państwo przyjemne?

— Z nikim nie żyję, bo na co mi towarzystwa. Człowiek naukowy sam sobie wystarcza; żona również się odzwyczaiła, bo naprawdę, z kim tam żyć, takie ordynaryjne trutnie, tylko za groszem gonią. Jak się zmęczę praktyką czy nauką, idę sobie na spacer, spotkam starostę, idziemy razem i gawędzimy, bo prócz niego nie ma tam człowieka.

— A gdzież praktyka?—bada pani.

— Ja ich praktyki nie potrzebuję! Moja praktyka to żydzi; pani, proszę mi wierzyć, że najlepsza praktyka żydowska.

— Mało intratna.

— Ja z góry mówię: kładź bratku honoraryum, inaczéj się nie tknę. A mam tego dosyć, tak, że aby

odpocząć postanowiłem wyjechać teraz, ot jako turysta i jadę. Będąc w Gilowie, niepodobnaby usnąć... a tu, nie jestem lekarzem, proszę mi wierzyć. Pani dobrodziéjka zkąd jest?—zapytuje nagle—czy z Jarosławia?

— Nie, jestem ze Lwowa.

— Nie lubię Lwowa, miasto aroganckie, lekceważące wszystko i wszystkich, krzykliwe.

— Stolica—rzecze pani.

— Moja pani i u nas w Gilowie są ludzie wykształceni może wyżéj od ich metador naukowych, a co do obejścia towarzyskiego, to tak samo potrafią się znaléźć choćby na pokojach cesarskich. Ja sam, pani dobrodziéjko, napisałem wyczerpującą rozprawę o różnych kształtach wąsów u owadów, która miała aż siedm arkuszy i była drukowana w pamiętniku...

— Aż siedm arkuszy?—przerywa, udając zdziwienie towarzyszka.

— Bagatela! co to siedm arkuszy? Dla mnie pisanie nic nie znaczy. Ja mogę, uważa pani, w każdéj chwili siąść do stolika i pisać.. daję słowo, mogę o wszystkich przedmiotach, bo ja wszystko badam. Mam zbiory szkieł mikroskopowych, to moja specyalność, sto dwadzieścia sztuk; czterysta pięćdziesiąt reńskich kosztuje mnie mikroskop... takiego nie ma nikt w całéj Galicyi, a z lupą się nie rozstaję. Badam wszystko... ot, moja pani, to się nazywa lupa podręczna—rzecze wydobywając z kieszeni mosiężną blaszkę w dwóch końcach zakrzywioną, w kształcie celownika dla geometrów.—Proszę, niech pani spojrzy na mój nos.

— O, przepraszam, wcale nie jestem ciekawa widzieć powiększony nos pański.

— To niech pani spojrzy na swoją rękę, zobaczy pani, że nie będzie tak gładką jak się wydaje.

— I tego sobie nie życzę widzieć, wolę żyć w iluzyi.

— Tak, tak, panie wszystkie lubicie tylko same iluzye, ale dotrzéć do dna prawdy żadnéj się nie chce. No, to przynajmniéj niech pani popatrzy na nitki swéj chusteczki, a ja pani wytłumaczę, jak pod lupą wygląda bawełna a jak len.

Gdy doktor-turysta długo i szeroko wykłada swéj towarzyszce o różnicy nitek bawełny i lnu, czas i nam przypatrzéć się obojgu, jak téż oni sami wyglądają. Powierzchowność osób. które wprowadzamy na scenę, zawsze coś znaczy, a cóż dopiero dwojga takich bohaterów w wagonie, których przeznaczamy do odegrania roli na seryo dramatycznéj.

On, to jest fizyk, lekarz i turysta, jest mężczyzną średniego wzrostu, mogący miéć lat trzydzieści sześć, siedm. Twarz ma w sobie coś oryentalnego, oczy żółtawo-piwne, zarost także żółtawo-złoty i to przy czarnych włosach dość niedbale ułożonych na głowie. W całéj powierzchowności tego pana znać uczone zaniedbanie, bo brodę rozczochrał, wąsiska opuścił, kołnierzyk mu się z jednego guziczka odpiął, a z pod niego wyglądał ciekawie na świat kawałek trykotowego kaftanika. Ubraniu również wiele można zarzucić, naprzód jest za obszerne, jakby je otrzymał w spadku po otyłym wuju a do tego tak poplamione, od brody do końca spuszczającéj się za kolana poły, że jak na mapie można tam rozróżnić szeroką rzekę z wyspami i pobrzeżami, namalowaną różnéj gęstości tłuszczem z zup i sosów, spożywanych przez szanowego turystę.

Pani przeciwnie, wygląda bardzo interesująco. Nie jest to piękność uderzająca, lecz świeża, jasna cera, przy kruczych fantastycznie zaczesanych włosach i ciemno-modrych, błyszczących a bystrych oczach, nadaje twarzy ten sympatyczno-pociągający wyraz, który się mężczyznom podoba. Przy tém znać, że potrafi ubrać się ze smakiem, bo w perkalowéj szafirowéj sukni w pąsowy rzucik, nadzwyczaj korzystnie uwydatniającéj klasyczne kształty jéj figury, wygląda na kobiétę lepszego towarzystwa. Może miéć lat dwadzieścia kilka, i jak na osobę niezamężną jest dosyć śmiałą, pewną siebie i odrobinkę złośliwą, co się również podoba.

Gdy na jednéj ze stacyj zatrzymał się pociąg, a pani dosłyszawszy piskliwy głosik: „świeża woda", podniosła się, aby zawołać roznoszacą dziewczynkę, uprzejmy turysta nie pozwolił jéj się ruszyć, lecz sam zawołał ową dziewczynkę, wydobył swoją szklankę ze skórzanego futerału, zawieszonego na jego szyi, parę razy z gracyą przepłukał i podał pani. Zabawnym trochę był przy téj gorączkowo-natarczywéj uprzejmości, a że oprócz owéj szklanki na rzemyku, miał także na rzemykach torebkę podróżną i długą lunetę w potężnym futerale, więc potykał się, mylił, wyciągając lunetę zamiast szklanki, czemu pani ze złośliwym uśmieszkiem spokojnie się przypatrywała.

— Co ci się należy, mała? — pyta dziewczynki — wychylając się wpół przez okno i szukając portmonetki po kieszeniach.

— Proszę, ja zapłacę.

— A, łaskawa pani, cóż znowu? — mówi, nie odwracając się i zaczyna prowadzić targi z dziewczynką, która żądała co łaska.

— To żebractwo... co to jest łaska? mów, ile się należy! Panie naczelniku... proszę tu... jaka jest taksa za wodę?

— Żadnéj nie ma taksy.

— Jak to może być taki nieporządek na kolei! Co to jest żeby nie było taksy? reński czy dwa, ale niech wiem co się należy... mówił prędko, wtykając coś w rękę dziewczynie. — To tak nasze galicyjskie koleje... galicyjski porządek... wszystko co łaska. A drą, impertynencko odpowiadają. To mi naczelnik — mówił, siadając wzburzony — chodzi jak paw', ledwie raczy mruknąć. Szkoda że tak krótko stoimy, jabym mu pokazał, jak się to z pasażerami obchodzić trzeba, zapisałbym do księgi.

Tymczasem, pani widząc takie uniesienie towarzysza i zapewne aby położyć koniec pogawędce naukowéj, wyjęła książkę z torebki, usadowiła się wygodnie w kącie wagonu i zaczęła przewracać kartki.

— Zapewne romans jakiś? — pyta doktor, operując jeszcze około futerału swéj szklanki.

— Tak jest, powieść.

— Widzi pani, zgadłem. Panie jeszcze nie możecie odwyknąć od tych płaczliwych sentymentów i rozczulań. Ja nic nie czytam z takich rzeczy i nic nie wiem co się tam w literaturze dzieje. Szkoda czasu i atłasu, to wszystko głupstwa, torby sieczki niewarte.

— Z tego sądzę, że nie wierzysz pan w żadne uczucia i namiętności, skoro beletrystykę nazywasz głupstwem.

— A na co mi tych sztucznych fanaberyj; wierz mi pani, ta czułostkowa uczuciowość nasza, to produkt niezdrowy, w cieplarni wyhodowany i grubo pani dobro-

dziéjko szkodliwy, szczególniéj nam polakom... którzy rzeźwo patrzéć na świat i życie musimy.

— I w miłość pan nie wierzy?

— Ja nie znam żadnéj miłości. Obowiązek twardy... hartowny...

— Jednakże między kobiétą a mężczyzną coś istnieje.

— Instynkt, pociąg naturalny, jak między wszystkiemi istotami. Po co to ubierać w fantazye i niedorzeczności, a potém chorować na uczucie.

— Ej! panie naturalisto — przerywa mu figlarnie, składając książkę — żebyś się pan kiedy nie załapał, bo będzie wstyd.

Turysta spojrzał na nią uważnie i to zdaje się pierwszy raz dopiero, bo zajęty wciąż wykładami różnych zjawisk natury, całą uwagę zwracał na swoje dziesięć palców, któremi przy rozprawie tak manifestował jak grabiami.

— Może pani być spokojną o mnie — rzecze z lekceważeniem.

— A żona?

— Mówiłem pani, że ją szanuję jako współtowarzyszkę, jako matkę naszych dzieci.

— I nic więcéj?

— Nic, daję słowo; ja rządzę się rozsądkiem.

Coś dziwnie figlarnego i złośliwego przebiegło w téj chwili po uśmiechniętéj twarzy pani, a oczy błysnęły nagle, jakby jakaś nowa myśl czy postanowienie szczególne przyszło jéj do głowy. Kobiéty nie lubią się długo namyślać i dla tego téż czyny ich idą tuż za myślą.

— Może pan i masz racyę—odezwała się po chwili z małém westchnieniem.—Życie nasze...

— To prosty obowiązek i ciężki obowiązek, daję pani słowo. Czy ja prosiłem o to żebym żył?

— No, ale przeznaczenie...

— Jakie przeznaczenie? Jedno jest tylko wiadome nam przeznaczenie, które ja odkryłem, ja, jak mnie tu pani widzi, ubożuchny fizyk z Gilowa. Żyć i wychować swoje potomstwo—nic więcéj. — I przy tych słowach, popartych energicznym atakiem palców obu rąk do swéj piersi, ubożuchny fizyk wyprostował się tak, że omało nie przebił głową pułapu w wagonie.

Pani umilkła i doktor spauzował, jakby się chciał nasycić rozkoszném wrażeniem swojéj własnéj mowy.

— Jaka to szkoda—rzecze pani, oblewając towarzysza powłóczystém spojrzeniem—że niedługo musimy się już rozstać. Z mądrym jak to powiadają...

— A gdzie pani jedzie?—zapytał.

— Do Krynicy, więc w Tarnowie zapewne podróż wspólną zakończymy. Pan, jak mi się zdaje, zdąża do Krakowa?

— Ja, jako turysta, jadę bez planu. Miałem zamiar także być w Krynicy, w Szczawnicy i innych zakładach kąpielowych, bo jeżeli wysyłam klientów, to chciałbym poznać gdzie i po co. Ale porządek jazdy mnie nie krępuje, mogę wprzód jechać do Krynicy i daléj, a potém być w Krakowie. Wie pani co — jadę do Krynicy.

Uśmiechnęła się wdzięcznie, skinąwszy głową, a nasz turysta zdejmując swój kuferek podróżny z półki wagonu, zaczął go niecierpliwie otwierać.

— Mam tutaj mapę Kumersberga, mam konduktora z rozkładem jazdy, bo ja zawsze mam wszystko z sobą, to zaraz zobaczymy, jak podróż urządzić. Ja

pokieruję naszemi wycieczkami tak, że pani użyje wszelkich przyjemności.

— Ależ jadę do Krynicy tylko, na kuracyę! Jestem cierpiąca, czuję zawsze dotkliwe ciśnienie na czaszkę. Nie uwierzy pan, jak każdego dnia do południa jestem słabą.

— Daruje pani—przerywa, rozpatrując się w rozłożonéj na kolanach mapie — o chorobach żadnych nie wolno mi słuchać. Widzisz pani przed sobą prostego turystę, nie lekarza; dałem sobie słowo, że jadę na odpoczynek i leczeniem zajmować się nie będę. Pojedziemy tedy przez Grybów, Piwniczną, Ptaszkowę — mówi daléj, wodząc palcem po mapie.

— Ja znam tę drogę doskonale—przerywa pani — trzy razy już byłam w Krynicy.

— Bilet drugiéj klasy—mówi swoje doktor, przeglądając podręcznik kolejowy — wynosi pociągiem osobowym cztery...

— I to wiem.

— Rzeczy godne widzenia—znów ciągnie turysta, rozkładając książeczkę notatkową. — Semering polski koło Ptaszkowéj, koléj idzie na podniesieniu... ot, nie mam zanotowane ile stóp. Muszyna, miasteczko, ma trzy źródła mineralne, jedno Milowa, czy Mikowa... musimy zbadać... las lipowy... dalibóg, nie słyszałem o takich lasach, to ważny i ciekawy szczegół. Ale, ale, przedtém Żegestów, pyszna kotlina... blizko kwaśne źródło Sulina, huta Lipnik... doktor praw szklarzem... Węgier, i to osobliwość... musimy zrobić wycieczkę.

— Wszystko to widziałam.

— Nic nie szkodzi, drugi raz pani zobaczy; ja znam kobiéce oglądanie. Tu, tam, rzuci się okiem,

a w głowie nic nie zostanie. Ale jak ja pani wszystko wyjaśnię, co, jak, dla czego, przekona się pani, że to co innego.

Zaświstano z maszyny, podróżni dojeżdżali do Tarnowa, i nasz turysta nagwałt zaczął zbierać rozrzucone manatki do kuferka, i miętosił je jak kapustę w beczce. Gdy pociąg się zatrzymał, on w téj chwili z całym despotyzmem objął protektorat nad towarzyszką. Pełen szastającéj się i nieco komicznéj galanteryi, nie pozwolił ruszyć się biednéj kobiécie bez swojéj komendy. W sali restauracyi, gdzie mieli czekać na pociąg idący do Muszyny, chociaż był gwar i ścisk niezmierny, jednakże pan turysta ekscentryczném zachowaniem się swojém potrafił zwrócić powszechną uwagę. Wszystko mu było złe: miejsce gdzie siedzi, stół za wysoki, krzesło za niskie, talerze za ciężkie, karafka z wodą haniebnego kształtu; wołał więc na kelnerów, żądał spisu potraw, potém objaśnienia o przyrządzaniu tych potraw, a gdy mu nie umiano wytłumaczyć, wcisnął się sam do kuchni prawie że przez okienko, którém do sali podawano potrawy, i tam wywołał formalną rewolucyę, krytykując wszystko, porównywając z Gilowcem, gdzie to on sam zajmuje się rewizyą artykułów spożywczych, bo jako fizyk powiatowy wszędzie jest, wszystko wie i na wszystkiém się zna. Nareszcie, gdy już podano im potrawy żądane, naszemu turyście zachciało się chleba Grahama.

— Słyszysz — woła na kelnera — weź sobie bułki, ja proszę o chleb Grahama.

Kelner wytrzeszczywszy na niego oczy, wzruszył ramionami i poszedł daléj, a turysta dopiero zaczyna się rozwodzić o zacofaniu takiego miasta jak Tarnów, które nie wie nawet co to chleb Grahama, kiedy w Gi-

lowie, gdzie on jest fizykiem, nie ma żydziaka, któryby się nie objadał chlebem zdrowia. Zwykłą koleją rzeczy, z chleba przyszło na zarząd miasta, z zarządu na autonomię powiatową krajową, na sejm, na konstytucyę, co wszystko pokazało się, że jest dla Galicyi przedwczesną i kosztowną zabawką, poprostu blagą na wielką skalę. Bufetowa, słuchając tych wywodów, chciała wtrącić jakieś słówko, zdaje się, nie w obronie autonomii krajowéj, lecz renomy swéj restauracyi, ale turysta nie dopuścił jéj do słowa, wykładając wciąż o użyteczności razowego chleba i o sposobie jego pieczenia aż tak dalece, że pierwszy sygnał odjazdu do Muszyna zastał go na tym punkcie traktatu, w jaki sposób gruby chleb razowy fizycznie działa na przesuwanie się pokarmu w kiszkach.

Przy zapłacie rachunku chciał jeszcze, aby mu przedłożono taksę kolejową na potrawy, lecz nie było już czasu, bo kasę otwarto, a ścisk podróżnych niemały. Pani, jakby odurzona tém wszystkiém, siedziała cicho, z pewną podejrzliwością o nienormalnym stanie jego umysłu, lecz późniéj widocznêm było, że wszystko to ją bawi, skoro uśmiechała się złośliwie i pozwoliła sobą powodować.

Do wagonu kolei Leluchowskiéj wsiedli oboje, i trzeci jakiś otyły, rumiany i z siebie zadowolony jegomość, wyglądający na dostatniego i poczciwego mieszczanina z większego miasta. Z początku turysta ani zważał na jego obecność, tylko prowadził wykłady o różnych zjawiskach natury, ku czemu ani na minutę przedmiotu mu nie zabrakło. Zobaczył drzewa, zaraz nasunęła mu się fizyologia roślin, życie liści, różnica od życia zwierząt, komórki, mikroskop, szkła, teorya samorodz-

twa, fabryka szlifowania szkiełek, Prażmowski, jego historya, Warszawa, królewiaki, ich prasa... słowem, przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot; często pokrząkując, bo mu już usta i język zasychały.

— Jak szczęśliwą musi być żona pańska — wtrąciła pani z wyrazem zachwytu — mając tak rozumnego męża, który tak pięknie umie nauczać.

— Ja, moja pani, z żoną nigdy nie rozmawiam... widujemy się przy obiedzie, godzinkę albo krócéj i ledwie z nią parę słów zamieniam.

— Jak to może być?

— Z żoną nie mam co do gadania; powiem pani otwarcie, moja żona poczciwa kobiéta, dobra żona, ale gęś...

— Przesadzasz pan! Jakto? z domu obywatelskiego...

— Właśnie dla tego. U nas obywatelstwo pod względem wykształcenia najniżéj stoi. Pani, ja ich znam jak zły szeląg.—I znowu nowy temat do krytykowania i zarzutów sobkostwa, arogancyi, braku poczucia obywatelskiego i t. p.

Zdawało się że pani, słuchając tego wszystkiego, była zachwyconą i poprostu zdumioną ogromem rozumu swego towarzysza. Ze spojrzeń jéj pięknych oczu, rzucanych od czasu do czasu w twarz mówiącego, widać było, że dopiero teraz przegląda na świat, że w duszy jéj prawda się rozświeca i przybiera naturalne barwy. Mimo nieustannego zajęcia się swemi myślami, szanowny turysta z Gilowa musiał spostrzedz wrażenie, jakie osobą i wiedzą sprawił na niewinnéj ofierze swéj troskliwości. I zachwyt ten musiał mu być przyjemnym, bo twarz miał rozpromienioną, spojrzenie pogodne i wdzięczne, które

mimowoli aż dwa razy w ciągu podróży zniewoliły go do ucałowania białych rączek towarzyszki.

Nie będę tu opisywał całéj podróży wspólnéj do Krynicy, hałasów i awantur prawie, jakie wyprawiał na stacyi w Muszynie, najmując powóz, targów i wspaniałomyślności w rozrzucaniu posługaczom na piwo, bo sądzę z téj próbki, którą już przedstawiłem czytelnikom, łatwo sobie wyobrazić mogą, jak się mógł zachować w innych okolicznościach. Wspomnę tylko, że pani stanowczo zaprotestowała przeciw wzdraganiu się turysty w przyjęciu kosztów, jakie on na wspólne potrzeby wydawał.

— Proszę pani, to bagatela, mnie stać na to.

— A zkądże pan wie, że mnie nie stać?

— Ja tego nie mówię—dorzucił prędko, nieco zawstydzony—ale zawsze mężczyzna dla damy tego... takie drobnostki... przecież to nie obowiązuje...

Pani ściśle notowała wydatki i zwróciła mu je co do centa, z czego widocznie zadowolonym nie był.

W Krynicy miała ona adres znajomych czy krewnych, które już zamówiły dla niéj mieszkanie, więc doktor musiał się z nią pożegnać gdy stanęli na miejscu, przyczém pocałował ją znów w rękę i przyobiecał jutro rano szukać ją na deptaku.

Nie wiem dla czego, jednak w domku pod Gruszką przez cały wieczór i długo w noc słychać było wesoły szczebiot trzech kobiét, przerywany od czasu do czasu, głośnemi wybuchami śmiechu. Zdaje się, że nasza znajoma a niewiadoma podróżna, trafiła na bardzo wesołe usposobienie swoich gadatliwych towarzyszek, przed któremi również miała dużo przyjemnych rzeczy do opowiadania. Przeciwnie, w hotelu, gdzie turysta sta-

nął, w pokoju jego zalegało grobowe milczenie. Czy pan doktor zmęczony był podróżą i całodzienną eksploatacyą swych wiadomości, czy też snuł jakieś projekta na dzień jutrzejszy, dość, że nie konferował z posługaczem, nie krytykował kolacyi i herbaty, jadł zamyślony, a wróciwszy do siebie chodził prawie do północy po klatce zwanéj numerem gościnnnym, gryzł paznogcie i od czasu do czasu, przeglądał się w lustrze, jakby się chciał przekonać, czy on, turysta z Gilowa, jest rzeczywiście tym samym mizernym fizykiem, jakim się przedstawiał.

Rano, zaledwie wróble zaczęły na dzień dobry świergotać na drzewach przed oknami hotelu, zerwał się pan turysta i rozbudziwszy służbę w kurytarzu, posłał po cyrulika. Trzymając przed sobą zwierciadło, kazał ostrzydz głowę, brodę skrócić i wyrównać, a opuszczone wąsiska przypiec żelazkiem, aby się z obu stron podnosiły do góry. Nakaprysił, nagderał, ale zapłacił, i zrobiwszy przegląd swéj garderoby, wybrał najparadniejsze ubranie, które jednakże miało ten sam charakter obszerności i wisiało na nim, podobnie jak i wczorajsze. Uskuteczniwszy to, zamiast torby podróżnéj, zawiesił szklankę, perspektywę i dodał jeszcze łokciową rurkę szklaną, jakiéj się używa do picia wód mineralnych. Na dworze było trochę chłodnawo i pochmurno, więc zawinąwszy w paski pled, parasol i laskę, kazał sprowadzić chłopaka, któryby ten pakunek za nim nosił.

Na deptaku ledwie gdzieniegdzie pokazała się, na modłę starego zakonu wystrojona żydówka, rozpoczynając bezpłatną eksploatacyę źródła mineralnego, gdy nasz turysta w towarzystwie swego chłopca, w wielkim czarnym kapeluszu o pomiętém rondzie, zjawił się w ga-

leryi. Pił wodę, chodził, smakował, w stronę domu „pod gruszką” spoglądał i widocznie był zadowolony z tego, że przybywający coraz liczniéj pacyenci, przypatrywali mu się z pewném zajęciem. Szczególniéj zwracał ich uwagę ów chłopiec, idący krok w krok z owym pledem, za swoim panem. Szeptano sobie, pokazywano palcem i zgadywano, jakiéj to narodowości może być ten mężczyzna, wreszcie zdecydowano, że musi być meksykańskim fermerem.

Około ósméj dopiero, oczy jego dostrzegły zbliżającą się towarzyszkę podróży, razem z dwiema innemi paniami niepierwszéj młodości, ubranemi skromnie i prezentującemi się niepocześnie. Na twarzy młodéj kobiéty malowała się szczera radość ze spotkania, co dostrzegł turysta i przybiegł na powitanie, nie słuchając jak go towarzyszkom swoim przedstawiała i nazwiska ich wymieniła. Ruszono wspólnie ku łazienkom, turysta zajął się wyłącznie panią, chciał jéj koniecznie rękę podać ale odmówiła, i tylko wymógł to, że okrycia i parasole, które niosły na rękach, poodbierał im gwałtem i oddał chłopcu, niosącemu jego zawiniątko.

— Idziemy na kawę? — odzywa się, wskazując na werendę restauracyi.

— Panna Śliweczka — wtrąca na to jedna z kobiét — zaproponowała właśnie, żebyśmy wprzód zrobiły wycieczkę do Słotwinki, a po powrocie piły kawę... spacer ładny.

— A cóż tu ma rządzić nami jakaś panna Śliweczka—ofuknie na to dość opryskliwie turysta.—Żadnéj Śliweczki nie znam, i żeby to nawet sama Śliwka zaproponowała, to co my mamy cudzych propozycyj słuchać? Proszę na kawę.

Wszystkie trzy spojrzały na niego, potém na siebie i naraz parsknęły głośnym, serdecznym śmiechem.

— Jakto, pan nie zna panny Śliweczki?—zapytała taż sama pani czerwieniącego się z irytacyi doktora.

— Nie znam i znać nie chcę...

— Ależ, to przecie pańska towarzyszka podróży, Janinka tak się nazywa — mówi, wskazując na śmiejącą się naszą bohaterkę.

Turysta zaniemiał i spłonął wstydem. Rzeczywiście dotąd nie przyszło mu na myśl zapytać się o nazwisko téj pani, którą się opiekował przez całą drogę i z którą tak się spoufalił. Ratując sytuacyę, zaczął przepraszać, wychodząc z zasady, że u niego nazwisko nic nie znaczy i że ceni osobę dla niéj saméj.

— I nawet nie był pan doktor ciekawy dowiedzieć się com ja za jedna?—rzekła z uśmiechem i pewnym żalem Janina.

— Ja z kilku słów wiem co kto wart; każdy naturalista jest znawcą ludzi, i o pani wiem co sądzić. Inteligencya i rozum nie potrzebują legitymacyi.

Zdziwiła panią Janinę tak pochlebna opinia o jéj osobie, bo rzeczywiście wobec ciągłéj gadatliwości turysty nie miała sposobności wydać się dotąd ze swoim rozumem; widocznie adoracya okazywana panu doktorowi, była dostatecznym dowodem jéj inteligencyi.

W Krynicy towarzystwo zabawiło tylko przez tydzień i wszyscy z tamtejszego pobytu nie byli zadowoleni. Pani Janinie kuracya nie służyła, miejscowy lekarz radził wyjechać gdzieś na kąpiele rzeczne; jéj towarzyszki kończyły sezon kuracyjny i miały, jak to mówią po szyję towarzystwa pana doktora. Im były dla niego grzeczniejsze, témbardziéj je lekceważył, kierując

wszelkie względy, zabiegi i usługi, wyłącznie dla pani Janiny, która nieustannie musiała zbyt naprężone stosunki łagodzić i turystę reflektować. On sam miał najwięcéj powodów do niezadowolenia. Pooddawał wizyty kilku lekarzom miejscowym, a ci nie umieli go uczcić i ocenić jak należało.

— Same blagiery, pani dobrodziéjko — mówił do Janiny—komedyanci w okularach i rękawiczkach. Historye wyrabiają z chorymi, a ja obłudy i arogancyi nie cierpię! Każą pić wodę po odrobinie, naznaczają na kufelkach kreski, dotąd tyle... a to można pić ile kto chce. Jeden nawet osioł, to wierzy w to co mówi i chciał mnie przekonywać, mnie, naturalistę, który już zrobił setki rozbiorów chemicznych różnych wód mineralnych. A ta publiczność! Jakieś same nadęte figury, wielcy ludzie, panowie, znakomitości... kobiéty, kokietki... słowem, duszno mi tutaj... jadę... Krynicy mam dosyć!

Gdy więc na drugi dzień dowiedział się, że panie uradziły wyjechać do sąsiedniego miasteczka Muszyny i tam przebyć parę tygodni kąpiąc się w Popradzie, turysta aż klasnął w ręce.

— I ja jadę z paniami.

— Jakże, kiedy pan miał jechać do Szczawnicy?— wtrąciła jedna z pań starszych, nazwana Honoratą.

— Moja pani, jestem człowiek wolny i jadę tam gdzie mi się podoba. Wyjechałem na odpoczynek i wszędzie mi dobrze, gdzie jestem zadowolony.

Znów tedy zajął się ulokowaniem kobiét w owéj Muszynie i tak je opanował, że odetchnąć bez jego pozwolenia nie śmiały. Na terenie małego miasteczka doktor czuł się jak na swoich śmieciach; wszystko zbadał, skrytykował i urządził na swój uczony sposób. Go-

spodyni, u któréj najął dla siebie pokoik na kilka dni, kompletnie straciła głowę; kazał jéj mléć pszenicę w żarnach, piec chleb Grahama; kucharza na stacyi kolejowéj uczył, jak ma robić befsztyk, sam przyrządzał zupy, dyregował połowem pstrągów, badał źródła mineralne miejscowe, formował współkę do eksploatacyi tych źródeł. Burmistrzowi dawał sążniste nauki, jak ma rządzić miastem, biegał do szałasów w góry przyrżądzać żętycę i od świtu do nocy uczył, wykładał, demonstrował i przekonywał, jakby te biedne kobiéty i całe miasteczko Muszyna przeznaczone były niby Sodoma i Gomora na zniszczenie, a on czuł w sobie posłannictwo ocalić je od zbliżającéj się katastrofy.

Cały tydzień szło tak dobrze, aż tu pewnego dnia odebrał z poczty list, który go widocznie zakłopotał. Czytając owe pismo, podskoczył parę razy, parę razy uderzył ręką w papier i mnąc go, odezwał się do pani Janiny:

— Jutro wieczornym pociągiem muszę odjechać.

— To niepodobna! —rzekła z miną przerażenia— tak prędko... czy się jakie nieszczęście stało?

Turyście podobała się bardzo ta zatrwożona fizyonomia pani Janiny i zdawało mu się nawet, że zbladła i drżéć zaczęła:

— Muszę; interesa familijne wymagają, abym pojechał do Radymna i zabrał przyrodnią siostrę żony do Gilowa, gdzie mamy dopełnić działu familijnego. Miałem po nią wstąpić wracając, a tymczasem czas przeszedł.

— Spodziewam się, że przyjemnie — wtrąciła Janina.

— Jak można najprzyjemniéj... Widzi pani, przy-

rodnia siostra mojéj żony, którćj nie znam jeszcze, wychowywała się w Królestwie i teraz wyszła tu za mąż za jakiegoś urzędnika kolejowego.

— Przepraszam, jak się nazywa siostra żony?

— Joanna Kwapil... ma to być ziółko w swoim rodzaju... no, ale jak trzeba jechać, to trzeba. Cóż pani się śmieje? czy ją pani zna?

— Ją troszkę, a lepiéj jéj męża, inżyniera.

— Ach, dobrze; niech mi téż pani coś o niéj powie, bo zawsze lepiéj wiedziéć o osobie, z którą się ma miéć do czynienia. Ma być bardzo ładna.

— Tego nie powiem... tak sobie... przystojna, żywa.

— Żona mówiła mi, że złośliwa i filuterna.

— Nawet dobrze; zdaje się, że i arogantka, słowem, powiem panu otwarcie, nie podobała mi się.

— Ech, to u pań zwyczajne, że nie lubicie przyznawać drugiéj jakichbądź przymiotów.

— Tylko nie u mnie—przerywa pani Janina—ale co tam będziemy o obcych rozmawiali. Więc pan jedziesz jutro? Wie pan, nie mogę temu uwierzyć... tak jakoś przyzwyczaiłam się do towarzystwa pańskiego — mówi daléj, spoglądając przeciągle w twarz doktora — że doprawdy... jakże to tak można? Ha, skoro tak, to i my pojedziemy, nie ma tu co więcéj robić—dokończyła westchnąwszy lekko.

Doktor zarumienił się, a oczy jego spoczęły na obliczu pani Janiny. Patrzył, patrzył i milczał, nareszcie zerwał się nagle i pełen roztargnienia opuścił towarzystwo.

Popołudniu tego dnia ułożoną była wspólna prze-

chadzka, i turysta o godzinie piątéj stawił się przed dom, gdzie mieszkały panie.

— Nie będzie nic z naszego spaceru — odzywa się przyciszonym głosem z okna pani Honorata — Janina dostała nagle silnéj migreny i leży w drugim pokoju.

— Cóż jéj się stać mogło? — pyta niespokojnie doktor.

— Dalibóg nie wiem; po rozmowie z panem weszła do mieszkania i zaczęła narzekać na ból głowy. Powiada, że się nudzi w Muszynie, że powietrze jéj nie służy... więc za dwa dni wyjeżdżamy. Ej, panie doktorze, czyś pan jéj co przykrego nie powiedział? ona taka wrażliwa.

— Nie, daję słowo—odrzekł pomięszany i zakręciwszy wzrokiem dokoła, ukłonił się i zniknął.

Do samego wieczora błąkał się gdzieś po górach i wertepach, a ci, którzy go w tym czasie spotkali, zapewniali, że coś do siebie rozmawiał, że się zatrzymywał, ręce rozkładał, kapelusz zdejmował, jakby chłodził rozpaloną głowę.

O zmierzchu zjawił się znów przed mieszkaniem kobiét i wręczył służącéj list, aby go oddała natychmiast pani Janinie. List był krótki i zawierał te kilka wierszy:

Szanowna Pani!

Tak dłużéj być nie może. Musimy się stanowczo rozmówić; jestem rozdrażniony i tracę miarę zwykłéj przytomności. Proszę pani, racz jutro o ósméj godzinie rano udzielić mi chwilkę rozmowy sam na sam, o co żebrze najwierniejszy jéj sługa

D-r Golicki.

Jakie wrażenie sprawił ten bilecik na umyśle pani, już mi niewiadomo; lecz na drugi dzień punkt o ósméj stała ona przed mieszkaniem swojém, czekając przybycia turysty.

— Pozwoli pani—rzecze, spostrzegłszy ją doktor—że pochodzimy trochę nad Popradem. Jak pani widzi, jestem cały wzburzony i nie mogę ustać na miejscu.

Ruszyli tedy ścieżką przez ogród, nad rzekę szumiącą tuż za domami. Ona z przygnębieniem widocznie malującém się na pięknéj twarzy, szła milcząc; obok niéj doktor-turysta kręcił się, wzdychał, kapelusz zdejmował i czoło chustką obcierał.

— I cóż pan ma mi powiedziéć? — spytała wreszcie, podnosząc na niego melancholijne szafirowe swe oczy.

— Czy pani się nie domyśla?—zapytał.

— Nie—odrzekła z figlarnym uśmiechem, uderzając parasolką o kamyki nadbrzeżne.

— Albo ja jestem waryat, albo pani chcesz mnie do waryacyi doprowadzić. Czy pani nie ma oczu?

— No, mam i widzę niezwykłe rozdrażnienie pana, co mnie zastanawia, bo człowiek tak pozytywnego usposobienia powinien nad sobą panować.

— A jeżeli nie mogę?

— To pan zadajesz fałsz swéj własnéj teoryi.

— Tak jest, zadaję fałsz!—krzyknął, zatrzymując się przed nią. — Nie znałem przedtém, co znaczy siła uczucia...

— A teraz pan znasz? — mówi spokojnie Janina. — Jakże się ucieszy żona, gdy powita pana tak korzystnie zmienionym...

— Proszę, niech pani nie wspomina o żonie! To

mój zły duch, to sroga kara za lekkomyślność i zuchwalstwo moje...

— Panie doktorze — rzecze wolno, dziwnie się uśmiechając — słowo żona, to ważne słowo, równoznaczne ze słowem...

Nie pozwolił jéj dokończyć, ale zawołał z najwyższą irytacyą:

— Ja zerwę te kajdany! zdepcę, jeżeli tylko pani...

— A ja co tu mam do czynienia?

— Jakto? pani nie widzisz, że ja oszalałem dla niéj, że pani jesteś dla mnie aniołem, bożyszczem, że ja panią kocham, przez nią oddycham, żyję...

I w przystępie najwyższego uniesienia złożywszy ręce jak do modlitwy, zgiął się aby uklęknąć przed nią.

— Co pan robisz! — zawołała — ludzie patrzą się na nas. Jeżeli pan nie masz szacunku dla siebie, to proszę pamiętać, że narażasz mój honor.

— Za pani honor, rozkaż, a skoczę w tę rzekę!..

— Tego nie wymagam, tylko zachowaj się pan przyzwoicie... inaczéj odejdę od pana. Przebaczam panu ubliżające dla mnie słowa, jak od człowieka żonatego, bo widzę, że jesteś niezwykle rozdrażniony, lecz zastrzegam sobie, żeby temu był koniec. Zostańmy życzliwymi towarzyszami podróży, jak było, i rozejdźmy się.

— Pani jesteś jak ten kamień przy drodze!—przemówił z żalem i rozpaczą.—Dobrze, ja wykonam rozkaz pani, ale proszę o jedną łaskę.

— Słucham.

— Zostańcie panie tutaj jeszcze przez kilka dni. Ja dziś jadę po tę nieznośną siostrę, do Gilowa, odwiozę ją i na niedzielę będę tu z powrotem.

— Nie mogę — odpowiedziała mu pani stanowczo. — Dosyć mam już téj kuracyi; właśnie uradziłyśmy z kuzynkami, że jutro rano wyjedziemy — i to zgadnij pan gdzie?

— Już mnie to niewiele obchodzi. Więc nawet téj drobnéj łaski wyświadczyć mi pani nie może? Daję najświętsze słowo, że w domu stanowczo skończę i powrócę wolny...

— Czy i od żony?

— Ma się rozumiéć! Zrywam... podaję się do rozwodu.

— No, no, nie tak gorąco, mój panie doktorze. Na to będzie jeszcze dość czasu... Otóż, widzi pan, jedziemy w okolicę Gilowa, do ciotki mojéj kuzynki Honoraty; w téj chwili zapomniałam jak ona się nazywa, ale mieszka tam gdzieś bardzo blizko.

— To i ja pojadę z paniami—decyduje doktor.

— Bardzo mi będzie przyjemnie; przyznam się panu, że trochę liczyłam na to — rzecze nieśmiało pani Janina.—Pan jesteś tak grzecznym i przyjemnym towarzyszem podróży, a my same kobiéty musiałybyśmy jechać, że tylko wdzięczną mu jestem. Ale cóż? pan musisz zatrzymać się w Radymnie, wszak trzeba zabrać tę... tę siostrę żony.

— A, niech ją tam! — zawoła, machając ręką. — Już mi niepotrzebna; układów nie chcę żadnych. Zdecydowałem się zerwać krępujące mnie więzy, więc téż posagowe sprawy wcale mnie nie obchodzą.

— Jedziemy tedy jutro o szóstéj?

— Jedziemy. Słówko jeszcze — dodaje doktor, gdy się zbliżali do mieszkania.

— Ani słówka, proszę, bo nie pojadę.

— Ale jak z moją żoną skończę, pozwoli pani...

— Ani słówka, bardzo proszę — rzekła mu seryo.—Proszę zapomnieć co było i tylko pod tym warunkiem przyrzekam, że i ja zapomnę.

— Pani jesteś okrutną i bez litości...

— Do widzenia jutro — odpowiedziała, wchodząc do bramy domu — jeżeli pan chcesz żebyśmy zostali dobremi przyjaciołmi.

* *

*

Podróż ku Przemyślowi już nie odbywała się tak wesoło i przyjemnie, jak niegdyś od Jarosławia ku Muszynie. Doktor niby to był grzeczny i uprzejmy, ale jakoś bez poprzedniéj werwy. Nie odbywał wykładów naukowych, instrumenta fizyczne pochował, narzekał, że jest śpiącym, więc ulokowawszy głowę na kątowych poduszkach wagonu, zamykał oczy, a od czasu do czasu, gryzł paznogcie i wzdychał. W Tarnowie jeszcze pożegnała towarzystwo jedna z trzech pań, która mieszkała razem w Muszynie, do Przemyśla tedy jechały tylko z doktorem pani Janina z Honoratą. Prawda, że téj Honoraty doktór antypatycznie nie lubił, więc kto wie, czy jéj obecność nie była przyczyną jego osowienia. W Przemyślu przesiedli się na pociąg Łupkowski, a doktor coraz więcéj czuł się niespokojny: to się zamyślał, oknem wyglądał i nie zwracał uwagi na szczebiotliwość kobiét, którym ani na chwilę przedmiotu do rozmowy nie zabrakło.

— Wie pan doktor—zaczepia go Honorata—bardzo jestem ciekawa poznać żonę pańską.

— Nie ma co poznawać! — odrzekł, nie odwracając twarzy od okna wagonu, którém wyglądał gdzieś w okolicę.

— A ja znów — dodaje Janina — chciałabym zobaczyć naukowe zbiory pana doktora, o których nam wspominał. Szczególniéj zaciekawia mnie ten sławny mikroskop, przez który można widziéć w kropli wody takie cuda natury. Nigdy jeszcze nie widziałam mikroskopu. A przytém owa kolekcya szkieł...

— Wszystko to w nieporządku gdy mnie nie ma— mówi doktor obojętnym tonem. — Parę dni trzeba to czyścić, przygotowywać... Jeżeli pani dłużéj u ciotki zabawi, to z największą przyjemnością przyjadę. Spodziewam się i tak, że pani pozwoli się odwiedzić.

— Z całą rozkoszą, doktorze—mówi, podając mu rękę—i owszem, prosimy, ale pomimo to, dla czegóżbyś nas pan nie miał przedstawić swéj żonie?

— Naturalnie, przecież poznalibyśmy się bliżéj — rzecze Honorata — tyle mamy do zawdzięczenia doktorowi, więc poprostu złożymy mu wizytę, poznamy ten śliczny dworek i sad. W Gilowie musimy się zatrzymać parę godzin nim się konie znajdą.

— Na dworcu stoi tyle furmanek i powozu dostanie.

— Widzę, że pan doktor nie radby nas miéć w swoim domu — przerywa Janina — a to przyznam się, jakoś...

— A i owszem, z największą przyjemnością... cały mój dom będzie na jéj usługi. Ja myślałem że panie żartują, lecz jeżeli naprawdę...

— Naprawdę... nie widzę w tém nic niestosownego i spodziewam się, pańskiéj żonie nie zrobimy subjekcyi,

jeżeli chwilkę zabawimy i powinszujemy, że ma tak uprzejmego i rozumnego męża.

— Zbytek łaski — rzecze zarumieniony doktor — tylko, jak to panie wiedzą, przy gospodarstwie, moja żona... dlatego z góry przepraszam.

— Czyż my się nie znamy na tém? — Kobiéty kobiétom wybaczą. Więc, panie doktorze, prosisz nas pan, co? Przebierzemy się w zajeździe.

— I to niepotrzebne, wprost pojedziemy ze dworca — mówi doktór — u nas w miasteczku, żyjemy bez ceremonii.

Na tém zakończyła się rozmowa wspólna, ale rozpoczęło się widoczne zakłopotanie doktora. To wstawał, rzeczy swoje oglądał, to siadał, gazety chciał czytać, na zegarek spozierał i paznogcie gryzł, a panie rozmawiając i śmiejąc się ciągle, nie zwracały na to uwagi, że to propozycya ich właśnie ten zły humor i niepokój wywołała! Mój Boże! jak téż te kobiéty mało się jeszcze znają na charakterze mężczyzn!

Każdy z nas poznałby się na tém odrazu, one zaś, aby fantazyi swéj a więcéj pewno ciekawości dogodzić, już zresztą nic nie widziały, o nic się nie troszczyły. A jednak, gdy pociąg się zatrzymał i doktor nawpół przytomny wsadzał je do powozu, którym miały jechać do miasta, mogły zobaczyć, że był blady, drżący i dziwnie rozstrojony — słowem, inny człowiek niż dotąd. Po drodze przyglądały się ciekawie miasteczkowym dworkom, ponętnie kryjącym się wśród zieleni — unosiły się nad ich wdziękiem i co chwila zapytywały doktora, kto w nich mieszka. Kto się tylko ukłonił doktorowi, zaczepiały zaraz, kto to, co za jeden, a on, bąkając coś pod nosem, oglądał się, z powozu wychylał i niecierpli-

wił, że skrzydło ocierając się o koło, skrzypiało jakby kto człowiekowi serce na dwoje rozdzierał. Rzeczywiście, aż żal było patrzéć, co kosztowała przymusowa grzeczność doktora i nie pomylę się utrzymując, że w téj chwili przeklinał w duchu świat cały i wszelkie wycieczki dla odpoczynku i wszelkie znajomości, nawet z tak przyjemnemi kobiétami, jak pani Janina.

Powóz wreszcie zatrzymał się przed sztachetami dworku lekarza. On wyskoczył pierwszy i zamiast podać rękę kobiétom, z miną rekruta, który usłyszał pierwszy strzał nieprzyjacielski, wpadł przez ganek do sieni. W drugim pokoju spotkał żonę i nie witając się, mówi prędko:

— Moje serce, tu dwie panie, z któremi zapoznałem się w drodze, przyjechały i chcą nam złożyć wizytę. Proszę cię, wyjdź... prędko.

— Gdzież Joasia?

— Nie przyjechała, a dlaczego, powiem ci potém... No, bądź tak dobra, moja droga... bardzo porządne osoby... chwileczkę zabawią... proszę cię, wyjdź!

— Nie mam potrzeby — mówi szorstko — twoi to goście, więc ich sam przyjmuj.

— Zlituj się, Maniu... nie wypada... zrób to dla mnie na chwileczkę, nietrzeba nic podawać... no... no... zrób, Maniu.

— Rozmowa ta króciéj trwała, niż jesteśmy w stanie ją powtórzyć, bo ledwie zaczęły panie wysiadać z powozu, on już wrócił przed ganek z rozognioną twarzą i zaczął im pomagać. We drzwiach sieni tymczasem pokazała się gospodyni domu, osoba młoda jeszcze, rumiana brunetka, nieco otyła i poprawiając sobie włosy na głowie z miną nie bardzo gościnnie usposobioną,

spojrzała na przybyłe kobiéty. Naraz, czarne jéj, wyraziste oczy, błysnęły radością, zerwała się z miejsca i całym pędem przybiegła do pani Janiny, rzucając się w objęcia.

— Joasiu! droga moja Joasiu!... jakże się masz? Co ja widzę, Honorcia nawet... co za niespodzianka! Ach Boże! jaka ja szczęśliwa! Pójdźcież do pokoju, tu wszystko zniosą — mówi, biorąc Joasię w pół i jeszcze całując po drodze.

— Czegóżeś ty mnie zdurzył? — rzeknie, przechodząc koło męża, który na podobieństwo żony Lota pod Sodomą, stał przy powozie cały blady, zdumiony i osłupiały.

Z wnętrza mieszkania dolatywał go wesoły gwar witających się kobiét, połączony ze szczebiotem dzieci. a on stał i stał — i nie widział, jak jego czteroletni chłopczyk wybiegł na ulicę, wyciągając ku niemu obie rączki, a za nim spieszyła piastunka z małym bobem na ręku.

— Czemuż nie zdejmujecie? — woła przez okno gospodyni. — Faustynie! każ znosić kufry Joasi do mojego pokoju. Czekajcie, przyszlę Józefa, to wam pomoże zdjąć z kozła.

I Józef wyszedł, z furmanem pozdejmowano kufry, a doktór nie wiedział co się z nim dzieje. Jak człowiek pijany, co chwila zdejmował kapelusz i wkładał go na głowę, i przeżegnawszy się lewą ręką, poszedł wprost do swego gabinetu.

— A to ci historya! No, no, dyabli wiedzieli, że to może być Joasia... chyba to ona... Okropność, co to będzie... co ja tu nieszczęśliwy poczę? a to ci kobiéty, ha!...

Zamiast do pokoju pani, wszystkie rzeczy kazał znosić do swego gabinetu, fiakrowi zapłacił nie wiedząc co daje, i zamknąwszy drzwi od sieni, rzucił się na sofę w rozpaczy. Nawet porządnie myśli nie mógł zebrać, tak mu się wszystko w głowie mąciło, kotłowało i szumiało. Co robić teraz, jaką przyjąć rolę wobec żony, czy udać że wiedział iż wiezie siostrę żony, czy téż przyznać się, że nie wiedział? W téj chwili był, co się poważnie nazywa, w dyabelskich tarapatach, do tego jeszcze tak komicznych, że niewiadomo, którędy wypłynąć.

— Faustynie!—słyszy naraz głos nad sobą—czegoż tak siedzisz? Jakto, więc się nawet ze mną nie przywitasz? A, czuły małżonek, nie ma co mówić!

— Duszko moja, jestem tak znużony... widzisz — odpowiada, całując żonę.

— Wstydź się, mężczyzna... cóż znowu? Tu kufry poznosili... Widzę, że wróciłeś jeszcze bardziéj roztrzepany, niż byłeś. No, pójdźże do nas, obiad zaraz podadzą. Przymuś się, Faustynie, tak niemożna przy gościach... prawda, jaka Joasia ładna i miła?

Co on w téj chwili sądził o owéj ładności i miłości Joasi, to łatwo czytelnicy sobie wyobrażą; lecz rad nie rad, musiał iść na ten obiad, jak gdyby na ścięcie, a wchodząc, rzucił jednak tak błagalno-miłosierne spojrzenie na panią Joannę, że ta aż chusteczką zatkała sobie usta, aby nie parsknąć głośnym śmiechem.

Przy stole siedział nieprzytomny i jak na rozżarzonych węglach. Żona nieustannie napędzała go, aby usługiwał gościom, żeby odkorkował wino i nalał w kieliszki—on czynił to machinalnie, wymawiając się szalonym bólem głowy.

Był już zdecydowany zdać się na łaskę Joanny i wymódz u niéj milczenie, lecz złośliwa kobiéta do samego rozejścia się na spoczynek, nie dała mu ani na chwilkę sposobności, ażeby parę słów mógł z nią zamienić. Ze sprytem i tyranią osobom tego rodzaju właściwym, wywijała się jak wąż, ile razy korzystając z tego, że była samą, chciał się do niéj przybliżyć. To wyprowadzał ją do ogrodu, aby ułożyć bukiet, to proponował pokazanie mikroskopu, to wiódł ją do salki na obejrzenie obrazów, lecz ona tak się trzymała żony, lub pani Honoraty, lub wreszcie niańki bawiącéj dziecko, że ani sposób słówko przemówić. Przy kolacyi nawet, żeby mu lepiéj dokuczyć, odezwała się do siostry:

— Ale, à propos twego poczciwego męża, co ja ci mam do opowiadania, że się zdziwisz i zachwycisz.

— Zapewne nabroił tam dosyć—odpowiada na to doktorowa, spoglądając w jego stronę.—Ocho, czerwieni się, musi tam być coś. Faustyn, widzisz, jest tego rodzaju gadułą, że jak tylko mnie nie ma, popuszcza wodzę swemu językowi...

— Przepraszam cię, cóż to ja jestem dziecko? Jakże można...

— Gniewaj się, nie gniewaj, ale przypomnij sobie, ileś ty już nasprowadzał sobie przykrości i nieprzyjemności przez twoje nieszczęśliwe gadulstwo... Jak się zapomni, grzech śmiertelny wypowie.

Stało się tedy, że doktor musiał iść spać, nie porozumiawszy się z panią Joanną i oka całą noc nie zmrużył, będąc niespokojnym, czy ona czasem całéj téj historyi żonie nie opowie, témbardziéj, że do drugiéj godziny po północy słyszał jeszcze przez ścianę głośną roz-